

Piotr Skupnik



Strzała
przeznaczenia

Piotr Skupnik
"Strzała przeznaczenia"

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2015
Copyright © by Piotr Skupnik, 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Arkadiusz Woźniak INFOX e-booki
Projekt okładki: Robert Rumak
Zdjęcie okładki: © Erik Mandre, Andrey Burmakin - Fotolia.com
Korekta: Paulina Józwiak

ISBN: 978-83-7900-336-5

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-507 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131
wydawnictwo.psychoskok.pl
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Piotr Skupnik

Strzała przeznaczenia



Wydawnictwo Psychoskok
Konin

CZĘŚĆ PIERWSZA

OCZEKIWANIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rok 1066 zaczął się na ziemiach angielskich zwyczajnie. Skuty lodem nieprzyjazny świat, zasypywany śniegiem lub marznącym deszczem. Na smaganych zimnym i porywistym wiatrem drogach rzadko można było spotkać człowieka. Łatwiej było natknąć się na wyjące szaleńczo głodne wilki, które w poszukiwaniu pożywienia opuszczały leśne ostępy. Zimą nawet zbóje ograniczali swój złodziejski proceder. Jedynie posłańcy, handlarze lub wędrowni kaznodzieje przemierzali gościńce, wędrując z miasta do miasta. Nocowali oni w przydrożnych karczmach oraz w napotkanych po drodze wioskach, których mieszkańcy z utęsknieniem oczekiwali nadejścia wiosny. W większych miastach życie toczyło się szybciej. Londyn, jak zwykle był zatłoczony i gwarny. Kupcy i rzemieślnicy głośno zachwalali swoje towary. Gospody były pełne ludzi obficie popijających piwo oraz mocniejsze trunki. Dzieci swobodnie biegały po ulicach, szukając rozrywki.

W tych dniach, mimo pozorów normalności, mieszkańców miasta ogarniał coraz większy niepokój. Wiedziano bowiem, że od listopada zeszłego roku król systematycznie podupadał na zdrowiu. Moźni earlowie, którzy w Boże Narodzenie przybyli do Londynu na zwyczajowy zjazd, wcale nie zamierzali odjeżdżać. Przemierzali konno ulice, eskortowani przez zbrojnych mężów. Wojowie, którzy po zakończeniu służby mitrężyli czas w karczmach lub domach rozpusty, mówili jasno, że król Edward jest umierający. Spodziewano się, że monarcha niedługo opuści ten świat. Ludzie przyjmowali te wieści z niepokojem. Chociaż nie należał on do władców cieszących się miłością i szacunkiem ludu, to jednak był prawowitym królem wywodzącym się z rodu Ethelingów. Według opinii wielu, rządził z Bożej łaski. Jego panowanie charakteryzowały liczne konflikty wewnętrzne wywoływane przez możnych, walczących między sobą o wpływy i bogactwa. Pamiętano też o wieloletniej wojnie prowadzonej na terytorium Walii. Udało się jednak uniknąć napaści ze strony wrogów zewnętrznych, głównie Normanów z Północy. Za to poddani byli mu wdzięczni.

Teraz zaś sytuacja nie wróżyła niczego dobrego. Król umierał bezpotomnie, a kandydatów do tronu było co najmniej trzech. Nic nie wskazywało na to, by którykolwiek z nich zamierzał dobrowolnie ustąpić. Co zwiastowało nowe wojny. Ludzie bali się o swoją przyszłość. Wielu tłumnie nawiedzało kościoły. Tam, w zaciszu świątyni, zanoszono gorące modlitwy do Boga, prosząc o pomoc i siłę na nadchodzące trudne czasy. Byli też tacy, którzy szukali pomocy u wróżek i czarowników. Wierzono bowiem, że ludzie ci posiadają nadprzyrodzone moce. Myślano, że potrafią oni, za pomocą kart, kości do gry lub patyczków runicznych, przewidywać przyszłość. Zachęteni brzęczącą monetą szarlatani wieszczili mroczne czasy. Powiadali, że niedługo Anglia ponownie spłynie krwią. Zapowiedzią tych wydarzeń miała być wędrująca po niebie płonąca gwiazda.

Słońce powoli zachodziło. Śnieżyca, która tego dnia nawiedziła Wschodnią Northumbrię, powoli zanikała. Silny, mrozący krew w żyłach wiatr stopniowo cichł. Nad osadą zwaną Patington Home gęstniał mrok. Znajdowała się ona dziesięć mil na północ od miasta York. Składała się z kilkunastu długich, drewnianych domów, których słomiane dachy pokryte były smołą w celu zabezpieczenia przed gniciem. Najbardziej okazały był oczywiście dwór. Mieszkał w nim gospodarz z rodziną. Nad jego drzwiami znajdowała się ogromna niedźwiedzia czaszka. Jej widok miał uświadomić przyjezdnym, że właściciel tego domu jest wielkim wojownikiem. Pozostałe domostwa zajmowali wojowie z rodzinami i służbą. W osadzie były również: spiżarnia, obora, chlew oraz niewielka kaplica, w której miejscowy ksiądz odprawiał msze. Nieopodal dworu rosła samotna grusza. Całość otoczona była wysokim drewnianym płotem. Dostępu do wrót strzegła czatownia.

Tego wieczoru we dworze odbywała się biesiada. Izba została oświetlona kilkunastoma pochodniami. Na długim drewnianym stole piętrzyły się smakowite potrawy: pieczony prosiak i dziczyzna, pachnący świeżością chleb, obłany miodem kołacz oraz dzbany pianistego piwa. Przy stole, na drewnianych stołkach i na potężnej dębowej ławie, zasiadało dwudziestu mężczyzn odzianych w grube skórzane płaszcze. Ludzie ci gwarzyli wesoło i uśmiechali się do usługujących im dwóch młodych kobiet.

Na najwyższym stołku siedział senior rodu John Patington. Był wysokim, barczystym, liczącym już pięćdziesiąt pięć wiosen mężczyzną. Jego ponurą twarz okalała długa broda, która podobnie jak włosy na głowie, była ruda i przyprószone siwizną. Ogromna blizna na czole znamionowała weterana wielu wojen i potyczek.

Po jego prawicy siedział syn. Młody Gareth Patington wzrostem oraz budową ciała dorównywał ojcu. Nie nosił jednak długiej brody, tylko krótki zarost. Jego ognisto-rude włosy sięgały ramion. Najbardziej niezwykle w jego twarzy były zielone, niczym u kota, oczy, które przyciągały spojrzenia wielu niewiast. Dziś młody Patington kończył dziewiętnasty rok życia. Z tej właśnie okazji ojciec wydał tę ucztę.

Po lewej stronie sir Johna znajdował się łysy, pięćdziesięcioletni ksiądz Tobiasz. Pozostałe miejsca przy stole zajmowali wojowie, którzy wraz z rodzinami służyli rodowi Patingtonów. W kącie izby na zydlu drzemała siwowłosa staruszka, której wiek trudno było oszacować. Równie dobrze mogła mieć siedemdziesiąt, jak i sto lat.

Gareth zajadał właśnie kawał pieczonej sarniny, wpatrując się w dym uchodzący na zewnątrz przez otwór w dachu. W pewnej chwili zatroskany ojciec spojrzął na syna i przemówił.

– Niepotrzebnie się gniewasz, przecie Klotyllda to doskonała partia. Bez ojca i rodzeństwa, tylko z matką. Gotowa ci nieba przychylić.

Wyrwany z zamyślenia młody Patington szybko odpowiedział.

– Nawet mój koń ma ładniejszy pysk niż ona twarz, a na dodatek jest za stara.

Ojciec cicho zachichotał.

– Piegowata jest, to prawda i liczy już dwadzieścia trzy wiosny; ale jest również daleką krewną earla Morcara. Związek z nią wzmocniłby nasz ród.

– Ostatnimi czasy nasza rodzina wcale nie jest potężna. Ty sam nie jesteś sobie panem. Wiś mamy tylko dlatego, że nasz suzeren, sir Edgar Hamerton, przekazał nam ją przed dwoma laty.

– Czy to w tej wsi, synu, wpadła ci w oko ta miła dziewczyna, która zmąciła twój umysł?

Gareth rozzłoszczony drwiącym pytaniem ojca, wykrzyknął.

– Margaret jest wspaniałą kobietą! Przekroczyła już szesnasty rok życia i deklaruje chęć zamążpójścia.

– Syn szlachcica z wieśniaczką, przecie to nie przystoi!

Rozwścieczony Garet rąbnął pięścią w blat stołu.

– Cóż mówisz ojcze, przecie matka też nie pochodziła ze szlacheckiego rodu! Wszyscy dokoła wiedzą, że porwał ją w kraju Szkotów podczas jednej z wielu grabieżczych wypraw!

John, zadziwiony nieco nagłym wybuchem syna, postanowił dać za wygraną. Sięgnął po dzban piwa i pociągnął dwa tęgie hausty. Następnie odłożył naczynie na stół i ponownie przemówił.

– Niegdyś nasi przodkowie dokonywali wielkich czynów. – Jakby na potwierdzenie swoich słów, wyciągnął obie ręce w bok, wskazując na boczne ściany domu. Tam na metalowych hakach wisiały różnorodne miecze, noże, topory, włócznie, tarcze oraz łuki z kołczanami pełnymi strzał. – W roku 878 wojska króla Alfreda Wielkiego stoczyły krwawą bitwę z armią Normanów, dowodzoną przez wodza Guthruma. Mój pradziad Tomasz dzielnie tam stawał. Podobno powalił aż pięćdziesięciu wrogów. Zyskał wtedy przydomek Waleczny. Po zwycięstwie, dobry król Alfred obdarował go licznymi ziemiami; dzięki czemu Tomasz stał się bogaty. Natomiast w roku 896, podczas wielkiej bitwy morskiej z Wikingami, mój waleczny przodek sam przeskoczył na największy okręt wroga, wyrwał maszt z pokładu i cisnął nim w morze.

– Wtedy pewnie zginął.

– Nic podobnego synu, Tomasz Waleczny był mężem niezwykle silnym i szybkim. Niewielu w całej Brytanii mogło się z nim równać. Sam stawiał czoło całej załodze drakkaru. Zabił dowódcę okrętu i walczył tak długo, aż wreszcie nadeszła pomoc.

– Piękna opowieść ojcze, ale nieprawdopodobna. Jak jeden człowiek mógł wyrwać maszt i pokonać kilkudziesięciu wrogów?

– Mógł – odpowiedział zdecydowanie ojciec – ponieważ był Tomaszem Walecznym. Garet zmilczał. Wiedział, że to drażliwy temat, dlatego odpowiedział.

– Szkoda, że jego następcy mu nie dorównali.

– Tak, wielka szkoda – potwierdził ojciec. – Jego syn Karl Patington zbuntował się przeciwko królowi. Stracił wszystkie dobra i musiał uchodzić na północ. Dlatego dzisiaj jesteśmy tutaj.

Po tych słowach zapadło milczenie. Młody Patington wziął ze stołu kawałek kołacza i zjadał go ze smakiem. W końcu ciszę przerwał tajemniczy ksiądz Tobiasz. Gareth wiedział, że pochodzi on z Londynu i że jest niezwykle mądrym człowiekiem. Zna mowę Franków, Celtów, Norwegów, Duńczyków oraz Niemców. Ponadto płynnie pisze po łacinie i grecku. Niegdyś wrócono mu wielkie osiągnięcia w strukturach kościelnych. Otwarcie mówiło się o biskupstwie, a nawet o stanowisku kardynała. Wszystko przekreślił jeden poważny błąd. Podczas odprawianej przez siebie mszy, upojony winem Tobiasz począł bełkotać niezrozumiale. Zatrwożeni sytuacją wierni udali się na skargę do biskupa i tak zdolny kapłan utracił swoje dobre imię. Tobiasz bardzo żałował za ten grzech. Jako pokutę wyznaczył sobie pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Niezwłocznie wyruszył w tę niebezpieczną wyprawę. Po upływie trzech lat udało mu się powrócić do Anglii. Nie wrócił jednak do stolicy, ale udał się prosto do Patington Home. Stanąwszy przed Johnem Patingtonem oznajmił mu, że przybywa ze świętego miasta Jerozolimy. Powiedział też, że kiedy modlił się w miejscu ukrzyżowania Chrystusa, usłyszał głos, który nakazał mu przybyć właśnie tutaj, po to, by ocalić dziecko, którego życie będzie zagrożone. Ojciec chętnie przyjął go pod swój dach. I tak kapłan mieszkał z nimi już od dwudziestu lat.

Wdzięczny za gościnę Tobiasz podarował Johnowi piękny miecz, który jak mówił, został wykuty przez najlepszego mistrza kowalskiego z Damaszku. Podobno Tobiasz przebywał w tym mieście przez pół roku. Gareth nieraz trzymał w ręku tę doskonale wyważoną broń. Był to miecz półtoraręczny, dzięki czemu można go było swobodnie trzymać zarówno w jednej, jak również w obu dłoniach. Rękojeść została obłożona drewnem, które wymieniano co pewien czas z powodu zużycia. Jelec przyozdobiono czerwonym brylantem. Klinga, długa na trzydzieści cali, zwężała się nieco przy ostrzu. Obaj z ojcem musieli przyznać, że lepszego miecza nigdy nie trzymali w ręku.

– Kolejna wojna wisi na włosku – powiedział Tobiasz. – Tron niebawem opustoszeje, a kandydatów wielu.

– Tak to jest, kiedy władca nie zadba o potomstwo. Wtedy krajem wstrząsają konflikty – odrzekł John.

– Ja bym powierzył rządy młodemu Edgarowi. Jest ostatnim z królewskiego rodu i chyba po to sprowadzono go z wygnania.

– Powiadają, że chłopak mimo dobrego zdrowia, nie nadaje się na króla. Wątpię, by ten lis Harold zadowolił się tytułem regenta. On chce całej władzy, chce korony. Edgar nie znajdzie zwolenników. Biedny chłopiec już na początku był przegrany.

– Cóż powiedzieć na tak trafny osąd. Niedługo Harold z rodu Godwina zostanie naszym nowym władcą, ale na tym się nie skończy.

Przysłuchujący się rozmowie Garet wiedział, że earl Harold jest najpotężniejszym możnowładcą w całej Anglii. Jego ojciec Godwin zdobył wpływy, służąc wielu angielskim królom. Teraz syn stał się jeszcze potężniejszy. Już od lat swobodnie prowadził politykę, a w czasie wojny z Walijszymi, dowodził królewską armią. To w trakcie tej kampanii, przed trzema laty, poległ wuj Garet, Jack. Ojciec powrócił z wielką szramą na czole.

– Pewnie, że nie – kontynuował John. – Wprawdzie Edgar się nie liczy, lecz ciekawe, czy Harold zdoła odeprzeć księcia Normandii – Wilhelma, który niechybnie zgłosi pretensje do tronu. Normandczyk ma dość bogactw, by opłacić ludzi, wsadzić ich na okręty i przepłynąć morze, a wtedy wojna pewna. Tylko czy jego roszczenia do angielskiej korony rzeczywiście są słuszne?

– Słyszałeś plotki – odparł ksiądz. – Podobno sam earl Harold, złożył mu przysięgę na święty krzyż.

To był bardzo dziwna historia. O księciu Wilhelmie wiadano, że pochodził z nieprawego łoża. Jego ojciec, książę Robert zwany Diabłem, nie miał legalnego potomstwa. Spłodził za to wiele nieślubnych dzieci. Dlatego przed wyruszeniem na pokutniczą pielgrzymkę, z której nigdy nie powrócił, namaścił jednego z synów na swego następcę. Wybrańcem okazał się małoletni Wilhelm. Dzięki poparciu niektórych możnych, zdołał on przeżyć liczne zamachy na swoje życie. Gdy osiągnął wiek męski, włączył się do walki o panowanie nad Normandią. Dzięki sprytowi, determinacji oraz wsparciu francuskiego monarchy, zdołał pokonać wszystkich wrogów. Gdy urósł w siłę, zbuntował się przeciw swemu panu, królowi Francji Henrykowi I. Przez kilka następnych lat, walczył o niezależność, którą w końcu osiągnął. Zdołał nawet pokonać wojska monarsze pod Varaville.

Na tym sukcesy ambitnego księcia się nie skończyły. Pewne plotki głosiły, że zyskał on również prawo do tronu Anglii. Miało się to stać w trakcie poselstwa earla Harolda na dworze w Normandii. Podobno wtedy Harold przyrzekł Wilhelmowi na święte relikwie, że po śmierci króla Edwarda, będzie go wspierał i pomoże mu przejąć władzę w Anglii. Dlaczego jednak syn Godwina, miałby przysięgać wierność księciu Normandii, skoro sam pożądał władzy i korony? Może przymuszono go siłą.

– Jeśli to prawda – rzekł John – oznacza to, że Harold jest podwójnym zdrajcą. Po pierwsze jest krzywoprzysięzcą, a po drugie działał skrycie przeciw własnemu królowi. Przecież dwa lata temu Edward czuł się znakomicie i nic nie zwiastowało jego śmierci. Harold to nikczemny drań i nie mam zamiaru go popierać. Lepiej już wesprzeć księcia Normandii. Słyszałem, że jest hojny dla sojuszników.

– Z poparciem lepiej zaczekać ojcze – włączył się do rozmowy Garet. – Wiemy przecie, że jest jeszcze trzeci pretendent.

Młody Patington miał na myśli Tostiga, który był bratem earla Harolda. Tostig został zarządcą Northumbrii w 1055 roku. Jego rządy były krwawe i bezwzględne. Grabił on poddanych poprzez nakładanie zbyt wysokich podatków. Przeciwników zaś, mordował bez pardonu. Wreszcie, po dziesięciu latach udręki, wściekli northumbryjscy możni podnieśli bunt i ograbili urzędników wyznaczonych przez Tostiga. Przywódcą rebelii okrzyknięto Mercjanina Morcara, który wybór ten przyjął. Następnie buntownicy ruszyli na południe kraju. W mieście Northampton dołączył do nich brat Morcara, Edwin, który był earlem Mercji. Rebelia ogarnęła już dwie prowincje. Buntownicy zagrozili potędze wszechwładnego earla Harolda. Król Edward nie chciał wojny domowej, dlatego jesienią 1065 roku rozpoczęły się rokowania w Northampton. Rozmowy były wyjątkowo trudne i burzliwe. W końcu monarcha zdecydował się na ugodę z powstańcami. Zdjął Tostiga ze stanowiska earla Northumbrii oraz anulował nałożony przez niego wysoki podatek. Ponadto ogłosił powszechną łaskę królewską dla wszystkich buntowników. Te posunięcia zadowoliły możnych z Northumbrii i Mercji, którzy uspokojeni rozjechali się do domów. Jedynie Tostig nie zaakceptował warunków porozumienia. Był wściekły na Harolda za to, że go nie poparł. Uznał, że wpływowy brat chce się go pozbyć. Król, rozzłoszczony uporem Tostiga, skazał go na banicję.

Ojciec zaśmiał się cicho i odparł.

– Zeszłej jesieni w Northampton widziałem Tostiga. Jest to słaby i tchórzliwy człowiek. Nie byłby w stanie zapanować nad zagrodą pełną krów, a co dopiero samodzielnie przewodzić armii. Nawet, jeśli uda mu się zebrać ochotników i najechać Anglię, to sam niewiele wskóra. Żaden rozsądny władca go nie poprze.

– Jest jeden, który może to zrobić – powiedział ksiądz Tobiasz.

Zapadło długie milczenie. Patingtonowie wiedzieli doskonale, kogo kapłan miał na myśli. Człowieka, który od lat był najsłynniejszym wojownikiem wśród Wikingów. Toczył krwawe walki w wielu krajach. Bardowie układali chwalebne pieśni na jego cześć. Byli też tacy, którzy na dźwięk jego imienia drżeli ze strachu. Chodziło oczywiście o króla Norwegii, Haralda III Sigurdssona zwanego Hardradą lub Srogim. W czasach swej młodości walczył on u boku władcy Norwegii, Olafa zwanego Świętym, który był jego przyrodnim bratem. Kiedy król poległ, a na tronie norweskim zasiadł duński monarcha Knut, Harald udał się na wygnanie. Najpierw służył jako najemnik na ziemiach ruskich. Następnie zawitał do Bizancjum, gdzie przez wiele lat walczył dla tamtejszych cesarzy. Szczególnie wyróżnił się w trakcie wojen toczonych na Sycylii oraz na dalekim i tajemniczym Czarnym Łądzie. Wykazał się wtedy niezwykłą odwagą i brawurą. Zasłużył na uznanie tych, którzy walczyli u jego boku. Zaczęto uważać go za niezwyciężonego wodza i wojownika. Przez długi czas służył w gwardii cesarskiej, w skład której wchodziłi głównie najemnicy ze Skandynawii, zwani Waregami. Pobyt w Cesarstwie Bizantyjskim okazał się dla Haralda bardzo korzystny. Zyskał bowiem wielkie bogactwa oraz oddaną sobie drużynę złożoną z zaprawionych w bojach awanturników. Wrócił na Ruś jako potężny i zamożny wódz. Wkrótce zawarł sojusz z kniazem Jarosławem Mądrym i ożenił się z jego córką Elżbietą. Następnie wrócił do ogarniętej zamętem politycznym Norwegii. Używając zarówno złota, jak i miecza, zdołał wywalczyć sobie tron rodzinnego kraju. Jako król Norwegii wcale nie zaprzestał walk. Wdał się w trwający kilkanaście lat konflikt z władcą Danii, Swenem II Ulfssonem. Chociaż wygrał większość krwawych bitew, to nigdy nie udało mu się ostatecznie pokonać rywala. W końcu zniechęcony Harald zawarł kompromisowy pokój z królem Duńczyków.

– Mówisz o Haraldzie Srogim – odparł John. – Ten Norweski heros dawno przekroczył już pięćdziesiąty krzyżyk. Wątpię, aby na starość chciał tak ryzykować.

– Przecież mówiłeś – podjął wątek Gareth – że prawdziwy wojownik zawsze pozostaje walecznym mężem. Przynajmniej, dopóty potrafi utrzymać w rękach

miecz, topór lub włócznię.

– Ponadto – wtrącił się Tobiasz – Hardrada roztrwonił swój legendarny majątek podczas wojny z Duńczykami. Łupieżcza wyprawa na Anglię, mogłaby okazać się doskonałą okazją do napełnienia pustego skarbca.

– Zobaczmy Tobiaszu, zobaczmy – mruknął pan domu.

Następnie gestem dłoni przywołał obie służące i coś do nich powiedział. Niedługo potem przyniesiono kolejne potrawy oraz garnce pełne smakowitego napitku. Izbę wypełnił beztroski gwar biesiadników. Pijany grajek począł nieskładnie pobrzękiwać na harfie. Na stole ustawiono gliniane misy z pieczonymi kurczakami i dzikimi kaczkami. Był również przysmak specjalny. Jelita wieprzowe nadziewane kaszą, czosnkiem i jagodami. Wesoła uczta przeciągnęła się do późnej nocy.

W izbie panował półmrok. Dogasające pochodnie syczały i skwierczały. Na stole poniewierały się resztki jedzenia i puste dzbany. Pies myśliwski krążył wkoło i wąchał powietrze, licząc na smakowity kąsek. Goście dawno już rozeszli się do domów. Zbliżała się północ. Podchmielony Garet Patington siedział oparty o stół i wpatrywał się w srebrny krzyż wiszący na ścianie. Słyszał ciągle chrapanie ojca, który zaległ na stojącej przy ścianie ławie. On jednak nie umiał spać. Często w nocy nie potrafił zasnąć, ponieważ coś go niepokoiło. Miał złe przeczucie. Jak zwykle w takich chwilach, intensywnie myślał o przeszłości, próbując podsumować swoje dotychczasowe życie.

Najpierw wspomniął matkę, której prawie nie pamiętał, bo zmarła przy porodzie, kiedy miał trzy lata. Jedno wspomnienie, jakie mu pozostało, to chwila, w której trzyma go na rękach, nucąc celtyckie pieśni. Wiedział tylko, że miała na imię Alda i pochodziła ze Szkocji. Potem pomyślał o dzieciństwie, kiedy to biegał po pobliskich łąkach i lasach. Uzbrojony w patyk i mały łuk, walczył ze zrodzonymi przez wyobraźnię smokami i potworami. Staczał pojedynki z chłopakami ze sąsiednich wsi. Od najmłodszych lat uczył się jeździć konno. Na początku bał się tych zwierząt, lecz kiedy je poznał, to utrzymanie się na końskim grzbiecie nie sprawiało mu już kłopotów. Jeździł, zarówno w siodle, jak i na oklep.

W wieku dziesięciu lat po raz pierwszy zobaczył morze. Dobrze pamiętał ten piękny, słoneczny dzień, w którym wuj Jack Patington zabrał go do wioski

rybackiej. Dla chłopca była to interesująca wyprawa. Z fascynacją wpatrywał się w morski bezkres oraz w obmywające kamienny brzeg wzburzone fale. Obserwował też łodzie rybackie, które wtedy jawiły mu się jako wspaniałe i smukłe okręty. Zapragnął popłynąć na jednej z nich. Wuj Jack wyraził na to zgodę. Jeszcze dziś uśmiechał się na wspomnienie, jak biegał od burty do burty. Ciągłe kołysanie się statku nie robiło na nim żadnego wrażenia. Z prawdziwą chęcią pomagał rybakom w zarzucaniu i wyciąganiu sieci. Nie brzydził się nawet patroszeniem ryb. Bez oporu jadł podawane mu solone śledzie, popijane kubkiem słodkiej wody.

Zdarzyło się też, że wypadł za burtę, kiedy za mocno się wychylił. Doskonale pamiętał tę straszną chwilę, w której wpadł do morza. Ogarnęło go przenikliwe zimno i wszechobecna ciemność. Na szczęście nie spanikował. Zaczął rytmicznie wymachiwać kończynami i udało mu się wynurzyć. Natychmiast zaczerpnął powietrza. Silne ręce rybaków szybko wciągnęły go na pokład. Tego dnia nauczył się również pływać.

Wkrótce po morskiej przygodzie ojciec zaczął uczyć go rzemiosła rycerskiego. Najpierw dał mu do ręki ciężki, wyciosany z drewna miecz. Następnie kazał stanąć prosto w lekkim rozkroku. Podnieść miecz na pewną wysokość i trzymać go na wyprostowanej ręce przez długi czas. Kiedy Gareth opanował wreszcie to ćwiczenie, rodziciel zaczął stopniowo pokazywać mu wszystkie cięcia, pchnięcia, wypady, finty, piwotty, blokady, uniki oraz inne pożyteczne chwytty. Dopiero po dwóch latach nauki Gareth otrzymał prawdziwą broń. Gdy poznał różnorodne techniki obrony i ataku, ojciec pokazał mu, jak należy poprawnie posługiwać się tarczą. Wreszcie do nauki wprowadzono: włócznię, topór oraz łuk. Po latach ciężkich treningów Gareth nauczył się walczyć każdą dostępną bronią, ale najbezpieczniej czuł się z mieczem u boku.

W wieku czternastu lat stoczył swoją pierwszą prawdziwą walkę. Był to dzień, w którym sir Edgar Hamerton odwiedził swoich lenników z Patington Home. Pogoda była dobra, więc ojciec zaproponował swojemu seniorowi polowanie z udziałem psów gończych. W bór wyruszyło dwudziestu uzbrojonych ludzi. Tylko sir Edgar jechał na koniu. Reszta szła pieszo. Uzbrojony w włócznię młody Gareth miał trzymać się na uboczu i obserwować doświadczonych myśliwych. Tego dnia łowy były udane. Upolowano cztery zające i jednego lisa, a sir Edgar ustrzelił z łuku młodą łanię. Wydawało się, że łowy zbliżają się do końca.

Nagle w oddali rozległo się gwałtowne ujadanie psów tropiących oraz potężny ryk. Koń Edgara zarżał i stanął dęba. Można wyleciał z siodła

i wpadł w kolczaste jeżyny. Nikt nie miał wątpliwości, że psy natknęły się na niedźwiedzia. Wszyscy pognali we wskazanym przez donośny hałas kierunku. W drodze słyszeli odgłosy gwałtownej walki, jaką niedźwiedź toczył z psami. Kiedy dotarli na miejsce, ich oczom ukazała się niewielka polana. Na niej ujrzeli ogromnego niedźwiedzia, który wielkimi łapami uzbrojonymi w długie pazury atakował ostatniego żywego psa. Dwa pozostałe czworonogi leżały martwe w kałuży krwi.

Rozzłoszczeni sytuacją ludzie nastawili włócznie i odważnie zaszarżowali na kudłatego potwora. Niedźwiedź, najwyraźniej zaskoczony nagłym pojawieniem się intruzów, oddał pole i pognął w las. Pech chciał, że na drodze zwierza rósł okazały dąb, pod którym stał oglądający wszystko z boku młody Patington. Kiedy Gareth ujrział szarżującego niedźwiedzia, pomyślał, że oto nadszedł kres jego żywota. Nie rzucił się jednak do panicznej ucieczki, lecz mocno ścisnął drzewce włóczni, czekając na śmiertelny cios. Miś zobaczył intruza, zatrzymał się i ryknął potężnie, ukazując dwa rzędy okazałych ostrych zębów. Z pyska pociekła mu pienista ślina. Następnie stanął na dwóch łapach i zaatakował. Gareth przewidział ten ruch, zrobił szybki krok w tył i wykonał przysiad. Dzięki temu łapa, która pewnie urwałaby mu głowę, tylko musnęła jego włosy. Wiedział, że dostał szansę zaledwie na jeden cios. Jeśli się pomyli, zginie. Nie tracąc ani chwili wyprostował się i pchnął włócznią w gardło włochatej bestii. Stałowy grot przeszył szyję zwierza na wylot, wychodząc z drugiej strony. Krew chlusnęła Garethowi w twarz. Kiedy przetarł oczy, ujrzął leżącego na ziemi misia oraz gromadę ludzi, którzy gapili się na niego ze zdumieniem. Tak oto młody junak został wielkim myśliwym. Ojciec przez cały tydzień chodził pokraśniały z dumy. Czaszkę niedźwiedzia wpychano i umieszczono nad drzwiami domu Patingtonów.

Nie wszystko jednak układało się dobrze. Gareth wrócił myślami do sprawy ożenku jego najstarszej siostry, której po matce nadano imię Alda. Była to niewiasta urodziwa i pełna życia. Miała gładką twarz, zielone oczy i kręcone, kasztanowe włosy. W dzieciństwie szalała razem z bratem, w niczym mu nie ustępując. Jeździć konno nauczyła się szybciej od niego. Z wiekiem jej charakter stał się dominujący. Chciała wszystkim rządzić. Niemal od razu odrzucała wszystkich kandydatów na mężów. Taka sytuacja niezmiernie martwiła ojca, który podobnie, jak wielu mężczyzn, uważał, że kobiecie przeznaczone są dwie drogi życiowe: ożenek lub klasztor. W końcu udało mu się zeswatać córkę z pewnym mercyjskim możnym. Wybrańcem okazał się, niejaki Rajmund ze Shrewsbury. Był to tępy osiłek, wyróżniający się głupekowatym uśmiechem, który prawie nigdy nie schodził z jego twarzy. Gareth od początku był mu niechętny. Dziwił się z wyboru dokonanego przez ojca. Siostra, kiedy go ujrzała, stwierdziła, że prędzej rozpruje

sobie brzuch sztyletem, niż poślubi tego szpetnego gнома. Ojciec był nieustępliwy. Tłumaczył swoją decyzję względami politycznymi. Mówił o korzyściach, jakie ten związek przyniesie całej rodzinie. Wreszcie zagroził niepokornej córce, że wyśle ją do klasztoru. Po wielodniowych kłótniach zrezygnowana dziewczyna przyjęła swój nieszczęsny los.

W dniu oficjalnych zaręczyn Gareth sprokurował treningowy pojedynek z narzeczonym siostry. Podczas walki umyślnie rąbnął go pięścią w twarz. Cios pozbawił Rajmunda dwóch przednich zębów. Niemal wszyscy zabrani byli zakłopotani tą niezręczną sytuacją. Tylko na ustach Aldy można było spostrzec nikły uśmiech.

Gareth był wściekły. W dniu ślubu jeździł konno po polach. Nawet nie przyszedł do kościoła na mszę, czym naraził się na gniew ojca i księdza Tobiasza. Jedyne siostra nie czuła do niego żalu. Gdy opuszczała Patington Home, nie potrafiła ukryć łez. Od tego czasu brat jej nie widział. Dowiedział się od ojca, że urodziła dwóch chłopców: Jimiego i Biliego.

Były też w życiu młodego Patingtona chwile pełne radości i triumfu. W wieku siedemnastu lat wziął udział w swoich pierwszych, i jak dotąd jedynych zawodach rycerskich. W pieszych walkach na miecze z łatwością pokonał wszystkich przeciwników, ponieważ potrafił z góry przewidywać ich ruchy. Ponadto był silny, szybki i zręczny. W finałowym pojedynku zwyciężył wojownika starszego od siebie o dziesięć lat. W konkursie łuczniczym zajął dobre siódme miejsce.

Właśnie wtedy zainteresowała się nim lady Klotylda. Była kobietą wysoką i dobrze zbudowaną. Wzrostem niemal dorównywała Garethowi. Miała niebieskie oczy i włosy koloru dojrzewającego zboża. Jej twarz była niemal zawsze ubarwiona różem lub sokiem z wiśni. Odziewała się w najbardziej wytworne szaty. Nosła też buty z najprzedniejszych skór. Ponadto pochodziła z dobrego domu. Była daleką krewną kilku zamożnych panów. Posiadała spore bogactwa oraz włości, które odziedziczyła.

Po zakończeniu turnieju, podeszła do Garetha i przedstawiła się. Następnie oznajmiła, że zaprasza go na ucztę w celu przedyskutowania pewnych ważnych spraw. Zdumiony młodzian odmówił. Był zaskoczony tak nietypowym zachowaniem starszej od siebie damy, którą pierwszy raz w życiu widział na oczy. Mimo tak wyraźnego afrontu, Klotylda nie zrezygnowała. Co pewien czas wysyłała do Patington Home posłańca, który ponawiał zaproszenie. Ta dziwna sytuacja

trwała już kilkanaście miesięcy.

Garet często także myślał o sytuacji sprzed roku. Wtedy to odeszła jego młodsza siostra Brigit. Dziewczyna była drobnej budowy. Miała bladą twarz, ciemne oczy i brązowe włosy. Chorował niemal od urodzenia. Rzadko bywała uśmiechnięta i wesoła. Nocami miewała koszarne sny. Garet miał wrażenie, że nie odpowiada jej miejsce, w którym żyje. Dlatego źle się czuje. Kiedyś ojciec sprowadził do niej medyka z samego Londynu. Nie mógł on jednak zbyt wiele poradzić.

Pewnego dnia zeszłej wiosny domostwo Patingtonów nawiedził dziwny i niespodziewany gość. Wyglądał na siwobrodego starca. Był odziany w płaszcz z lisiego futra. W dłoni dzierżył solidny dębowy kij. Wszedł dziarsko do izby i spytał, czy wybranka jest gotowa do drogi, bo czas nagli. Gospodarze byli tak zdumieni, że nic nie odrzekli. Ich zaskoczenie jeszcze wzrosło, gdy nadeszła Brigit. Oznajmiła, że żywność jest już spakowana i można natychmiast ruszać. Zapanowało potworne zamieszanie. John Patington sięgnął po miecz. Dziad próbował osłonić się kosturem. Dziewczyna zaczęła krzyczeć. Garet starał się zrozumieć, o co chodzi. Kiedy wreszcie opanowano emocje, wiadomo było, że bez wyjaśnień się nie obejdzie. Przybysz zasiadł przy stole. Podano mu posiłek złożony z chleba, twardego sera i rozwodnionego piwa. Po jedzeniu zaczęto rozmowę. Starzec powiedział, że nazywa się Irwing i jest druidem, czyli kimś w rodzaju kapłana prastarej celtyckiej religii. Wyjaśnił też, że przybył do tego domu, ponieważ został wezwany. Na pytanie ojca, kto go wezwał, mężczyzna spojrzął na Brigit i rzekł, że to ona go wezwała za pomocą swojego umysłu. Zapanowało kłopotliwe milczenie. Następnie Irwing zapewnił, że jeśli dziewczyna z nim pójdzie, to pozna tajniki ziołolecznictwa. Dzięki temu będzie mogła wyleczyć swoje dolegliwości. Nauczy się też korzystać z niezwykłego daru, który ma w sobie. Do dziś Garet dokładnie nie wiedział, dlaczego ojciec zgodził się puścić córkę. Może dlatego, że tamtego dnia Brigit była naprawdę szczęśliwa. Nawet nie obejrzała się w tył, gdy odchodziła w dal z nieznanym. Garet próbował ich śledzić, lecz jego starania na nic się zdały. Oboje zniknęli bez śladu.

Po tym wydarzeniu Garet czuł się samotny. Kiedy ojciec dołączył do buntu możnych przeciw Tostigowi, syn został, aby pilnować dworu. Tamtego lata błąkał się samotnie po okolicznych lasach, nie wiedząc, co ze sobą począć. Nawet polowania nie sprawiały mu radości. Znużony, postanowił nadzorować żniwa w podległej rodowi wiosce. Wtedy to spotkał Margaret. Była najpiękniejszą niewiastą, jaką kiedykolwiek widział. Wszystko w niej wydawało mu się bliskie ideału. Wzrostu była średniego. Ciało miała giętkie i smukłe. Jej radosna twarz

promieniała urodą. Ciemne oczy wnikliwie obserwowały świat. Gęste kruczoczarne włosy sięgały ud i pachniały tak, jak nic innego na świecie. Kiedy byli razem, rycerz miał wrażenie, że czas staje w miejscu. Słońce świeci tylko dla nich. Wiatr wieje tylko dla nich. Drzewa szumią tylko dla nich.

– Znów zatonałeś we wspomnieniach.

Piskliwy głos wyrwał młodego rycerza z zamyślenia. Odwrócił się i zobaczył stojącą nad nim babcie Gretę. Była wiekową kobietą. Miała pomarszczoną twarz, piwne oczy i posiwiałe ze starości włosy. Nikt dokładnie nie wiedział, ile ma lat. Sama Greta twierdziła, że do sześćdziesiątego roku życia, a było to dawno temu, skrupulatnie zliczała przeżyte wiosny. Potem uznała, że najlepsze lata ma już za sobą i przestała zważać na swój wiek. Podobno w młodości zajmowała się wróżeniem. Potrafiła też przepowiadać przyszłość. Raz powiedziała pewnemu wieśniakowi, że jeżeli nadal będzie zażywał wywołujący majaki napój z dodatkiem czerwonych muchomorów, to nie dożyje następnego roku. Okazało się, że człowiek ten zmarł trzy tygodnie później z powodu zatrucia. Kiedyś też ostrzegła matkę Gareta, mówiąc jej, że jeśli zajdzie w ciążę po raz trzeci, to nie przeżyje porodu. Rzeczywiście tak się stało.

– A może dręczy cię obawa o przyszłe losy? Jeśli chcesz, to możemy uchylić zasłonę tajemnicy – mówiła staruszka.

Garet wiedział, że babcia rzadko proponowała komuś przepowiednię. Wielokrotnie mówiła, że przyszłość jest zakryta przed ludźmi żyjącymi na tym świecie. Jedyne nieliczne osoby mające dar dostrzegają pewne zdarzenia, które mogą, lecz wcale nie muszą stać się rzeczywistością. Ów dar objawia się tylko w szczególnych chwilach. Dlatego wykorzystując go, należy być bardzo ostrożnym. Najwyraźniej teraz jest wyjątkowa chwila, pomyślał młody Patington i odpowiedział.

– Czemu nie, mam nadzieję, że to nie zaszkodzi.

– Dobra wieszczba nigdy nie szkodzi, tylko ostrzega – rzekła Greta.

Następnie siadła obok młodzieńca i oznajmiła.

– Często wiedźmy i wróżbici korzystają z kart, kości do gry, patyczków runicznych lub wnętrzości zwierząt i ludzi. Robią to, aby wywołać odpowiednie wrażenie u przybyłych i wyłudzić od nich jak najwięcej monet za swoje usługi.

Takie wróżby są nic nie warte. Kiedy jednak ma się prawdziwy dar, to żadne dodatkowe przedmioty nie są potrzebne.

Chwyciła młodzieńca za ręce swoimi kościstymi palcami. Długo milczała. Po pewnym czasie zaczęła wolno mówić.

– Po zimie jest wiosna, a po wiosnie lato. Przeminie lato i nastanie jesień. Wraz z nią nadejdą krwawe dni. Trzech potężnych władców wyruszy w bój, aby tron angielski zdobyć. Dwóch przyplaci to życiem. Trzeci okryje się wielką chwałą. Zdecyduj sam, po czyjej stronie staniesz. Jeśli dokonasz właściwego wyboru, to w dniu decydującej bitwy stoczysz pojedynek z budzącym strach wojownikiem. Jego wynik wpłynie na twoje dalsze życie. Zaś losy królestwa przypieczętuje strzała. Będzie to strzała przeznaczenia.

Po tych słowach babcia wstała i poczłapała do swego kąta w rogu izby. Zdumiony Gareth chciał zadać wiele pytań, lecz wiedział, że nie warto. Tej nocy niczego się już nie dowie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nastał szary i mglisty poranek. Z nieba sączył się uciążliwy marznący deszcz ze śniegiem. Zasypanym traktem do Patington Home podążał strudzony posłaniec na spienionym koniu. Strażnik stojący na czatowni zoczył go pierwszy i krzyknął na pozostałych. Zaczęto otwierać wrota.

Garet przebudził się nagle, słysząc tętent końskich kopyt dochodzący z podwórza. Uświadomił sobie, że zasnął przy stole. Przeciągnął się, ziewnął i wstał, aby zobaczyć, co się dzieje. Podeszedł do drzwi i otworzył je. Od razu dostrzegł Jefa. Chłopak był gońcem sir Edgara Hamertona. Posłaniec zsiadł z konia i podeszedł do młodego Patingtona. Zmęczone zwierzę odprowadzono do stajni.

– Jakie wieści przynosisz? – rzekł Garet.

– Król nie żyje – odparł Jef, wchodząc do izby.

– A, więc stało się – wtrącił John Patington, który zdążył już powstać z ławy.

– Tak, stało się – przytaknął posłaniec, po czym sięgnął do wiszącej mu u pasa skórzanej sakwy. Wyjął stamtąd pergamin związany starannie rzemieniem i oznaczony pieczęciom earla Morcara. Następnie podał go Johnowi. Z razu było wiadomo, że dokument zawiera ważne wieści. Starszy Patington przełamał pieczęć, rozwinął rulon i czytał w milczeniu. Tymczasem Garet nalał Jefowi piwa oraz włożył mu w dłoń kawał wędzonego sera.

– Pójdźmy – usłyszał głos ojca, który machnął trzymaną w ręku kartą pergaminu i wyszedł na zewnątrz.

Przed domem zebrał się już niewielki tłum zaciekawionych mężczyzn, kobiet i dzieci. Jako ostatni dołączył do zgromadzonych ksiądz Tobiasz, który wybiegł z niewielkiego budynku pełniącego rolę kaplicy. Wszyscy czekali w skupieniu na słowa swojego pana. John podszedł do rosnącej samotnie gruszy. Spojrzał jeszcze raz na trzymany w ręce pergamin. Rozejrzał się po zebranych i powiedział.

– Dzisiejszego ranka posłaniec sir Edgara Hamertona przywiózł ten dokument! Za chwilę dowiecie się, co zawiera!

Nastała krótka chwila ciszy.

– Obwieszcza się, że dnia 5 stycznia roku pańskiego 1066, król Anglii Edward Etheling pożegnał się z życiem!

Wiadomość ta wywołała poruszenie tłumu. Zaczęto szeptać słowa modlitwy. Niektórzy czynili znak krzyża. Jedna z kobiet, najwyraźniej wzruszona, zaczęła głośno płakać.

– Odszedł spokojny. Niechaj imię jego na zawsze pozostanie w naszej pamięci!

Ponownie zapadła cisza.

– Przed swoją śmiercią monarcha wyznaczył na swego następcę szlacheckiego Harolda syna Godwina!

Po tych słowach rozległy się pomruki niezadowolenia.

– Już następnego dnia możni panowie z całego kraju zebrali się i wybrali earla Harolda na króla Anglii!

Zebrani wokół dworu ludzie zaczęli gwizdać i głośno krzyżeć

– Wstyd!, hańba!

– Dnia 7 stycznia 1066 roku nowy władca został namaszczony i koronowany! Następnie złożył uroczystą przysięgę! Obiecał zawsze bronić swoich poddanych!

W tłumie rozległy się salwy śmiechu.

– Uroczystość odbyła się w katedrze westminsterskiej! Koronacji dokonał arcybiskup Jorku Eldred!

Odczytywanie dobiegło końca. Wzburzeni mieszkańcy osady zaczęli dyskutować i nerwowo gestykulować. Tu i tam wybuchały zbiorowe kłótnie. Zdenerwowane matki wrzeszczały na dzieci, które rozzuchwalone plątały się pod nogami dorosłych. Zamieszanie narastało. Tymczasem Gareth odprawił posłańca, który wsiadł na konia i odjechał. John Patington musiał odpowiedzieć na wiele pytań, zanim udało mu się uspokoić ludzi. Pomógł mu w tym Tobiasz. Wreszcie, kiedy się rozeszli, wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. Następnie kazał synowi przynieść bukłak wybornego francuskiego wina, które trzymał na specjalne okazje. Nalał sobie kubek i siadł na stołku. Gareth nie przepadał za czerwonym trunkiem, więc zajął się rozniecaniem ognia w palenisku.

– Teraz rozpoczną się rozmowy, które do niczego nie doprowadzą, a potem będzie wojna – rzekł ojciec.

– Wilhelm pragnie korony, a Harold nie odda jej dobrowolnie – odparł syn.

– Podobno Normandczyk gromadzi silną armię. Musi jednak przepłynąć ją przez morze, a to ryzykowne, nawet przy dobrej pogodzie. Jeśli angielskie brzegi będą dobrze chronione, to książę skazany jest na porażkę.

– Chyba, że przybędą Wikingowie z Północy. Wtedy to Harold znajdzie się w potrzasku.

– Jeżeli rzeczywiście przyplyną Norwegowie, to będzie z nami źle. My oraz Mercjanie będziemy musieli bić się z nimi na północy. Tymczasem nasz król będzie strzegł południowych brzegów kraju.

Ta uwaga zakończyła rozmowę. Patingtonowie pograżyli się w rozmyślaniach. Wpatrywali się przy tym w ogień, który właśnie się rozpałił.

Był mroźny, słoneczny dzień. Nic niezwykłego, jak na początek lutego. Margaret szła samotnie przez wieś, rozchlapując butami mokry śnieg. W ręce trzymała wiadro wypełnione do połowy ziarnem. Za nią podążało stado głodnych kur oraz wrzaskliwe jak zawsze gęsi. Dziewczyna przystanęła na skraju wsi i zaczęła karmić ptaki. Wyjmowała garściami ziarna z wiadra i rozsypywała je dokoła. Karmienie drobiu nie jest zbyt ciekawym zajęciem, pomyślała. Ale i tak o wiele lepszym, niż przędzenie wełny lub dojenie krów. Przynajmniej można przebywać na świeżym powietrzu. W ogóle uważała, że życie na wsi jest nudne. Każdy następny dzień był podobny do poprzedniego. Tylko od czasu do czasu mogło zdarzyć się coś naprawdę niezwykłego. Zawsze dziwiła się dziewczętom, które z uśmiechem na twarzy wykonywały swoje codzienne, domowe obowiązki. Ona zwykle chciała czegoś więcej, lecz nie wiedziała dokładnie, czego. Była po prostu inna.

Jej przyjście na świat wywołało wielkie zamieszanie. W rodzinie ludzi jasnowłosych i niebieskookich urodziła się dziewczynka obdarzona kruczymi włosami oraz czarnymi jak węgiel oczami. Nikt nie potrafił wyjaśnić tej niezwyklej sytuacji. Ojciec uznał, że żona go zdradziła. Zamierzał wypędzić ją z domu razem z niemowlęciem. Matka przysięgała, że zawsze była i pozostaje mu wierna. Znaleźli się też i tacy, którzy sądzili, że dziecko musi być córką człowieka parającego się czarną magią. Domagali się oni uśmiercenia noworodka.

Sprawę rozstrzygnął ksiądz Tobiasz, który niespodziewanie pojawił się w wiosce. Kapłan ochrzcił dziewczynkę oraz nadał jej imię. Następnie zapowiedział, że jeśli ktokolwiek skrzywdzi dziecko lub matkę, to padnie ofiarą straszliwej klątwy i przez wieczność będzie smażył się w ogniu piekielnym. Te mocne słowa duchownego odniosły zamierzony skutek. Mała Margaret mogła

spokojnie dorastać. Wieśniacy ją zaakceptowali, lecz mimo upływu lat, większość z nich nadal starała się jej unikać.

Rodzice nigdy się nie pogodzili. Ojciec miesiącami błąkał się po lasach, żyjąc z kłusownictwa. Po kilku latach zginął od rany zadanej przez dziką. Podobno wykrwawił się na śmierć. Kiedy Margaret miała dziesięć lat, straciła również matkę, która zatrzymała się przyniesionymi z boru grzybami. Od tamtej pory musiała zajmować się domem wspólnie z dwoma starszymi braćmi bliźniakami: Ralfem i Rolfem.

Ralf niedawno ożenił się z kobietą o imieniu Owena. Była to krzepka gospodyni, która od razu przypadła Margaret do gustu. Niewiasta ta bez oporu wykonywała żmudne obowiązki domowe. Dlatego obie dziewczyny szybko się polubiły.

Drugi z bliźniaków, Rolf, poszedł w ślady ojca i polował w lesie na zwierzynę. Już raz oskarżony o kłusownictwo, przesiedział trzy miesiące w miejskim lochu, cudem unikając stryczka. Ocalał głowę dzięki wstawiennictwu zacnego księdza Tobiasza.

Sama Margaret zawarła zeszłego lata znajomość z synem właściciela wioski Garetem Patingtonem. Bez trudu udało jej się go oczarować. Ów szlachcic stał się dla niej szansą na lepsze życie. Przeczuwała jednak, że nic z tego nie będzie. Niepodobna przecie, żeby szlachetnie urodzony żenił się z prostą wieśniaczką. Młodzieniec jednak nie zważał na obyczaje i podtrzymywał znajomość. W Boże Narodzenie podarował jej piękne futro, które dziś miała na sobie.

Z zamyślenia wyrwał dziewczynę ból. Wielki gąsior dziobnął ją w palec u prawej ręki, w której nie było już ziarna. Dłoń nie została zraniona dzięki grubej skórzanej rękawicy. Rozzłoszczona kobieta zaczęła krzyczeć i wywijać pustym wiadrem, aby odgonić natarczywe ptaki. Była tak pochłonięta tym zajęciem, że nie usłyszała zbliżających się od tyłu człowieka i zwierzęcia.

– Cóżżeś tak wzburzona pani.

Od razu rozpoznała ten głos. Odwróciła się i zobaczyła Gareta. Stał dziesięć kroków od niej i uśmiechał się. Trzymał za uzdę swojego bojowego rumaka, który był cały czarny z białą gwiazdką pośrodku czoła. Margaret podbiegła do nich i przytuliła się do rycerza.

- Gęsi, jak zawsze natarczywe – odparła.
- Taka już ich natura. A ty, jak zwykle wojownicza.
- Taka już moja natura – zaśmiała się radośnie i pocałowała go w usta.
- Siadaj na konia. Przejdźmy się.

Dziewczyna rzuciła wiadro na ziemię. Następnie podeszła do ogiera i zgrabnie wskoczyła mu na grzbiet. Siodło okazało się wygodne. Garet dotrzymywał jej towarzystwa, idąc pieszo. Przez pewien czas szli w milczeniu, obserwując otoczenie. Wreszcie zniecierpliwiona niewiasta przerwała milczenie.

- Rolf znowu trudni się kłusownictwem – rzekła.
- Widać miesiące spędzone w lochu niczego go nie nauczyły – odparł młody Patington.
- Co gorsza dwie niedziele temu chwalił się we wsi tym, że widział bandytów Wulfa Czarnego.
- Zatem jest nadętym głupcem i otwarcie prowokuje śmierć.
- Mówiłam mu to samo, lecz chyba nie pojął.
- Jak zwykle. Jeśli sir Edgar Hamerton dowie się, że Rolf trzyma z banitami Wulfa, to nikt go już nie uratuje.
- Wiem.
- Nawet ksiądz Tobiasz nie będzie mógł wiele zdziałać.
- Wiem.
- Ani ja.
- Wiem.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Oboje wiedzieli, że Wulf zwany Czarnym z powodu silnej opalenizny i obfitego owłosienia skóry, był niegdyś

łowczym Edgara Hamertona. Pięć lat temu z niewiadomych przyczyn zaatakował swego pana i ciężko zranił go nożem. Następnie czmychnął w bór. Edgar ledwie uszedł z życiem. Od tej pory poprzysiągł Wulfowi stryczek. Wynajmował ludzi, którzy przeczesywali las w celu schwytania zbrojcy. Wyznaczył nawet nagrodę za jego głowę. Tymczasem zuchwały rozbójnik skrzyknął bandę obdartusów i często robił wypadki, okradając pomniejszych majątki szlacheckie.

– Przynajmniej mój drugi brat żyje spokojnie. Ma dobrą żonę, która urodzi mu gromadkę dzieci – rzekła Margaret.

– To wspaniale – odparł Garet.

– A ty, czy mówiłeś już z ojcem?

– O czym?

– Jak to... – zdziwiła się. – O naszym ślubie.

– Wielokrotnie, lecz na razie nie mam jego zgody. Chce dla mnie szlachcianki.

– A ty, którą chcesz?

– Ja chcę ciebie.

– Zatem, co uczynisz? – uśmiechnęła się.

– Poczekajmy. Zbliża się wojna. Zapewne przyjdzie mi walczyć. To nieodpowiedni czas na ślub.

– Kiedy nadejdzie ten właściwy czas?

– Gdy wojna się skończy.

– Myślisz, że wtedy twój ojciec się zgodzi?

– Tego nie wiem.

– A jak nie wyrazi zgody, tylko będzie upierał się przy swoim?

– Wówczas pobierzemy się bez jego pozwolenia.

– To go rozgniewa.

– Nie obawiaj się. Tobiasz jest po naszej stronie. Przemówi ojcu do rozumu i będzie dobrze.

– Zatem, niech wojna szybko się skończy – westchnęła.

– Jeszcze się nawet nie zaczęła.

– Kogo popiera twój ojciec?

– Póki co, obaj musimy walczyć po stronie nowego króla, a potem się zobaczy. Ważne, abyśmy po wojnie byli pośród zwycięzców.

– A co z waszymi świętymi przysięgami oraz honorem?

– Earl Harold pierwszy złamał przysięgę i stał się uzurpatorem. Słowo dane krzywoprzysięzcy nie jest wiążące.

– Skoro tak mówisz kochany, a co na to ksiądz Tobiasz?

– Nie pytałem go o zdanie.

Po tych słowach rozmowa została przerwana. Margaret wpatrywała się w dal, myśląc o niewiadomej przyszłości. Garet szedł obok i obserwował jej piękne włosy przyozdobione świeżym śniegiem, który niedawno zaczął padać.

– Powinniśmy już wracać – oznajmił.

Był to dzień typowy dla przedwiośnia. Niebo nad Patington Home zasnuwane było gęstymi ciemnymi chmurami, z których siąpiła uciążliwa mżawka. Wiał silny i porywisty wiatr. Na drogach było pełno kałuż i błota. W takie dni, ten, kto nie musiał, nie wychylał nosa na podwórze. Ludzie woleli pozostawać w ciepłych domowych pieleszach.

Gdyby jednak w tej właśnie chwili jakiś zabłąkany wędrowiec przejeżdżał

obok osady, to usłyszałby szcęk mieczy. Nie pomyliłby się, ponieważ na placu przed głównym domostwem walczyło dwóch mężczyzn. Obaj mieli na sobie kolczugi, lecz żaden z nich nie nosił hełmu. Widocznie nie bali się ryzykować. W dłoniach dzierżyli miecze, którymi zadawali szybkie i precyzyjne ciosy. Nieopodal nich leżały dwa jednoręczne topory, których używano wcześniej. Nieco dalej poniewierały się po ziemi dwie rozrżbane tarcze z wizerunkiem białego miecza wymalowanym na czarnym tle. Był to herb Patingtonów. Dwóch przedstawicieli tego wojowniczego rodu, staczało właśnie ćwiczebny pojedynek.

John atakował szybkimi cięciami z góry. Zmuszał syna do nieustannego blokowania ciosów, osłaniania głowy i cofania się. Nagle, wykonując kolejne cięcie, gwałtownie opuścił miecz i zadał pchnięcie w odsłonięty brzuch przeciwnika. Syn nie dał się zaskoczyć. Zrobił szybki unik, uciekając w bok. Następnie przeszedł do kontrataku. Gareth zasypał rodziciela seriami błyskawicznych pchnięć kierowanych na pierś, brzuch, boki oraz nogi. Stosował przeróżne kombinacje, aby osłabić koncentrację przeciwnika i zmusić go do popełnienia błędu. Stwierdził z dumą, że zasapany ojciec parował wszystkie ciosy z wielką wprawą. Starszy Patington musiał przyznać, że odpieranie gwałtownych ataków syna przychodzi mu z coraz większą trudnością. Wiedział, że długo tak nie wytrzyma, dlatego postanowił użyć podstępu. Jego prawa noga wykonała ruch wyglądający na nagłe poślizgnięcie. Lewa ręka wystrzeliła w bok w celu utrzymania równowagi. Potomek połknął haczyk. Skrócił dzielący ich dystans. Chciał skorzystać z nadarzającej się okazji i rozstrzygnąć walkę. Wtedy otrzymał zaskakujący cios ręką w twarz. Oszołomiony Gareth zatoczył się w tył. Nim doszedł do siebie, poczuł, a następnie ujrzał między własnymi oczami ostrze damasceńskiej stali. Zrezygnowany opuścił swój miecz.

– Ponownie dałeś się zaskoczyć! – ryknął ojciec. – Musisz poprawić koncentrację. Naucz się przewidywać ruchy przeciwnika.

– Tym razem byłem bliski zwycięstwa – odparł Gareth.

– Bzdura, kontrolowałem walkę od początku do końca. Masz szczęście, że uderzyłem cię otwartą dłonią, niczym baba, a nie pięścią, jak mężczyzna.

Następnie John odstawił klingę od twarzy syna, zostawiając mu pamiątkę w postaci lekkiego nacięcia między brwiami. Gareth uczył maleńką stróżkę krwi spływającą mu po nosie. Dwaj szermierze odstępili od siebie, gotując się do kolejnego starcia. Zaczęli okrążyć się nawzajem, wyczekując na dogodny moment do ataku.

Garet zaczął pierwszy. Wykonał pchnięcie w prawe ramię przeciwnika. Ojciec sparował ten cios, po czym skrzyżował własny miecz z klingą syna. Młody rycerz złapał rodziciela za brodę, próbując przyciągnąć go do siebie. Starszy Patington oparł lewą dłoń na piersi potomka i odepchnął go. Gareth nie stracił równowagi, ale postanowił przechytrzyć rywala jego własną bronią. Upozorował potknięcie. Tym razem to ojciec złapał przynętę. Zadał błyskawiczne pchnięcie w środek tułowia młodzieńca. Ten nie próbował nawet stawiać zasłony. W ostatniej chwili gwałtownie skrzył ciało w bok, dzięki czemu damasceńska klinga tylko musnęła jego zbroję. Następnie uderzył płazem własnego miecza w dłoń przeciwnika, który syknął z bólu. Broń wypadła z odrętwiałej ręki. Gareth wydał gromki okrzyk radości i spojrzał wyzywająco na ojca.

– Dobrze synu, dobrze, nareszcie – wyszeptał senior rodu.

John podniósł z ziemi ubłocony miecz. Zaczął go dokładnie czyścić, kawałkiem białego płótna, które wydobył z prawego buta.

– Dobrze dziś walczyłeś synu – potwierdził. – Gdybyś jednak bił się z wrogiem, to byłbyś już martwy. Przegrałeś pierwsze starcie. Zapamiętaj, że na wojnie musisz zwyciężyć za pierwszym razem. Drugiej szansy nie będzie.
– Wsunął ostrze do pochwy i poszedł do domu, by zaspokoić pragnienie. Syn podążył za ojcem w milczeniu.

Był 24 kwietnia 1066 roku. Zima dawno już przeminęła. Trawa wyrosła soczysta i świeża. Drzewa pokryły się pachnącym kwieciem. Ptaki swiergotały wesoło. Na polach kończono zasiewy. Wiosna była w pełni.

Tego wieczoru Gareth i Margaret szli przez łąki pokryte żółtymi kwiatami. Dziewczyna niosła pełny kosz świeżych ziół. Rycerz miał w skórzanym worku zająca, którego upolował celnym strzałem z łuku. Oboje gawędzili wesoło.

– Mówiłem z Tobiaszem – perorował młody Patington. – Kiedy wojna się skończy, udzieli nam ślubu niezależnie od woli ojca.

– Naprawdę sprzeciwisz się ojcu? – spytała wieśniaczka.

– W tej sprawie bez wahania.

- To będzie kłótnia.
- Nie boję się kłótni.
- Ale ja tak.
- Nie obawiaj się. Tobiasz mówił, że przekona mojego rodziciela.
- Jak?
- Twierdził, że posiada pewien istotny argument, którego na razie nie ujawni.
- Dlaczego?
- Bo czyniąc to, musiałby zdradzić tajemnicę spowiedzi.
- Czyjej?
- Nie wiem.
- Zatem, czy kiedykolwiek to uczyni?
- Powiedział, że tak, ale w stosownym czasie.
- Ciekawe, co to za tajemnica?
- Istotnie.
- Może ma coś wspólnego ze mną?
- Być może, ktoś to wie?
- Naprawdę chcesz mnie za żonę?
- Tylko ciebie i żadnej innej.
- Nie potrafię nawet napisać swojego imienia.

– To nieistotne. Nauczę cię. Przekonasz się, że to nie takie trudne.

– Zobaczymy – uśmiecha się.

Garet wspomniał długie godziny spędzone przy stole z gęsim piórem w ręku. Wtedy to, pod okiem księdza Tobiasza, uczył się odczytywać litery. Następnie zapisywał je na pergaminowych kartach. Nigdy nie był biegły w czytaniu. Za to miał piękny charakter pisma. Znał też po trochu mowę Szkotów, Franków i Germanów z Północy. Jego mistrz uważał, że każdy rozumny wojownik powinien poznać język swoich sąsiadów oraz wrogów. Z zamyślenia wyrwał młodziana niewieści głos.

– Spójrz na niebo, kochany. Cóż to za dziwo?

Mężczyzna uniósł głowę. Na zachodzie widoczne były ostatnie promienie słońca. Niebo było niemal bezchmurne. Gwiazdy świeciły jasno. Dobrze widoczny był również księżyc. Jednak nic z tych rzeczy nie przykuło jego uwagi. Wpatrywał się bowiem w coś, czego nigdy wcześniej nie oglądał na nieboskłonie. Znajdowało się to bliżej niż gwiazdy. Jaśniało dziwnym świetlistym blaskiem. Za sobą ciągnęło długi jęzor ognia, który przywodził na myśl płonącą pochodnię. Gareth był zdumiony tym niezwykłym widokiem. Długo nie potrafił oderwać odeń oczu.

– Płonąca gwiazda – powiedział.

– Co takiego? – spytała kobieta.

– Babcia Greta mówiła kiedyś, że co pewien czas na niebie pojawiają się płonące gwiazdy. Podobno widziała jedną, kiedy była małą dziewczynką. Może to ta sama?

– Ja też o nich słyszałam od pewnej wróżbitki. Podobno są zwiastunami nieszczęść, pożogi i głodu.

– Zapowiadają także krwawe wojny.

– Zatem teraz wiemy, że na pewno dojdzie do walki.

– Wiedzieliśmy to od dawna.

– Ciekawe, skąd biorą się te gwiazdy?

- Tego nie wie chyba nikt z żyjących.
- Nawet ojciec święty?
- Dlaczego miałby wiedzieć?
- Jest przecież namiestnikiem Boga na Ziemi.
- To nie czyni go wszechwiedzącym.
- A nasi zmarli przodkowie. Czy oni wiedzą?
- Być może...

Szli dalej w milczeniu, trzymając się za ręce. Do wioski nie było daleko.

Z nastaniem miesiąca maja Anglię ogarnęło poruszenie. Powrócił brat króla Harolda, Tostig. Od zeszłej jesieni przebywał on na wygnaniu. Ostatnio zyskał poparcie swego krewniaka, księcia Baldwina V flandryjskiego, który wyposażył go w niewielką flotę. Zebrawszy ludzi, młodszy syn Godwina popłynął do ojczyzny, aby upomnieć się o swoje. Gdy dotarł do południowego wybrzeża, napadł na wyspę Wight, grabiąc mieszkańców doszczętnie. Następnie pożegłował do miejscowości Sandwich. Kiedy monarcha dowiedział się o przybyciu Tostiga, kazał zwołać armię oraz fyrd. Niezwłocznie wyruszył bratu naprzeciw. Ten, obawiając się konfrontacji, załadował wojów na okręty i czmychnął na północ. Udał się do swej dawnej prowincji, aby tam szukać sojuszników.

Garet Patington stał na podmokłej plaży i wpatrywał się w bezkresną morską toń. Bardzo lubił obserwować wzburzone fale. Nie zważał na silny wiatr i obfity deszcz. Osłaniał go płaszcz, pod którym znajdowała się kolczuga nałożona na płócienną koszulę. Grube, wełniane spodnie oraz solidne skórzane buty chroniły stopy przed wilgocią. Za plecami rycerza rozciągała się wioska rybacka. Ta sama, którą dziewięć lat temu, odwiedził w towarzystwie wuja Jacka. Wtedy to odbył swój pamiętny rejs rybacką łodzią. Tego dnia wszystkie statki były wyciągnięte na ląd. Ludzie kulili się w chatach, drżąc z dotkliwego zimna.

Młody Patington również nie był kontent. Nie tak wyobrażał sobie swoją

pierwszą kampanię wojenną. Od dziesięciu dni tkwił w zapyziałej wiosce, zamiast być z główną armią Northumbrii i sposobić się do boju. Dowodził dwudziestoma ludźmi. Dziesięciu przekazał mu ojciec. Drugą dziesiątkę wybrał on sam z pośród wieśniaków z fyrdu.

Kiedy rozeszła się wieść o pojawieniu się floty Tostiga u południowych wybrzeży Anglii, earl Northumbrii Morcar nakazał zebrać wojsko. Gromadziły się więc drużyny zbrojnych wojowników oraz gromady chłopów zdolnych do noszenia broni. Patingtonowie stawili się z poczem u swego seniora, Edgara Hamertona. Wspólnie dołączyli do głównych sił dowodzonych przez earla Morcara. Sądziło się, że przyjdzie im ruszyć na południe, aby wesprzeć króla. Wydarzenia potoczyły się jednak inaczej. Nieobliczalny Tostig pojawił się na północy. Jego ludzie ograbili i spalili kilka nadmorskich osad. W związku z tym, wydano nowe rozkazy. Obsadzono northumbryjskie brzegi niewielkimi oddziałami wojów, które miały wypatrywać wrogów oraz ochraniać miejscową ludność. Gdyby nieprzyjaciel zdecydował się przybić do brzegu, należało powiadomić o tym earla Morcara.

Garet wiedział doskonale, że z tak szczupłymi siłami nie byłby w stanie ochronić bezbronnych kobiet i dzieci. Mógłby jedynie nadzorować ich ucieczkę, bacząc, aby nie wpadły w panikę. Wiedział też, jak mało prawdopodobne jest to, że wróg przyplynie akurat do wsi obsadzonej przez jego ludzi. Młodzieniec był zły na sir Edgara za to, że ten powierzył mu tak niewdzięczne zadanie. Nie ułagodziły go słuszne słowa ojca, który wielokrotnie tłumaczył, że wojna to nie tylko krwawe zmagania walecznych mężów.

Pociechę dla niego stanowiła niedawna wizyta pięknej Margaret. Dziewczyna przybyła dwa dni temu po świeże ryby. Myślał o niej, kiedy usłyszał kroki. Odwrócił się i ujrzał wieśniaka Rolfa. Mężczyzna szedł pospiesznie przez wieś w jego stronę. Był niewysoki, szczupły i piegowaty. Miał niebieskie oczy i jasne włosy. Charakteryzował go też długi haczykowaty nos. Odziany był w skóry. Uzbrojony w harpun, siekiere oraz nóż do patroszenia zwierząt. Już z daleka wyglądał na kłusownika, którym rzeczywiście był. Zbliżył się niepewnie i zapytał.

– Wzywałeś mnie panie?

– Tak – odparł Patington.

– O co chodzi panie?

- O kłusownictwo.
- Dawno z tym skończyłem panie. Siostra potwierdzi.
- Właśnie Margaret mi o tym wspomniała.
- Przesadza panie. Niewiasty są przewrażliwione.
- Doprawdy, to co robiły dwa martwe zające w waszym domostwie? Czyżby przyszły tam o własnych siłach?
- Głodujemy panie, a do żniw daleko. Powinieneś być rad, że twa wybranka jada smakowite potrawy.
- Jestem rad i to bardzo.
- Zatem, nic mi nie grozi panie?
- Z tego powodu nic.
- A są inne powody panie? – spytał ostrożnie Rolf.
- Jedna sprawa.
- Jaka panie?
- Dobrze wiesz, szelmo.
- Nie wiem panie.
- Chcę wiedzieć, gdzie jest Wulf Czarny?
- Nie mam pojęcia panie.
- Łżesz.
- Nigdy nie miałem z nim nic wspólnego.
- Miałeś Rolfie. Kilka niedziel temu paplałeś o tym po pijaku. Wszyscy wokoło już wiedzą. Kiedy wieść dojdzie do sir Edgara, to czekają cię

tortury, a następnie miłe spotkanie z katem.

– Tylko raz z nim polowałem panie. Nie należę do jego bandy.

– Gdzie się ukrywa? Wskaż mi jego matecznik albo zawiśniesz.

– Nie znam leśnych kryjówek tego zbója panie.

– A inne kryjówki znasz?

– Nie panie. Wiem tylko, że służy on u pewnej szlachetnej damy.

– Szlachetnej pani – zdziwił się rycerz.

– Tak panie. Podobno ta kobieta jest sama we dworze. Nie ma męża ani dzieci. Dlatego wynajmuje ludzi, którzy zarządzają jej włościami. Wulf jest jednym z tych zarządców.

Młody Patington był zdumiony. Od razu domyślił się, o kogo chodzi.

– Czy ta niewiasta zowie się Klotylda Finck?

– Nie wiem panie. Wulf nie wyjawiał jej imienia.

Garet spojrzał w oczy kłusownika.

– Czy to, co mi powiedziałaś, jest prawdą?

– Najprawdziwszą prawdą panie, przysięgam na Chrystusa.

– Zatem odejdź na swoje stanowisko.

Rozmowa dobiegła końca. Młody rycerz udał się do swej kwatery, którą była największa chata we wsi. Chciał napić się ciepłego piwa, aby rozgrzać wychłodzone ciało. Nagle dostrzegł zbliżającego się jeźdźca. Przystanął i przyjrzał mu się dokładnie. Natychmiast rozpoznał własnego ojca. Szparko ruszył mu na spotkanie. John Patington zatrzymał konia i zwinnie zeskoczył z siodła. W następnej chwili mężczyźni padli sobie w objęcia. Śmiali się przy tym wesoło.

– Witaj synu! Czy wróg się pokazał?

– Skądże ojcze, siedzimy tutaj od wielu dni i wpatrujemy się w morze. Zamiast walczyć i powalać nieprzyjaciół.

– Przyjdzie czas, to będziesz walczył, ale na razie nie zobaczysz wroga.

– Dlaczego?

– Przed trzema dniami stoczyliśmy potyczkę z wojskami Tostiga. Nie była to wielka bitwa. Mój miecz nie został nawet umazany krwią. Zanim na dobre zaczęliśmy, przeciwnicy poszli w rozsypkę. Rozpierzchli się niczym stado królików po łące. Zabrakło im odwagi, umiejętności, doświadczenia oraz dobrego przywódcy.

– A co z Tostigiem? Został schwytany lub zabity?

– Nie. Tchórz zdołał zbiec. Najprawdopodobniej popłynął do Szkocji.

– Znajdzie tam niewielu sprzymierzeńców.

– To prawda.

– A jeśli uda się do Norwegii?

– Wtedy, jak już ci wcześniej mówiłem, znajdziemy się w poważnych opałach. Być może król myśli podobnie, ponieważ nakazał, aby nie rozpuszczać zwołanej armii. Mamy pozostać w gotowości bojowej i nieprzerwanie strzec brzegów Northumbrii.

– Zatem, nadal będę musiał tutaj tkwić.

– Nie mój drogi. We wsi pozostanie tylko pięciu ludzi, którzy będą się zmieniać co tydzień. My możemy wracać do domu.

– To świetnie ojcze, lecz zanim wyruszymy, napijmy się piwa.

– Dobry pomysł synu.

Obydwaj wojownicy poszli do chaty, w której czekał już na nich dzban podgrzanego trunku.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przeminęła wiosna i nadeszło lato. Dni stały się długie i ciepłe. Słońce świeciło jasnym promiennym światłem. Wielu ludziom zrobiło się lżej na sercu. Z większą nadzieją spoglądali w przyszłość. Pomimo tego, nadal żyli w strachu. Obawiali się wojny, która mogła wybuchnąć w każdej chwili. Wojsko króla Harolda obsadziło południowy brzeg Anglii, aby odeprzeć armię księcia Normandii Wilhelma, który był już gotowy do ataku. Czekał tylko na dogodny moment. Wrogów wypatrywano również na północy. Mieszkańcy Northumbrii i Mercji z obawą oczekiwali na przybycie krwiożerczych Wikingów. Niemal wszyscy Anglicy byli zmobilizowani i gotowi do walki.

Po południu do wsi przybyli trzej jeźdźcy. Ich konie rozgoniły pasący się swobodnie drób. Jeden odważny gąsior, który chyba nie zamierzał ustąpić z drogi, zakończył życie pod kopytami prowadzonej luzem klaczy. Ten drobny wypadek przykuł spojrzenia kilku wieśniaków. Jadący mężczyźni zatrzymali się przed jedną z chat. Garet Patington zeskoczył na ziemię. Podeszedł do drzwi i zastukał w nie pięścią. Otworzyła mu młoda, przysadzista kobieta. Miała rumianą twarz, szare oczy i jasne włosy. Odziana była w cienką suknię z białej wełny. Z kształtów jej ciała młodzian wywnioskował, iż znajduje się ona w błogosławionym stanie.

– Ty pewnie jesteś Owena? – rzekł.

– Tak panie, skąd znasz moje imię?

– Margaret mi powiedziała.

– Niestety nie ma jej tutaj. Jest nad rzeką. Robi pranie. Powinna wrócić niebawem.

– Nie mogę czekać. Przekażesz jej pozdrowienia?

– Oczywiście panie.

– Przybyłem pomówić z Rolfem. Czy on jest dziś w wiosce?

– Jest panie, pomaga bratu w oborze.

– Zajdę do niego, a ty dziewczyno przygotuj napitek. Nie zapomnij też o wodzie dla strudzonych koni.

– Nie mamy za wiele panie. Czy kwaśne mleko wystarczy?

– Tak – stwierdził.

Wydobył z sakiewki srebrną monetę i wsunął ją w dłoń niewiasty.

– To dla twego potomka, który jak miemam, rychło przyjdzie na świat.

Owena rozwarła usta ze zdumienia. Zanim zdołała wykszusić słowo, rycerz odwrócił się i odszedł.

Przed oborą zastał braci bliźniaków, którzy widłami wciągali gnój i sypali go na kupę. Odziani byli w płócienne koszule i potargane gacie. Na stopach mieli drewniane chodaki. Garet dostrzegł, że obaj są bardzo do siebie podobni. Istotną różnicą w ich wyglądzie było to, że Ralf był nieco wyższy od brata, a jego twarz nie była upstrzona piegami.

– Rolf musisz iść ze mną – powiedział młody Patington.

– Dlaczego panie? – spytał zaskoczony chłop.

– Z rozkazu sir Edgara Hamertona.

– A jeśli nie pójdę? - Rolf uniósł widły, jakby gotował się do ataku.

– Nawet nie próbuj – odparł rycerz, kładąc dłoń na rękojeści miecza. – Nie zdążysz zadać ciosu. Jeśli myślisz o ucieczce, to pamiętaj, że mamy konie. Nie zdołasz nawet dobiec do lasu.

– Miarkuj się bracie – napomniął go Ralf.

Zrezygnowany kłusownik rzucił widły na ziemię i podszedł do Garetę.

– Nie umiem jeździć konno panie.

– Nie martw się tym chłopie. Moi słudzy ci pomogą. Na pewno nie spadniesz.

Wkrótce, nadeszła Owena z trzema kubkami chłodnej maślanki. Garet jednym haustem wypił kwaśny płyn. Otarł ust rękawem kolczugi i zapytał.

– Czy konie napojone?

– Tak panie – odparła dziewczyna.

– Czas ruszać w drogę! – oznajmił.

Podszedł do swego rumaka. Wskoczył na siodło i ruszył. Za nim podążali dwaj słudzy podtrzymujący nieszczęsnego Rolfa, który niezgrabnie dosiadał klaczy. Młody rycerz uwielbiał takie chwile. Razem z koniem pędzili drogą przed siebie, mijając pola ozłoczone niezliczonymi kłosami dojrzewającego zboża oraz łąki przyozdobione pachnącym kwieciem. Wszystkie troski, kłopoty i zmartwienia odpłynęły w dal. Czuł się szczęśliwy i wolny. Pragnął, aby tak pozostało już na zawsze. Szybko jednak musiał wrócić do rzeczywistości.

Do Patington Home wjechał galopem przez otwartą bramę. Znacznie wyprzedził swoich towarzyszy, więc nakazał, aby nie zamykano jeszcze wrót. Wprowadził konia do stajni i starannie go wyczyścił. Następnie udał się do domu. Zanim przekroczył próg, usłyszał basowy głos Edgara Hamertona, który opowiadał właśnie przygodę z młodzieńcych lat.

Pewnego razu młody Edgar znudzony własną małżonką, zapragnął poswawolić sobie z inną niewiastą. Zabrał więc karczemną nierządnicę na nadmorską plażę. Wiedział, że tam nikt ich nie zobaczy. Była to noc przy pełni księżyca. Oboje pozbyli się ubrań i już mieli rozpocząć radosne igraszki, gdy nagle nadeszła potężna fala. Uderzyła o brzeg i zalała ich słoną wodą. Wówczas Edgar dojrzał w świetle miesiąca, że skóra dziewczyny pokryła się śliską łuską. W miejscu jej nóg ujrzął ogromny rybi ogon. Wtedy zrozumiał, że został oczarowany przez syrenę. Natychmiast rzucił się do panicznej ucieczki. Od tego czasu już zawsze pozostawał wierny swojej małżonce Elenor.

Ludzie, którzy słyszeli tę opowieść, nie uważali jej za prawdziwą. Nikt jednak nie chciał obrazić wpływowego i bogatego magnata. Dlatego słuchano jej po wielokroć i przytakiwano z powagą.

Garet wszedł do izby i spojrzał na swego seniora. Był to mężczyzna wysoki i barczysty. Jego twarz pokryta była gęstym, czarnym zarostem. Jego oczy, podobnie jak włosy na głowie, również były ciemne. Liczył czterdzieści dwa lata. Zamiast kolczugi nosił dobrze dopasowaną zbroję płytową, wykonaną na zamówienie w Italii. Walczył długim dwuręcznym mieczem.

– Czy sprowadziłeś tego człowieka? – spytał Edgar.

– Oczywiście – odparł młody rycerz. – Niebawem przybędzie tutaj z eskortą.

– To dobrze. Nic mu nie rzekłeś?

– Nie.

– Zatem będzie zaskoczony.

Garet obszedł stół i usiadł pomiędzy ojcem a księdzem Tobiaszem. Starszy Patington podał synowi kubek mocnego piwa. Po pewnym czasie przyprowadzono sponiewieranego Rolfa. Dwaj strażnicy trzymali go za ręce.

– Czy ty jesteś Rolf kłusownik – rzekł Edgar?

– Jestem Rolf szlachetny panie, z kłusownictwem nie mam nic wspólnego.

– Skąd znasz Wulfa Czarnego?

– Nie znam go szlachetny panie. Polowałem z nim tylko raz. Nigdy więcej go nie widziałem.

– Wszyscy, którzy wspierają tego łotra, są zdrajcami. Zasłużyłeś na śmierć.

– Litości panie, nie jestem zdrajcą!

– Milcz! Jak rzekłem, zasłużyłeś na stryczek, ale zdecydowałem się okazać ci łaskę.

– Dzięki ci zacny panie.

– Podobno dobry z ciebie myśliwy.

– Najlepszy w okolicy panie.

– Zatem oświadczam, że od dziś jesteś jednym z moich łowczych. Zapełniaj mój stół, a nagroda cię nie ominie.

Następnie zwrócił się do strażników.

– Zaprowadzicie go do Jefa. On będzie wiedział, co z nim zrobić.

Rolf był tak zaskoczony, że nie zdążył nawet stęknąć, nim został wywiedziony za próg. Nastąpiło krótkie milczenie, które ponownie przerwał Edgar.

– Sądzicie panowie, że Klotylda, rzeczywiście ochrania tego łotra?

– Niekoniecznie – odparł Tobiasz. – Myślę, że Wulf jest tylko jednym z nadzorców jej majątku.

– Wobec tego zażądam wydania zdrajcy – rzekł Edgar.

– Dobre posunięcie – wtrącił John. – Udamy się do niej wszyscy. Mój syn wreszcie odpowie na zaproszenie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ustalimy termin zrękowin.

– Nie będzie żadnych zrękowin ojciec – oburzył się Garet. – Klotylda się nie nadaje. Przecież wszyscy wiedzą, że jest dla mnie za stara.

– Nie bądź śmieszny synu – odparł ojciec. – Wiek nie jest najważniejszy.

– Czy upatrzyłeś sobie inną, młody rycerzu – spytał Edgar?

– Tak – rzekł Garet.

– Którą, jeśli wolno spytać?

– To pewna wieśniaczka.

Hamerton spojrzał znacząco na młodszego Patingtona.

– Jak się zwie ta gołąbeczka?

– Margaret. Pochodzi z naszej wioski.

– To dobry wybór chłopcze. Masz moje poparcie. Teraz idź do stajni i sprawdź, czy mój koń jest dobrze wyczyszczony.

Słowa te wywołały ogólne zdumienie. John Patington rozwarł usta tak szeroko, że gdyby w pobliżu przelatywała mucha, to z pewnością, by ją połknął. Ksiądz Tobiasz przymknął oczy i złożył ręce tak, jakby nagle pograżył się w żarliwej modlitwie. Nawet służąca niosąca garniec ze zupą lekko zmyliła krok. Garet również był zaskoczony nieoczekiwanym poparciem, które otrzymał. Jego zdziwienie było tak wielkie, że nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Bez jednego słowa wstał od stołu i poszedł wykonać polecenie seniora.

Przebiegł przez podwórze i wpadł do stajni. Podeszedł do siwego ogiera i zobaczył, że jego sierść aż lśni czystością. Głaszcząc zwierzę, zrozumiał, że padł ofiarą podstępny. Wiadomym było, że koniuszy, którego ojciec wynajął trzy wiosny temu, świetnie wykonuje swoją pracę. Od trzech lat koniom nigdy niczego nie brakowało. Zatem, dlaczego Edgar kazał mu zajrzeć do konia? Odpowiedź wydawała się prosta. Dlatego, że chciał wywabić go z izby. Wzburzony młodzieniec pobiegł z powrotem. Przystanął przy ścianie domu i przyłożył ucho do szpary w drzwiach. Usłyszał głos Hamertona.

– Nikomu tego nie pokazuj. Chyba, że nadejdzie odpowiedni czas.

Po tych słowach nastąpiła cisza. Garet otworzył drzwi i wszedł. Siedzący przy stole ludzie byli zajęci jedzeniem zupy. Wydawać by się mogło, że żadne istotne słowa nie zostały wypowiedziane.

– Siadaj synu – rzekł ojciec. – Rosół jest dzisiaj naprawdę wyśmienity.

Młody rycerz usiadł i zaczął jeść. Rzeczywiście, zupa jarzynowa gotowana z drobiowym mięsem smakowała wybornie. Młodszy Patington zastanawiał się, o czym mówił senior. Doszedł do wniosku, że musiało mu chodzić o jakiś ważny przedmiot lub dokument, który na razie musi pozostać w ukryciu. Nie wiedział też, komu Edgar przekazał tę sekretną rzecz. Najprawdopodobniej ojcu lub księdzu Tobiaszowi. Jaki ma ona związek z rodziną Patingtonów? A może dotyczy losów Margaret? Było wiele pytań, na które nie znał odpowiedzi. Wiedział jednak, że nie spocznie, dopóki nie rozwiąże tej zagadki.

Dzień był ciepły. Z zachmurzonego nieba siąpiła lekka mżawka. Polną drogą jechało czterdziestu zbrojnych wojowników. Na czele podążał Edgar Hamerton z dwoma synami. Obaj młodzieńcy otrzymali królewskie imiona. Starszy nazywał się Alfred, na cześć wielkiego króla Wesexu, pogromcy Duńczyków. Młodszy zwał się Ethelstan, na cześć monarchy, który zakończył proces jednoczenia Anglii. Synowie byli podobni do ojca. Na ich tarczach widniał herb Hamertonów. Był to czerwony młot na białym tle. Za ich plecami jechali: John i Garet Patingtonowie oraz ksiądz Tobiasz w czarnej sutannie. Dalej ciągnęli pozostali zbrojni z pocztów obu rodów. Jeźdźcy mieli na sobie kolczugi lub zbroje płytowe. Uzbrojeni byli głównie w miecze. Niektórzy posiadali jednosieczne topory, długie włócznie oraz łuki.

Przejechali przez dwie wioski, których mieszkańcy spoglądali na nich bojaźliwie, lecz nie panikowali. Następnie wjechali na rozległe łąki porośnięte bujną zieloną trawą. Nieopodal dostrzegli trzy niewielkie stawy, w których niegdyś hodowano ryby. Teraz były one zamulone i prawie wyschnięte. Przejechali jeszcze pół mili. Przebrnęli przez drewniany mostek na niewielkiej rzeczce. Wreszcie stanęli przed wrotami posiadłości lady Klotyldy. Ku ich zdumieniu, zza wysokiego płotu nie wejrzała żadna głowa. Nigdzie nie widzieli strażnika.

– Otwierać bramę – krzyknął Edgar!

Przez długi czas nikt nie odpowiedział. Zniecierpliwiony Hamerton chciał już załomotać w bramę. Wtem usłyszeli piskliwy, męski głos.

– Kto ośmiela się zakłócać nasz spokój?

– Hamertonowie i Patingtonowie – odparł Edgar. – Przybywamy, aby naradzić się z panią Klotyldą.

Znów zapanowało milczenie. Po upływie dwóch pacierzy otwarto ciężkie drewniane wrota. Rycerze wjechali zwawo na ogrodzony teren posiadłości. Zatrzymali się przed okazałym, jednopiętrowym domostwem. Garet od razu zauważył zbudowaną z kamienia kaplicę. Pozostałe pomieszczenia były zaniedbane. W niektórych brakowało drzwi, w innych kawałka dachu. Puszczone samopas konie i krowy kręciły się dokoła. Wychudzone kundły skakały i szczekały głośno. Świnie podkopywały ogrodzenie. Mieszkańcy dworu starali się zapanować nad rozbrykanymi zwierzętami, lecz ich niesforne działania na niewiele się zdały.

Uzbrojonych strażników też było niewielu. Można było ich zliczyć na palcach obu rąk.

- Widać, że ród ten chyli się ku upadkowi – skomentował John Patington.
- A ty chciałeś, byśmy się z nim złączyli poprzez mój ślub – odparł Gareth.
- Brakuje tu silnej, męskiej ręki – podsumował ojciec.

Rozmowa została przerwana, gdyż drzwi wielkiego domostwa otworzyły się. Na podwórze wyszła Klotylda Finck. Ubrana była w czerwoną suknię. Na stopach nosiła pantofle z miękkiej skóry. Usta jak zwykle zabarwiła wiśniowym sokiem. Włosy miała rozpuszczone. Na prawej ręce miała złotą bransoletkę. Widać było, że pozostało jej jeszcze coś z rodzinnego bogactwa. Rycerze lekko się uklonili, po czym przemówił Edgar.

– Witaj pani. Wybacz, że zakłócamy twój spokój, lecz mamy po temu ważne powody.

– Witajcie w moich progach zacni panowie – rzekła niewiasta. – Wybaczcie opieszałość mych sług. Nie spodziewaliśmy się gości dzisiejszego dnia. Mówcie, co was tutaj sprowadza? - Klotylda spojrzała zalotnie na Gareta. Ten ani myślał zareagować.

- Szukamy człowieka zwanego Wulfem Czarnym – kontynuował Hamerton.
- Tego łotra, który targnął się na życie waćpana? Nie ma go tutaj.
- Chodzą słuchy, że Wulf, jest jednym z zarządców pani majątku.

Kobieta przygryzła dolną wargę i zamyśliła się.

– Przed rokiem przybyła do mnie grupa ludzi. Mówili, że są biednymi najemnikami szukającymi schronienia. W zamian za miejsce do spania zaproponowali mi ochronę przed złodziejami i kłusownikami. Jako, że nie chcieli żadnej zapłaty, więc pozwoliłam im zamieszkać na skraju mych posiadłości w dolinie pustelnika.

- Jak wyglądał ich przywódca?

– Wydał mi się dość dziwny. Jego ciało było mocno spalone przez słońce i owłosione niczym u dzikiego zwierza. Brakowało mu też kciuka w lewej dłoni.

– Zatem to rzeczywiście on – wykrzyknął zadowolony Edgar. – Czy nadal przebywa we wspomnianej dolinie?

– Pewnie tak.

– Więc ruszymy tam niezwłocznie. Dziękuję za pomoc pani. Obiecuję, że kiedy spotkam earla Morcara, to wspomnę mu o tobie.

Dama skłoniła się w podzięce. Rozmowa dobiegła końca i rycerze odjechali. Klotylda długo za nimi patrzyła. Gareth był przekonany, że jej spojrzenie skierowane było wyłącznie na niego. Nie ujechali daleko, gdy odezwał się Alfred.

– Ojczy, gdzie nasz pierścień rodowy, który zawsze nosisz na palcu?

– Pewnie zostawiłem go w domu – odparł Edgar Hamerton.

– Niemożliwe – wtrącił Ethelstan. – Przecież nie rozstawałeś się z nim od wielu lat. Nie zdejmowałeś go nawet do snu.

– Przejrzeliście mnie synkowie – rzekł Edgar. – Postradałem go trzy niedziele temu, podczas polowania. Szukałem długo, lecz nie znalazłem. Przepadł na dobre. Trzeba zamówić nowy u złotnika w Jorku.

– Żaden nie będzie taki, jak poprzedni – mruknął Alfred.

– Cóż, trudno – zawyrokował ojciec. – Ale nie martwcie się. Teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Jechali dalej w milczeniu. Gareth z uwagą wysłuchał rozmowy Hamertonów. Teraz wiedział już, o jaki tajemniczy przedmiot chodziło podczas narady w Patington Home. Jego ciekawość wzrosła jeszcze bardziej. Zastanawiał się, dlaczego senior powierzył swój sygnet rodowy wasalowi? Co chciał przez to osiągnąć? Może pragnął coś zataić lub kogoś chronić? Tego rycerz musiał się dowiedzieć.

Galopowali rażno przez pola i łąki. Dwukrotnie przedarli się przez rosnące żyto, aby skrócić sobie drogę. Chcieli dotrzeć na miejsce krótko po zapadnięciu zmroku. Liczyli na to, że uda im się zaskoczyć zbójników.

Dolina pustelnika wzięła swoją nazwę od pewnego irlandzkiego eremity, który kiedyś tam przebywał. Zbudował sobie niewielką chatę, w której zamieszkał. Spędzał czas na modlitwie i medytacji. Zbierał też lecznicze zioła w pobliskim borze. Żywił się niczym biblijny Jan Chrzciciel, szarańczą i miodem leśnym. Kiedy umarł, pochowali go ludzie, którzy przychodzili do niego po leki. Od tego czasu dolina była opuszczona. Nikt już tam nie przychodził. Jednak miejscowi zapamiętali osobę pustelnika i z nim kojarzyli to miejsce.

Jeźdźcy zatrzymali się niecałą milę od celu. Słońce już niemal zaszło za linią horyzontu. Jego ostatnie promienie muskały trawę. Wkrótce zapadł zmrok. Rycerze zsiadli z koni i poczęli nasłuchiwać. Wreszcie przemówił John Patington.

– Pójdziemy z synem na zwiad. Wy tu zaczekajcie.

Pozostali zgodzili się bez słowa. Wiedzieli bowiem, że Patingtonowie, potrafią doskonale podchodzić wroga. Wprawdzie w czterdziestu zbrojnych nie musieli obawiać się bandy zbójców. Mogli więc zaatakować od razu. Zdecydowali się jednak na fortele, ponieważ Edgar chciał dopaść wszystkich rzezimieszków bez wyjątku. Senior nie życzył sobie, aby którykolwiek z nich zdołał zbiec.

Ojciec i syn czołgali się w milczeniu. Czynili to z wielką wprawą, jak przystało na dobrych wojowników oraz myśliwych. Miecze trzymali w rękach. Tarcze mieli przytroczone do pleców. Wszystko po to, aby nie robić zbędnego hałasu. Wiedzieli, że podkradanie się do wroga znacznie utrudnia metalowa zbroja, która stykając się z ziemią, wywołuje alarmujące dźwięki. Nie zamierzali jednak podchodzić zbyt blisko nieprzyjaciela.

Nagle obaj zastygli w bezruchu. Usłyszeli ludzkie głosy dobiegające z oddali. Zdołali rozróżnić głośnie słowa i grubiańskie śmiechy. Niechybnie zbójnicy byli w dobrym nastroju, więc nie spodziewali się zagrożenia. Zwiadowcy niezwłocznie ruszyli dalej. Po chwili dotarli na skraj doliny. Ostrożnie spojrzeli w dół. Najpierw dostrzegli wielkie ognisko buchające jasnymi płomieniami. Dookoła niego siedziało kilkudziesięciu mężczyzn, którzy rozmawiali ze sobą i śmiali się wesoło. W rękach trzymali grube, zastrzone patyki, na których wędziło się surowe mięso. W dolinie stało kilkanaście szałasów

skleconych z gałęzi i kory. Skarpa, na której byli rycerze, otaczała dolinę z trzech stron. Obrastały ją niewielkie choinki. Nie była ona tak stroma, aby nie dało się po niej zejść. Było to idealne miejsce na zasadzkę. Jedyne od strony lasu teren był płaski. Można było jednak obejść skarpe i zacząć się w kniei, nie ryzykując wykrycia.

– Sprowadzę pozostałych – szepnął ojciec.

Kiedy Gareth został sam, dokładniej przyjrzał się zbójcom. Byli dobrze widoczni w blasku ognia. Naliczył ich trzydziestu trzech. Nosili na sobie podarte łachmany. Większość miała długie brody i włosy. Nie dojrzał nikogo odzianego w zbroję. Siedzieli przy ognisku i popijali z bukłaków. Jedni poszli do lasu po drewno. Inni rozpoczęli grę w kości. Pozostali doglądali pieczonego mięsa. Widać było, że czują się pewnie, bo nie wystawili nawet wart. Takie postępowanie rycerz uznał za naganne. Niedługo zapłacą za swoją nieostrożność, pomyślał.

Wreszcie wypatrzył tego, kogo szukał. Mężczyznę opatulonego w czarną szatę z kapturem. Stał nieco dalej od ognia, dlatego częściowo skrywał go cień. Nie podzielał on entuzjazmu swoich kamratów. Stale rozglądał się dookoła. Co pewien czas, stanowczym głosem, nakazywał ciszę. Zapewne nasłuchiwał. Czyżby coś przeczuwał? Młody Patington domyślił się, że musi to być herszt bandy.

Wkrótce na skarpie zjawili się pozostali wojownicy. Nie zabrakło też księdza Tobiasza, który nie zamierzał pilnować koni. Do tego celu wyznaczono dwóch najmłodszych członków wyprawy. Rycerze rozłożyli się na skarpie i czekali na rozkaz do ataku. Postanowiono nie zapuszczać się do boru. Edgar Hamerton uznał, że zdumienie wroga i tak będzie wystarczające. Teraz rozkoszował się chwilą. Dlatego wciąż wstrzymywał natarcie.

Wtedy zdarzyło się, coś nieoczekiwanego. Z jednego szałas wyszła ciemnowłosa kobieta. Była zupełnie naga. Nie miała nawet butów. Jej szyję okalał dziwny naszyjnik. Na rękach nosiła bransoletki. Dwie na lewej ręce i jedną na prawej. Nie były one złote ani srebrne. Gareth, który miał sokoli wzrok, zauważył, że ozdoby wykonano z kości nawleczonych na skórzany rzemień. Niewiasta stanęła przy ogniu. Następnie zaczęła tańczyć i śpiewać. Miała piękny i melodyjny głos. Bandyci umilkli, skupiwszy na niej wzrok.

– Czy to czarna magia – spytał młody Patington?

– Nic podobnego chłopcze. To tylko zwykły występ na użytek prostackiej

gawiedzi – odparł Tobiasz.

– Trzeba przyznać, że bardzo przekonujący – wtrącił John.

Wtem ozwał się jeden z wojów.

– Poznaję jej głos, to niewątpliwie Gryzelda.

Spojrzeli na niego pytająco, więc kontynuował.

– Kilka lat temu była ona najślynniejszą nierządnicą w Yorku. Chadzali do niej możni panowie, jak i majętni mieszczanie. Ponadto śpiewała w przeróżnych karczmach oraz domach, rozweselając biesiadników. Usłyszałem ją raz, w moim rodzinnym domu. Na zawsze zapamiętałem ten głos.

Wszyscy ponownie spojrzeli na dolinę. Kobieta przestała śpiewać. Rozłożyła szeroko ręce i zaczęła się śmiać. Śmiech był tak głośny i upiorny, że mroził krew w żyłach. Stanowił całkowite przeciwieństwo wcześniejszego śpiewu. Zarówno bandyci przy ognisku, jak i rycerze na skarpie, oniemieli ze zdziwienia. Nikt nie wiedział, jak długo trwała ta przedziwna sytuacja. W końcu jeden z łuczników Edgara nie wytrzymał napięcia.

– Diabelskie nasienie – syknął.

Zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, napiął cięciwę swojego łuku i strzelił. Strzała z białą lotką chyżo pomknęła do celu. Śmiech niewiasty przeszedł w jęk, a następnie w charkot. Metalowy grot utkwiał dokładnie między jej piersiami. Trysnęła krew. Gryzelda zatoczyła się i wpadła w ognisko. Ciało kobiety natychmiast zapłonęło.

– Naprzód druhowie – ryknął Edgar Hamerton!

Na ten sygnał czekano. Trzydziestu siedmiu wojowników uzbrojonych w miecze, tarcze oraz topory ruszyło z krzykiem ze zbocza na oniemiałych bandytów. Zaskoczeni łotrzykowie stawili niewielki opór. Rycerze wpadli na nich, siejąc śmierć. Zbójce nie mieli żadnych szans. Edgar rozplątał czaszkę pierwszego przeciwnika. Następnie pchnął w brzuch drugiego. Alfred i Ethelstan osłaniali go, rozdając zabójcze ciosy. Ich miecze śmigły błyskawicznie. Wtórował im John Patington, który odciął rękę przeciwnika zbrojnego w topór. Z kikuta trysnął strumień krwi. Nieszczęsny człowiek nie

zdążył wrzasnąć. Następny cios rozpruł mu gardło. Kiedy zaczęła się potyczka, Wulf Czarny opuścił kamratów. Próbował czmychnąć w las. Garet to zauważył i natychmiast rzucił się w pogoń. Wkrótce zagłębił się w ciemny bór. Odgłosy walki przycichły. Wokół niego panowała cisza. W mroku nocy drzewa i krzewy wyglądały złowrogo. Gdzieś nad nim zahuczała sowa. Młody wojownik dobrze znał las, lecz wiedział, że trudno będzie mu wytropić łowczego. Chyba, że zachęci go do opuszczenia kryjówki. Aby to uczynić, musi wystawić się na cel. Postanowił podjąć takie ryzyko. Był przecież odważny.

Lewą ręką schwycił najbliższą gałąź i złamał ją. Rozległ się głośny trzask. Kawałek drzewa został mu w dłoni. Odrzucił go w pobliskie krzewy. Nagle poczuł cios zadany od tyłu. Życie rycerza ocaliła tarcza, którą miał zawieszoną na plecach. Ostrze zagłębiło się w drewno, lecz nie sięgnęło ciała. Garet poleciał do przodu i upadł. Przeturlał się po ziemi i wstał, gotów do natychmiastowej obrony. W samą porę, aby zablokować cięcie mierzone w głowę. Patington sparował drugi cios własnym mieczem. Odtrącił klingę przeciwnika w bok. Następnie pchnął szybko i zabójczo. Wulf próbował wykonać unik, ale nie zdążył. Czubek miecza wbił mu się w krtań. Z gardła łowczego wydobył się dziwny bulgot. Rycerz wyszarpnął broń. Jego wróg padł na ziemię i znieruchomiał. Garet stał nad nim z zakrwawionym mieczem. Był szczęśliwy, ponieważ przeżył i odniósł zwycięstwo, lecz nie odczuwał radości. Był świadom tego, że właśnie zabił człowieka. Po raz pierwszy w swoim życiu. Niedługo potem zjawili się pozostali zbrojni z płonącymi żagwiami w rękach. Edgar był zadowolony.

– Wspaniale młody Garecie – rzekł. – Udowodniłeś, że prawdziwy z ciebie wojownik.

Następny był ojciec. Podszedł do niego i powiedział.

– Dobrze się spisałeś synu. Nie zapomnij oczyścić miecza.

Tobiasz, który stał z boku, przyjrzał się dokładnie twarzy Wulfa Czarnego. Była ona wyjątkowo ciemna. Taka barwa skóry nie mogła być wynikiem długiego przebywania na słońcu. Doszedł więc do wniosku, że najprawdopodobniej matka nieszczęśnika pochodziła z dalekiego kraju i miała czarną skórę. Wspomniał czasy, w których on sam widywał murzynów.

Rycerze pozostali w dolinie do świtu. Nie ponieśli żadnych strat. Tylko jeden z wojów został lekko ranny. Rozbójników wycięto w pień. Edgar chciał pozostawić ich ciała na żer dla ptaków i dzikich zwierząt, lecz ksiądz Tobiasz nie

pozwolił. Nakazał wykopanie dołu, do którego wrzucono martwych bandytów. Nadpalone, nagie ciało kobiety, owinięto w płótno i złożono do grobu jako ostatnie. Potem dół zasypano. Na jego miejscu wbito w ziemię sporządzony na prędko drewniany krzyż. Następnie kapłan odmówił krótką modlitwę. Kiedy obowiązek został wypełniony, Hamertonowie i Patingtonowie ruszyli w drogę do swoich posiadłości.

Przez długi czas jechali w milczeniu. Konie poruszały się klusem. Garet siedział luźno w siodle i rozmyślał. Tego dnia było mu ciężko na sercu. Podjechał do niego Tobiasz.

– Chcesz pomówić? – zapytał.

– Owszem – potwierdził młodzian.

– Pewnie o śmierci Wulfa?

– Skąd wiesz?

– Czuję, że to cię dręczy.

– Wulf Czarny był łotrem. Spotkała go zasłużona kara. Powinienem się cieszyć, że to ja wykonałem wyrok. Tak postępują wojownicy. Zamiast radości, odczuwam jednak smutek.

– To dobrze.

– Dlaczego?

– To znaczy, że odzywa się twoje sumienie.

– Czemu się odzywa, przecież zabiłem wroga?

– Sumienie zaszczepił w nas sam Bóg. Dopóki je mamy, potrafimy odróżnić dobro od zła. Dzięki temu jesteśmy wartościowymi ludźmi.

– Nie wiem, czy Stwórca mi przebaczy?

– Na pewno, jeśli będziesz szczerze żałował. Miłosierdzie Boże jest bezgraniczne.

– Skąd ta pewność?

– Mówi nam o tym Biblia. Mojżesz zabił nadzorcę niewolników. Dawid ustrzelił Goliata z procy. Ponadto wysłał na śmierć hetyckiego wojownika Uriasza. Następnie posiadał jego żonę Batszebę. Jak wiesz, obaj przywódcy otrzymali boskie przebaczenie. Jezus również darował winę tym, którzy przybili go do krzyża.

– Czy zawsze będzie tak ciężko? Jestem przecież rycerzem. Nadciąga wojna. Będę musiał walczyć i zabijać wrogów. Jeżeli chcę przeżyć, to nie mogę okazywać słabości.

– Z czasem staniesz się twardszy. Musisz jednak pamiętać, że jeśli przelejesz ludzką krew, to tylko w obronie innych lub samego siebie. Przenigdy nie wolno ci mordować w imię własnej prywaty, bo to grzech śmiertelny. Popęlnienie takiego grzechu grozi potępieniem wiecznym.

– Będę pamiętał.

– To dobrze. Przyjdź jutro do kaplicy. Wypowiadasz się. Twoja dusza stanie się czysta. Humor, też ci się poprawi.

– Tak uczynię.

Rozmowa dobiegła kresu. Ksiądz zjechał w pobliskie krzaki za potrzebą. Młodemu rycerzowi wyraźnie ulżyło. Nadal jednak czuł się tak, jakby coś utracił. Nie wiedział tylko, co.

Do Patington Home dotarli przed zmierzchem. Kobiety i dzieci już czekały. Rozpoczęły się wesołe rozmowy. Następnie rozsiodłano konie i zaprowadzono je do stajni. Patingtonowie udali się do domu. Babcia Greta przyrządziła im mięsną potrawkę.

– Zbóje schwytani – rzekła.

– Witaj Greto – odparł John. – Nie uszedł ani jeden.

– Można się było spodziewać.

Podawała im jedzenie w glinianych misach, po czym oddaliła się do swojego kąta. Kiedy zasiedli przy stole, ojciec przemówił.

– Teraz już wiesz, czego chciałem ci oszczędzić. Dlatego starałem się, abyś jak najdłużej unikał prawdziwej walki.

– Wiem. Rozmawiałem o tym z Tobiaszem.

– To dobrze.

Jedli dalej w milczeniu. Strawa była wyśmienita. Kiedy skończyli, odezwał się Garet.

– Dlaczego Edgar przekazał nam swój pierścień rodowy?

Ojciec spojrzał na niego zdumiony.

– Jak się dowiedziałeś synu?

– Podśluchiwałem.

– No tak – westchnął John. – Sygnet otrzymał ksiądz Tobiasz.

– Dlaczego?

– Nie mogę powiedzieć synu. Senior zakazał mówić pod przysięgą.

– Dlaczego wywabiliście mnie z izby?

– Dla twojego dobra.

– Czy sprawa ma związek z Margaret?

– Skąd ten pomysł?

– Ty mi powiedz ojcze.

– Ta sprawa dotyczy naszych rodów. Co do tej wiejskiej dziewczyny, to przemyślałem wszystko i uznałem, że możesz ją poślubić, lecz nie teraz. Poczekajmy do przyszłego roku.

– Dzięki – Garet uśmiechnął się. Wstał od stołu i wyszedł na zewnątrz. Chciał rzucić okiem na gwiazdy. Wiedział, że ojciec nie mówi mu całej prawdy.

Dień był upalny. Niebo było błękitne i bezchmurne. Jasne promienie słońca ozłacały dojrzałe kłosa wypełnione ziarnem. Łodygi zbożowe kołysały się na lekkim wietrze. W północnej Anglii rozpoczęły się żniwa. Tysiące chłopów wyległo na pola. Pracowali od świtu do zmierzchu. Musieli zdążyć przed falami ulewnego deszczu, który mógł nadejść lada dzień. Zborze trzeba było ścinać i wymłócić. Następnie zwieźć do stodół lub spichlerzy. Nie można było dopuścić, aby ziarno zgniło. Gdyby tak się stało, to zimą wszyscy cierpieliby głód, którego obawiano się bardziej niż wojny.

Garet siedział na trawiastej łące i obserwował żniwiarzy. Chłopi ścinali żyto zamaszystymi cięciami sierpów. Czynie to z wielką wprawą. Zboże kładło się pokotem. Za mężczyznami szły kobiety, które wiązały ścięte rośliny w niewielkie snopki. Między nimi biegały radosne i beztroskie dzieci. Młody wojownik lubił patrzeć na tych zapracowanych ludzi. Rozmyślał wtedy, o porządkach panujących na tym świecie. Przeznaczenie króla to władza. Rycerze są po to, aby mu służyć oraz bronić kraju. Powołaniem duchownych jest rozmowa z Bogiem. Mieszczanie trudnią się rzemiosłem i handlem. Przeznaczeniem wieśniaków jest wytwarzanie żywności, bez której nikt nie mógłby żyć. Wszystko wydawało się poukładane. Mimo to zastanawiał się, czy taki porządek jest rzeczywiście sprawiedliwy?

Podszedł do niego kłusownik Rolf, który na czas żniw został zwolniony z obowiązków łowczego. Był wyraźnie zmęczony. Pot kapał mu obficie z czoła.

– Masz jakiś napitek panie – spytał? – Skwar jest dziś wyjątkowy.

Zwykle było nie do pomyślenia, aby chłop zwracał się tak bezpośrednio do szlachcica. Obecna sytuacja była jednak wyjątkowa. Rycerz dobrze znał Rolfa. Podobnie jak jego brata oraz siostrę, którą kochał. Wstał więc z ziemi i podszedł do juków. Wydobył bukłak z wodą i podał go spragnionemu mężczyźnie. Przelotnie spojrzął na swego konia, który spokojnie skubał trawę. Rumak był

dobrze ułożony. Dlatego nie uciekał.

– Jak służba u Edgara – zapytał?

Rolf odsunął bukłak od ust i rzekł.

– Bardzo dobrze panie. Złowiłem już trzy dziki, pięć zajęcy i dziesięć królików. Edgar był zachwycony. Darował mi nawet konszachty z Wulfem.

– Zatem lepiej czujesz się w lasach niż tutaj na polu?

– Oczywiście panie. W borze wszystko przychodzi łatwiej. Zwierzyzny wszędzie pełno. Z sierpem w ręku trzeba się sporo natrudzić. Wiedziałbyś panie, gdybyś spróbował.

– Chcę spróbować.

– Żartowałem panie. To nie jest praca dla wojownika.

– Wiem. Mimo to, spróbuję. Pomogę twojemu bratu.

Wziął do ręki sierp i podszedł do żyta. Stał obok Ralfa. Przykucnął i zaczął ciąć. Zabrał się do roboty z wielkim zapalem. Szybko zauważył, że nie przychodzi mu to z taką łatwością, jak władanie bronią. Najwyraźniej brakowało mu wprawy. Miał wrażenie, że łodygi umykają spod jego ostrza. Ścinał je, lecz z trudem. Zrezygnowany wstał i odwrócił się. Spostrzegł, że wieśniacy wpatrują się w niego z ciekawością i zdumieniem. Pomyślał, że nigdy nie widzieli rycerza ścinającego zboże. Było to dla nich coś zupełnie nowego, wręcz nienaturalnego. Owena, będąca już w zawansowanej ciąży, nie potrafiła ukryć rozbawienia. Roześmiała się głośno i rzekła.

– Sierp nie leży ci w dłoni, panie. Lepiej wróć do władania mieczem.

Ralf posłał żonie ostre spojrzenie. Kobieta zacisnęła usta, obawiając się, że powiedziała zbyt wiele. Gareth nie czuł jednak gniewu. Zawstydzony, upuścił ostrze na ziemię i odparł.

– Rzeczywiście, żniwa nie są dla zbrojnych.

Następnie usiadł na trawie i rozglądał się dookoła. Wtedy ujrzał Margaret.

Wszystkie jego zmartwienia ulotniły się w jednej chwili. Była piękna jak zawsze. Nadchodziła polną drogą od strony wioski. Jej włosy opadały swobodnie na plecy i ramiona. Odziana była w niebieską suknię. Stopy miała białe, podobnie jak pozostali wieśniacy. W rękach trzymała dwa wiadra wypełnione świeżym mlekiem. Rycerz pobiegł jej na spotkanie.

– Witaj kochana – rzekł.

– Witaj rycerzu – odparła.

Wziął jedno z wiader. Przytknął je do ust i napił się mleka. Strużki białego napoju kapwały mu po brodzie i koszuli. Nie zważał na to. Wspólnie podeszli do pozostałych, którzy już czekali, aby ugasić pragnienie.

– Widzę, że dojenie przebiegło sprawnie – stwierdziła Owena.

– Niby tak – odrzekła Margaret. – Krowa znów próbowała mnie kopnąć.

– Która?

– Ta z białymi plamami na tyłku.

– No tak, to szalone bydlę.

Do rozmowy wtrąciła się inna kobieta.

– Skoro skończyłaś z krowami, to teraz pomóż przy żniwach.

Margaret szukała w myślach wymówki. Chciała uniknąć mozolnej pracy w polu. Wyręczył ją Garet, który rzekł.

– Ona nie pomoże dziś przy żniwach, bo musi iść ze mną.

Starsza wieśniaczka spojrzała hardo na rycerza, lecz nie miała odwagi zaprotestować. Szybko zdała sobie sprawę, z kim ma do czynienia. Spuściła pokornie głowę i milczała. Stojąca obok Owena śmiała się cicho. Młody Patington kontynuował.

– Wrócimy przed wieczorem. Rolfie, miej baczenie na mego konia. Pilnuj też siodła. Jeśli ktoś je zwędzi, odpowiesz za to głową.

– Oczywiście panie – burknął zniechęcony kłusownik.

Garet i Margaret oddalili się. Szli polną ścieżką, rozmawiając cicho.

– Twój ojciec naprawdę się zgodził – pytała dziewczyna?

– Tak – odparł młodzieniec. – Zyskałem również poparcie Edgara Hamertona.

– To cudownie. Kiedy ślub?

– Dopiero po wojnie.

– Dlaczego musimy czekać tak długo? Ceremonię można odprawić szybko. Tobiasz na pewno się zgodzi.

– On tak, ale ojciec nie.

– Czemu?

– Tato twierdzi, że trzeba ostrzyć miecze, bo wojna jest blisko.

– Sądzisz, że ma rację?

– Pewnie tak. Wilhelm zgromadził wielkie siły i czeka na odpowiedni moment. Harold jest czujny i niełatwo będzie go zaskoczyć. Jeżeli oba wilki nie zetrą się w tym roku, to na pewno w przyszłym.

– Zatem nie ma rady. Trzeba czekać.

– Tak ci spieszno do ożenku?

– Ckni mi się wiejski żywot.

– Doprawdy...? – zaśmiał się Garet. Złapał Margaret za rękę i wciągnął ją w owies. Natychmiast przyłgnęli do siebie. Młodzian zanurzył dłoń w jej włosach. Równocześnie całował dziewczynę po twarzy. Odwzajemniła się tym samym. Kiedy chciał zerwać z niej odzienie, odepchnęła go lekko, oznajmiając stanowczym głosem.

- Nie tak prędko rycerzyku. Najpierw ślub.
- Na ślub trzeba poczekać.
- Zatem, wciąż pozostanę dziewicą. Nie myśl, że oddam ci się za darmo.

Wstała szybko i pobiegła na przełaj przez zboże. Gareth pomyślał, że właśnie takiej kobiety potrzebuje. Jest piękna, silna i zdecydowana. Roześmiał się i pomknął w ślad za nią.

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfkp/S39PbwJtA2oBYFJgUGIiTT1SMUs/XnAAbA==

CZEŚĆ DRUGA

GROZA

ROZDZIAŁ CZWARTY

Był dzień 15 września roku pańskiego 1066. Zza horyzontu wyłonił się pierwszy promyk słońca. Wioska rybacka trwała w uśpieniu. Mały Nick przebudził się nagle. Wystraszony rozejrzał się dookoła. Serce biło mu jak oszalałe. Przeciągnął się i ziewnął. Znów miał koszmary sen. Ponownie śniły mu się wyjące szaleńczo potwory, które napadły na wioskę. Wymordowały wszystkich mieszkańców. Zabiły rodziców i braci, a on nie mógł nic na to poradzić. Teraz jednak był bezpieczny w małej chatce. Już nieraz miewał podobne sny. Nie mógł nikomu o nich powiedzieć, bo nie umiał mówić. Kiedy matka siadała przy nim, brał do ręki patyk i rysował jej postać. Następnie szkicował potwora, próbującego ją pożreć. Nigdy nie zrozumiała ostrzeżenia. Widząc ten rysunek, zawsze się śmiała. Potem brała synka na ręce i tuliła go do siebie. Chłopiec nie był zawiedziony. Wiedział, że dorośli wykonują mnóstwo ważnych zajęć. Zapracowani, nie zwracali uwagi na rysunki pięciolatka.

Nick wyslizgnął się z posłania. Spojrzał na dwóch starszych braci, którzy spali obok niego. Żaden się nie poruszył. Chłopiec przekradł się między nogami rodziców. Ojciec jak zwykle chrapał głośno. Matka mruczała coś przez sen. Malec rozejrzał się po izbie. W rogu dostrzegł drewniane chodaki. Włożył je na stopy. Były twarde i niewygodne. Nie przejmował się tym. Jakoś przyzwyczał się do nich. Zdjął z kołka wełniany płaszcz uszyty specjalnie dla niego. Nałożył go na płócienną koszulę. Chciał też ubrać futrzaną czapkę, lecz nie potrafił jej nigdzie znaleźć. Postanowił zrezygnować z niej. Mama będzie zła, pomyślał. Może jednak uda mu się wrócić, zanim się obudzi. Pokrzepiony tą myślą stanął przed niewielkimi drzwiami oddzielającymi go od niebezpiecznego świata. Uchylił je lekko i wyszedł na zewnątrz.

Od razu odczuł wiejący od strony morza zimny wiatr. Przez chwilę chciał zawrócić do ciepłego i bezpiecznego domu, ale się rozmyślił. Coś gnało go naprzód. Stanął pod wiatr i poczłapał w kierunku plaży. Wieś była pogrążona w ciszy. Gdzieś zapiał pierwszy kogut. Idący przez wioskę chłopiec spodziewał się

zobaczyć zbrojnych, którzy obserwowali morze. Było ich pięciu. Zawsze, któryś z nich stał na warcie, lecz tego ranka nie było nikogo. Widocznie zaniedbali swoje obowiązki i śpią smacznie w chacie.

Wreszcie Nick dotarł do plaży. Omiótł uważnym spojrzeniem wyciągnięte na brzeg rybackie łodzie. Policzył je starannie. Było ich dziesięć, jak zwykle. To dobrze, pomyślał, że żadna nie zatonała podczas wczorajszego połowu. Na pokładach łodzi dostrzegł skłębione sieci. Tylko jedna krypa stała pusta. Ta, którą zbudował jego ojciec. Tatko miał w zwyczaju zabierać swoją sieć na noc do domu. Powiadał, że dzięki temu nie niszczyje tak szybko.

Niezrażony silnym wiatrem chłopiec spojrzał na morze. Było wzburzone i groźne. Obserwował ogromne fale przyboju rozbijające się o brzeg. Na horyzoncie dostrzegł, wyłaniające się z wodnych odmętów słońce. Zawsze był ciekaw, czy światło rzeczywiście mieszka w morzu? Bardzo chciał się tego dowiedzieć. Znowu pożałował, że jest niemową.

Usłyszał huk grzmotu. Spojrzał w prawo. Wysoko na niebie zoczył burzowe chmury. Były gęste i ciemne. Gnane porywistym wiatrem, zbliżały się szybko. Jasne błyskawice uderzały w fale. Ojciec miał rację, pomyślał Nick. Tego dnia żadna łódź nie wypłynie na połów ryb. Dlatego rybacy mogli sobie pozwolić na dłuższy niż zwykle sen.

Kiedy tak stał zafascynowany pięknem przyrody, nadciągnęła kolejna fala. Była wyższa od pozostałych. Uderzyła o brzeg i załapała plażę, podmywając chłopcu stopy. Nick zadrżał z zimna i odskoczył. Poślizgnął się na mokrym piasku i upadł. Wstał szybko, otrzepując się. Mama będzie niezadowolona, pomyślał. Może nawet sprawi mu lanie. Wiedział, że musi jak najszybciej wrócić do domu. Zniesmaczony, spojrzał jeszcze raz na wzburzone morze. Wtedy ujrzał coś niezwykłego.

Na horyzoncie pojawił się statek. Był smuklejszy od łodzi rybackich. Unosił się swobodnie na morskich falach. Jego dziób rozchłapywał spienioną wodę. Sunął prosto i pewnie. Jego żagiel był czarny. Po chwili chłopiec spostrzegł następne okręty. Pojawiły się w różnych miejscach. W grupach po trzy, cztery statki. Niektóre skręcały i znikaly za widnokregiem. Inne przybliżały się. Ich żagle były różnorodne. Najczęściej białe lub szare. Kilka z nich jaśniało czerwienią na tle wschodzącego słońca. Było ich wiele. Chłopiec próbował je zliczyć, ale nie potrafił. Pomyślał, że kapitanowie na pewno chcą dopłynąć do brzegu przed nadejściem burzy.

Nagle uświadomił sobie, że dwie smukłe łodzie kierują się wprost na niego. Niebawem dobiją do brzegu. Chciał pobiec do rodziny. Chciał zawołać, ale nie mógł. Zdumienie i strach całkowicie go sparaliżowały. Nogi jakby wrosły mu w ziemię. Nie potrafił się poruszyć. Był bezradny. Mógł tylko patrzeć. Podobnie, jak w swoim śnie. Wtedy zrozumiał, że potwory właśnie przyplłynęły. Do oczu napłynęły mu łzy rozpacz.

Statki zbliżały się szybko. Z daleka wyglądały na opustoszałe. Nick nie dojrzał żadnego człowieka. Wiedział jednak, że na pokładach muszą być ludzie. Maszty zostały zwinięte, a w dulkach pojawiły się wiosła. Dwanaście na każdej z burt. Dziób jednego z okrętów zdobiła kunsztowna drewniana rzeźba. Przedstawiała zwiniętego węża, który trzyma w rozwartej paszczy własny ogon. Wkrótce zza burt wyłonili się uzbrojeni mężczyźni. Mieli długie brody i rozczochrane włosy. Potrząsali mieczami i toporami. Wykrzykiwali słowa w niezrozumiałym języku. Chłopca ogarnęło przerażenie. Modlił się do Boga o ocalenie dla siebie i swoich bliskich. Nie miał odwagi prosić o szybką śmierć.

Oba drakkary dobiły wreszcie do brzegu. Przez burtę przeskoczył ogromny mężczyzna uzbrojony w okrągłą tarczę i topór bojowy. Stał na plaży i zadął głowę do góry. Wydał gromki okrzyk i ruszył przed siebie. Za nim poszli inni. Na stojącego jak słup bezbronny Nicka, nikt nie zwrócił uwagi.

Jeden ze strażników wyszedł rozbudzony z chaty. W rękę trzymał włócznię. Wielkolud rozplątał mu czerep jednym ciosem topora. Włócznik nie zdążył nawet krzyknąć. Pozostali czterej wartownicy też nie mieli żadnych szans. Zginęli szybko. Żaden z nich nie zdołał nawet zranić przeciwnika.

Rybacy zostali całkowicie zaskoczeni. Zginęli we własnych łózkach. Wikingowie wdzierali się do chałup. Zadawali śmierć ostrym żelazem. Tego ranka Ludzie Północy nie okazali litości. Mordowali wszystkich, bez względu na płeć i wiek.

Nick zadrżał z przerażenia. Zobaczył, że dwa potwory zbliżają się do jego domu. Bez przeszkód pokonały drzwi. Po chwili usłyszał przeraźliwe wrzaski. Ujrzał matkę wybiegającą z chaty. Krzyczała jego imię. Jeden z intruzów podbiegł do niej. Zdzielił ją obuchem topora w głowę. Padła na twarz i znieruchomiała. Chłopiec chciał do niej podbiec, ale wciąż nie mógł uczynić nawet kroku. Nagle uświadomił sobie, że większość domów płonie. Najeźdźcy zabrali niewielkie zapasy wędzonych ryb. Następnie podpalili rybackie domostwa. Ogień szybko

trawił słomiane dachy. Niedługo spłoną też drewniane konstrukcje. Wieś zmieni się w kupę popiołu. Chyba, że nadejdzie ulewa, która ugasi płomienie.

Nick zauważył pięciu wrogów z płonącymi żagwiami w rękach. Szli wolno w kierunku plaży, śmiejąc się wesoło i gwarząc głośno. Zbliżyli się do rybackich łodzi i podłożyli pod nie ogień. Kropy były skazane na zagładę. Chłopca ogarnął gniew. Paraliż wywołany strachem ustąpił. Znowu mógł się poruszać. Najpierw chciał pobiec na plażę, aby ratować łódź ojca. Uznał jednak, że nie zdoła tego dokonać. Natychmiast spojrzął na matkę, która ciągle leżała na ziemi. Pomyślał, że jest ranna i potrzebuje jego pomocy. Już oderwał stopy od podłoża i zaczął biec. Wtedy ktoś złapał go od tyłu w pasie i uniósł do góry. Szarpał się, kopał, gryzł, ale silne ręce potwora trzymały go mocno niczym kowalskie szczypcy. Usłyszał spokojny męski głos.

– Nie opieraj się chłopcze, to nic ci nie da. Wiem, że chcesz iść do rodziców, lecz już im nie pomożesz. Oni wyruszyli w daleką podróż na drugą stronę tęczowego mostu. Kiedyś i my tam pójdziemy, ale nie dziś, jeszcze nie.

Po chwili dodał.

– Nie obawiaj się malcze. Przy mnie nic ci nie grozi. Pójdźmy poszukać jedzenia.

W tym momencie Nick poddał się. Przyłgął do zbroi przybysza i zapłakał. Znany mu do tej pory świat rozpadł się właśnie na jego oczach.

Deszcz padał obficie. Od strony morza nadciągnęły gęste, ciemne chmury, które przesłoniły słońce. Zerwał się silny i porywisty wiatr. Rozpętała się potężna burza. Jasne błyskawice, rozświetlały mroczne niebo. Zaniepokojeni wieśniacy nie zważali na to. Wpatrywali się w gęstniejące smugi siwego dymu unoszące się nad siedzibami rybaków. Były one widoczne z daleka.

Zniecierpliwiona Margaret przebierała z nogi na nogę. Jej skórzane buty rozchlapwały błotne kałuże. Długie czarne włosy były nasiąknięte wodą. Od całkowitego przemoczenia chronił ją gruby płaszcz uszyty z niedźwiedziego futra. Okrycie to było prezentem od Gareta Patingtona. Zaniepokojona dziewczyna trąciła ramię stojącego obok niej Ralfa i rzekła.

– Zbierajmy się bracie. Trzeba nam jak najrychlej dotrzeć do Patington Home. Musimy ostrzec panów. Tylko oni mogą zapewnić nam ochronę.

– Nie troskaj się droga siostrzo – odparł chłop. - Przecie to może być zwykły pożar. Pewnie piorun strzelił w strzechę i rozпалиło się.

– Dymu jest zbyt wiele. Pożarów musi być więcej.

– Pewno piorun przeskoczył z dachu na dach i stało się.

– Czemu zwiadowcy jeszcze nie wrócili?

– Pewnie pomagają rybakom.

– W czym? Przecie pożar pewnikiem jest już ugaszony. Deszcz i wichura zrobiły swoje. Powiadam ci bracie, to coś gorszego.

– Niby co?

– Najazd wrogów z Północy.

– Jeżeli ci woje przybędą, zostaniemy ostrzeżeni. Panowie prawili, że wystawili strażę. Morze jest obserwowane.

– A co, jeśli ostrzeżenie do nas nie dotrze?

– Dotrze na pewno. Wartownicy zobaczą wrogów z daleka.

– Mam złe przeczucie. Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Posłuchaj mnie bracie. Jak wyruszemy, to za nami pójda też inni. Może jeszcze zdążymy.

– Posłuchaj droga siostrzo. Nie możemy szybko opuścić wsi. Mamy dobytek i zbiory, których nie zostawimy. Nie pozwolę, aby mój pierworodny syn głodował.

– Jeśli nie uciekniemy, to prócz dobytku, stracimy również życie.

– Wieszysz nieszczęście. Poczekajmy jeszcze. Chodźmy ogrzać się do domów. Chłopy niedługo wrócą.

Ich rozmowę przerwały krzyki dobiegające z drugiego krańca wioski.

Wszyscy się odwrócili . Zobaczyli pędzącego ku nim chłopca z patykiem w ręku.

– Zbóje idą na nas – krzyczał! – Wyłonili się z lasu! Ratuj się, kto może.

Zaalarmowani chłopcy nie wypytywali wyrostka. Natychmiast pobiegli do domów po widły oraz sierpy. Następnie zbili się w gromadę liczącą niespełna pięćdziesiąt osób. Ufni w siłę wspólnoty, rażno ruszyli na spotkanie intruzów. Pokrzykiwali głośno, dodając sobie odwagi. Za ich plecami kłębiły się, wystraszone kobiety i dzieci. Margaret stała obok Oweny, która tuliła w ramionach chlapiącego cicho niemowlaka.

Wieśniacy zgromadzili się na skraju osady. Ujrzeni zbliżających się dziesięciu obcych. Przybysze szli wolnym, lecz zdecydowanym krokiem. Najwidoczniej czuli się bardzo pewnie. Od razu było widać, że nie są to zwykli rozbójnicy. Odziani byli w metalowe zbroje i hełmy. W rękach dzierżyli obnażone miecze, topory oraz drewniane tarcze. Twarze mieli harde i zarośnięte. Niektóre brody sięgały pasów. Uwagę zebranych przykuł ogromny, długowłosy mężczyzna, który nie nosił hełmu. Jego błyszcząca kolczuga była umazana krwią. W prawej ręce ścisnął długi topór bojowy, a w lewej dłoni trzymał tarczę. Spojrzenie jego niebieskich oczu wzbudzało w innych lęk i strach. Chłopcy szybko zrozumieli, z kim mają do czynienia. Ogarnęła ich trwoga. Zaczęli nerwowo mówić.

– Wikingowie.

– Normanowie.

– Ratuj nas Panie.

– Jezu zmiłuj się.

– Matko Najświętsza pomóż nam.

Tymczasem Ludzie Północy podeszli do parobków. Stanęli naprzeciwko nich i zaczęli się śmiać. Chichotali głośno i długo. Wieśniaków ogarnęło zdumienie. Nie wiedzieli, czego się spodziewać. Kiedy śmiechy wreszcie ucichły, odezwał się Ralf.

– Cóż tak rzycie głupcy? Lepiej odejdźcie stąd. Nas jest więcej niż was.

Słyszając te mocne słowa, obcy wymienili spojrzenia. Wielkolud zwrócił uwagę na Ralfa. Przyjrzał mu się dokładnie, po czym splunął mu w twarz. Zaskoczony chłop nie zdążył odskoczyć. Strumień śliny dosięgnął jego prawego policzka. Pozostali Wikingowie znowu zaczęli głośno chichotać. Rolnik stracił panowanie nad sobą. Uniósł widły i zaatakował. Norweg zasłonił się tarczą. Równocześnie uderzył toporem. Trafił przeciwnika w szyję. Trysnęła fontanna krwi. Ralf był martwy, zanim dotknął ziemi. Rozpętała się rzeź. Wojownicy ruszyli na chłopów. Wycinali ich niczym kłosa dojrzałego zboża. Wieśniacy mimo znacznej przewagi liczebnej, nie mieli żadnych szans. Ich widły nie mogły przebić grubych metalowych pancerzy. Sierpy były całkowicie bezużyteczne. Bezbronni rolnicy padali pod ciosami mieczy i toporów.

Kobiety i dzieci rozbiegły się w różne strony, wrzeszcząc z przerażenia. Wtedy zza domów wyłonili się kolejni wrogowie, odcinając im drogę ucieczki. Pułapka została zamknięta. Margaret złapała zrozpaczoną Owenę i pociągnęła ją za sobą. Podbiegły do najbliższej chaty. Przemknęły obok niej. Miały szczęście, bo za rogiem nie czekał żaden wróg. Wybiegły na pole i rzuciły się do panicznej ucieczki. Biegły najszybciej, jak mogły. Owena ścisnęła mocno swoje dziecko. Margaret miała nadzieję, że uda im się dobiec do najbliższych drzew. Być może one zapewnią im schronienie. Od strony wioski dobiegały żałosne wrzaski.

Dziewczyna odwróciła się w biegu. Ujrzała trzech wojów stojących na skraju pola. Jeden z nich trzymał w dłoni włócznię. Wziął szeroki zamach i wykonał rzut. Pocisk pofrunął w powietrze. Zatoczył łuk niczym strzała, po czym zaczął opadać ku ziemi. Wystraszona Margaret skuliła się. Błyskawicznie uświadomiła sobie, że broń nie jest wymierzona w nią. Wrzasnęła ostrzegawczo, lecz było już za późno. Owena została trafiona. Stalowy grot przeszył ją na wylot. Kobieta jęknęła żałośnie i padła w błoto. Margaret podbiegła do niej. Przeraził ją widok drzewca sterczącego z pleców wieśniaczki. Uklękła przy ciele przyjaciółki i dotknęła ręką jej policzka. Wtedy usłyszała ciche kwilenie. Zrozumiała, że dziecko Oweny przeżyło. Było ukryte przed wrogami pod ciałem matki. Nie mogła pozwolić, aby zostało odkryte. Może uda jej się, odciągnąć nieprzyjaciół, pomyślała. Nie zastanawiała się dłużej. Poderwała się z ziemi i pobiegła przed siebie. Nie zdążyła ujść daleko. Wkrótce dopędzili ją dwaj wrogowie. Walczyła dzielnie, lecz nie miała szans wygrać. Jeden z mężczyzn przygniół ją do ziemi ciężarem swego ciała. Drugi złapał jej włosy i szarpnął gwałtownie. Następnie sięgnął po nóż. Najwyraźniej chciał poderznąć dziewczynie gardło. Margaret była tak wystraszona, że nie potrafiła nawet krzyknąć. Ostrze noża przybliżyło się do jej szyi.

Wtedy usłyszała głos. Był mocny, stanowczy i rozkazujący. Nie zrozumiała

słów, lecz jej prześladowcy pojęli ich sens. Natychmiast odstępili od niej i stanęli z boku. Sponiewierana niewiasta spojrzała w górę. Zobaczyła ogromnego mężczyznę, który stał nad nią niczym olbrzym z dawnych legend. W ręku trzymał ociekający krwią topór. Wstała i zajrzała mu w oczy. Wojownik odwzajemnił spojrzenie. Przez chwilę wpatrywali się w siebie. Następnie Wiking przemówił do swych towarzyszy. Dziewczyna znowu niczego nie rozumiała. W ucho wpadło jej tylko jedno słowo: Sigvald. Doszła do wniosku, że musi to być czyjeś imię.

Podszedł do niej młodzieniec, który przed chwilą chciał ją zabić. Złapał Margaret za rękę i pociągnął za sobą. Idąc przez pole, spojrzała jeszcze raz na martwą Owenę. Do oczu napłynęły jej łzy. Zastanawiała się, czy malec przeżyje. Może ktoś go odnajdzie, zanim umrze z głodu. Może właściciel włóczni zostawi swoją broń w ciele kobiety. Nie wiedziała, co się stanie, lecz mogła przynajmniej mieć nadzieję.

Dowleczono ją z powrotem do wsi. Tam ujrzała straszliwe pobojuwisko. Martwi ludzie leżeli dookoła w kałużach z własnej krwi. Młode dziewczęta były gwałcone na oczach wszystkich. Wystraszone dzieci uciekły do chałup. Niektórzy wojownicy wyciągali z obór krowy, kozy, barany i świny, które kwiczały głośno. Pozostali zajęli się rozniecaniem ognia w najwygodniejszej z chat.

Wkrótce podprowadzono siwego konia. Młodzian, który strzegł Margaret, nakazał jej gestem, aby dosiadła wierzchowca. Dziewczyna nie zastanawiała się ani chwili. Wolą już jechać dokądkolwiek, niż pozostać w tym okropnym i niebezpiecznym miejscu. Oparła prawą stopę o bok konia. Podciągnęła się i wskoczyła mu na grzbiet. Objęła zwierzę mocno nogami. Rękami złapała się końskiej grzywy. Dziwnie się czuła, ponieważ nigdy jeszcze nie jechała na oklep. Mężczyzna wskoczył za nią i ponaglił siwka do ruchu. Koń zarżał cicho i ruszył naprzód.

Jechali rozmokłą polną drogą. Deszcz lał jak z cebra. Świetliste pioruny co jakiś czas uderzały o ziemię. Wreszcie dotarli do nadmorskiej rybackiej wioski. Nadpalone chałupy przestały już dymić. Widocznie ulewa zgasiła ogień. Jadąc przez wieś, Margaret nie dostrzegła nigdzie mieszkańców. Poza jedną kobietą, która leżała nieruchomo na ziemi. Najpewniej była martwa. Zbliżyli się do plaży i zsiadli z konia. Dziewczyna stanęła na piasku i przyjrzała się dwóm statkom, które stały przycumowane do brzegu. Musiała przyznać w duchu, że nigdy jeszcze takich nie widziała. Były smukłe i piękne. Wydawały się całkowicie opuszczone.

Wiking złapał ją za rękę i powiódł w stronę mniejszego okrętu. Zanurzyli się

po pierś w lodowatej wodzie. Margaret zadrżała. Nie umiała pływać. Dlatego przyłgnęła do mężczyzny, który nie okazywał lęku. Wkrótce oboje dobrnęli do burty. Chłopak podciągnął się zwinnie i wskoczył na pokład. Następnie wychylił się przez burtę i wyciągnął ręce. Dziewczyna złapała je mocno. Została podniesiona do góry niczym kłoda. Jej stopy dotknęły śliskiego, drewnianego pokładu, który trzeszczał przy każdym kroku. Wszędzie wały się tarcze, włócznie oraz wiosła. Po deskach biegał ogromny szary szczur. Margaret syknęła z obrzydzenia. Nie cierpiała tych paskudnych gryzoni.

Jej uwagę przykuł rozłożony na rufie niewielki namiot. Wykonano go z patyków i żaglowego płótna. Pod jego osłoną na wełnianej derce siedział mężczyzna. Jego włosy i broda były jasne. Miecz kołysał mu się u lewego biodra. Człowiek ten nachylał się nad niewielkimi kawałkami skóry, próbując, zszyć je ze sobą. Używał igły sporządzonej z rybiej ości. Obok niego siedział chłopczyk, który miał bose stopy.

Margaret przyjrzała się z uwagą tym osobom. Skupiony na pracy Wiking wyczuł jej spojrzenie. Podniósł głowę i odwzajemnił je bystrymi, błękitnymi oczami. Następnie uśmiechnął się i przemówił po angielsku.

– Widzę, że Thorbjorn przysłał mi piękną brankę. To miło z jego strony, prawda. Podejdź tu niewiasto.

Zdumiona kobieta postąpiła krok naprzód. Szła wolno przez pokład. Weszła do namiotu i stanęła obok mężczyzny. Ten podał jej kawałki skóry, igłę oraz szpulkę wełnianych nici.

– Uszyj chłopcu buty – rzekł.

Następnie wstał i podszedł do stojącego nadal przy burcie młodzieńca. Wojownicy zaczęli rozmawiać szybko i wesoło. Dziewczyna zerknęła na chłopczyka, który siedział ze spuszczoną głową i milczał. Westchnęła ciężko i usiadła. Następnie zaczęła szyć.

Patingtonowie stali na czatowni i wpatrywali się w dal. W przeciwieństwie do wieśniaków, oni poprawnie rozpoznali widoczny z daleka złowieszczy dym. Wiedzieli, że nadchodzą wrogowie. Pod nimi w dole trwała gorączkowa krzątanina. Spanikowani ludzie ładowali cały swój dobytek na wozy zaprzężone

w konie oraz w woły. Najbardziej ceniono żywność i wodę. Trzodę chlewną wyciągano z obór. Owce zaganiano z łąki. Drób ładowano do drewnianych klatek. Dzieci starały się uspokajać rozzuchwalone psy. Tak, szykowano się do pospiesznego opuszczenia Patington Home.

– Musisz iść z nami synu – rzekł John. – Jak nasi ludzie nie będą się guzdrać, to przed świtem będziemy już w Yorku. Trzeba nam gotować się do obrony miasta.

– Nie mogę pójść z tobą ojciec – odparł Gareth. Ktoś musi ostrzec wieśniaków. Margaret jest w niebezpieczeństwie.

– Wikingowie najpewniej idą na York. Zatem podążają do rzeki Ouse. Jeśli po drodze palą tylko nadmorskie siedziby, to naszym chłopom nic nie grozi. Jeżeli jednak poszli dalej w głąb lądu, to już dawno dotarli do naszej wsi. Twoja niewiasta jest teraz w niewoli albo nie żyje.

– Nie widać bliskich oznak pożogi. Być może wrogowie jeszcze tam nie dotarli. Pobiegnę szybko do wsi. Wezmę konia i dziewczynę. Wspólnie udamy się do miasta. Powinniśmy zdążyć przed spodziewanym oblężeniem.

– A co, jeśli została porwana?

– Wtedy wyruszę jej na ratunek.

– To szaleństwo synu. Pójdiesz na pewną śmierć.

– W mieście też nas ona czeka. Jeżeli król Norwegów przywiódł całą armię, to York niechybnie upadnie. Nasz władca nie zdąży przybyć z odsieczą na czas.

– Zatem, sprzeciwisz się rozkazom?

– Nie. Wykonam je ojciec. Tylko we właściwy sposób.

– Odradzam ci to.

– Wiem.

Zrezygnowany John westchnął. Dobrze wiedział, że dalsze przekonywanie syna na nic się nie zda.

– Dobrze. Niech więc będzie po twojemu – powiedział. – Ruszaj szybko, bo czas nagli. Może jednak weźmiesz twego konia?

– Nie. Zabierz go ze sobą. Odgłos kopyt zdradziłby moją obecność wrogom.

John uśmiechnął się.

– Widzę synu, że czasami słuchałeś moich nauk.

– Zawsze ojciec.

Mężczyźni padli sobie w objęcia. Długo tulili się do siebie.

– Bądź ostrożny Garecie – powiedział ojciec. – Pamiętaj, że jesteś ostatnią nadzieją rodu Patingtonów. Nie możesz pozwolić, abyśmy wymarli. Nie możesz zginąć.

– Nie zginę ojciec. Możesz być tego pewien.

– To dobrze. Do zobaczenia synu.

– Do rychłego zobaczenia.

Pożegnali się. Młody rycerz zbiegł szybko po drabinie. Na dole czekał na niego Tobiasz.

– Udzielę ci błogosławieństwa – rzekł.

Garet przystanął. Ksiądz przyłożył mu palec do czoła i naznaczył nim znak krzyża. Następnie wypowiedział cicho modlitwę w języku łacińskim. Na koniec rzekł.

– Niech dobry Bóg prowadzi cię na tej niebezpiecznej drodze.

– Nie martw się przyjacielu – odparł Garet. – Niedługo spotkamy się w Yorku.

– Mnie tam nie będzie. Ja zmierzam do Londynu.

– Czemuż to? – zdumiał się rycerz.

Kapłan spojrzał mu w oczy i odpowiedział.

– Kiedy byłem w Jerozolimie, usłyszałem głos, który nakazał mi przybyć do Patington Home. Usłuchałem go i nigdy nie żałowałem tej decyzji. Gdy dziś modliłem się w kaplicy, głos odezwał się powtórnie. Nakazał mi iść do Londynu. Nie znam konkretnego powodu, lecz wiem, że będę musiał komuś pomóc. Jestem pewien, że jeszcze się spotkamy.

Podał Garetowi zwinięte w kostkę odzienie z czarnej tkaniny i kontynuował.

– To jest mnisi habit z kapturem. Powinien na ciebie pasować. Nocą ukryje cię przed oczami wrogów. Przytłumi też nieco odgłos szeleszczącej zbroi.

Rycerz przyjął zawiniątko i odparł.

– Dzięki Tobiaszu. Na mnie już czas. Niech Bóg będzie z tobą.

– Z tobą również młody Patingtonie – dodał ksiądz.

Garet chciał już przekroczyć bramę, kiedy podeszła babcia Greta. W rękę trzymała niewielki worek.

– Tak się spieszysz chłopcze, że zapomniałeś o jedzeniu – rzekła. – Masz tu w worku świeży chleb i trochę suszonego mięsa. Wody napijesz się z rzeki lub z kałuży.

Podawała mu prowiant i powiedziała.

– Dziś zaczyna się wypełniać twoje przeznaczenie. To, kim się staniesz, będzie zależało od ciebie. Uważnie dobieraj sprzymierzeńców i nigdy się nie wahaj. Pamiętaj o mojej przepowiedni.

– Będę pamiętał babciu.

Pożegnał ją i wyszedł przez bramę. Pobiegł szybko w kierunku wsi. Tylko raz obejrzał się za siebie. Dojrzał ojca, który wciąż stał na czatowni. Wyciągnął miecz z pochwy i uniósł go wysoko. Spostrzegł damasceńską klingę, która również została uniesiona. Nie zobaczył jednak łez wzruszenia, które spływały po policzkach starego Patingtona.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, lecz do zmroku było jeszcze daleko. Burza się nasiliła. Pioruny uderzały coraz częściej. Przynajmniej ulewa nieco ustała, pomyślał Gareth. Siedział przyczajony w krzakach i spoglądał w stronę wioski. Jego najgorsze obawy potwierdziły się. Na nasiąkniętym wodą polu dostrzegł przebite włócznią ciało jasnowłosej kobiety. Od strony wisi dochodziły złowieszcze krzyki, świadczące o obecności wrogów. Ogarnął go wielki niepokój. Nie wiedział czy Margaret żyje.

Po pewnym czasie zoczył gromadę wojowników opuszczających wieś. Ludzie ci szli w stronę morza. Pędzili przed sobą kilka sztuk bydła i trzody. Najwyraźniej chcieli sprawić sobie ucztę. Zanim odeszli, podpalili chaty. Kiedy zniknęli za horyzontem, Gareth postanowił opuścić kryjówkę. Już dźwigał się na nogi, gdy nagle zamarł w bezruchu. Ściągnął chroniący go przed deszczem mnisi habit. Położył dłoń na rękojeści miecza i czekał.

Z pomiędzy domów wyszło dwóch wojów. Szli przez pole w jego stronę. Ciągnęli za sobą przerażoną wieśniaczkę, która krzyczała w niebogłoso. Próbowała się wyrwać, lecz bez skutku. Brutalni mężczyźni mocno trzymali ją za ręce. Rycerz obserwował ich z uwagą. Słuszny gniew w nim narastał. Kiedy się zbliżyli, poczuł silną woń bimbrowy. Wrogowie nie spostrzegli go. Zalegli w krzewach kilka metrów od niego. Młody Patington usłyszał śmiechy, jęki oraz odgłos prującego się materiału. Zapomniał o rozsądku. Dobrze wiedział, co za chwilę nastąpi. Zdecydował się na atak.

Dobyl miecza i wychynął z kryjówki. Jeden z wojowników stał odwrócony do niego tyłem. Nie dał mu szans na reakcję. Ciął go w głowę z ogromną siłą, spotęgowaną przez gniew. Klinga rozbiła hełm wroga, zagłębiając się w ciało. Trysnęła krew. Przeciwnik padł na ziemię, nie wydawszy nawet jęku. Nie czekając, Gareth zaatakował drugiego Wikinga, który klęczał nad nagą dziewczyną z opuszczonymi do połowy portkami. Młody rycerz wraził mu dwie piędzi stali w gardło. Mężczyzna zakrztusił się własną krwią i upadł do tyłu. Po kilku konwulsyjnych podrygach znieruchomiał.

Zwycięski Anglik wbił miecz w ziemię i spojrzał na zdumioną kobietę. Była całkiem ładna. Miała ciemne oczy i jasnoszare włosy.

– Nie bój się – rzekł. – Jestem angielskim rycerzem. Powiedz mi, ilu wrogów

pozostało w wiosce?

– Chyba wszyscy odeszli – odparła. – Poznaję cię. Jesteś Garet Patington.

– Tak. Widziałaś Margaret?

– Porwali ją.

– Zatem, żyje.

– Kiedym ją widziała, żyła.

– A twoja rodzina?

– Wszyscy zginęli.

Dziewczyna zalała się łzami. Młodzian przyklęknął obok niej. Palcami lewej dłoni dotknął jej twarzy. Podniosła głowę. Spojrzała mu w oczy i rzekła.

– Kiedy wlekli mnie przez pole, zdawało mi się, że słyszę płacz dziecka.

Zdziwiony Garet spojrzał w stronę wsi. Po chwili zrozumiał. Sięgnął po habit i rzucił go niewieście.

– Okryj się i zaczekaj tu chwilę – powiedział.

Zaczął biec. Szybko dotarł do olbrzymiego dębu, który rósł na miedzy odgradzającej wioskę od pola. Wyjrzał zza niego ostrożnie. Nie dostrzegł żadnego ruchu. Tylko zabłąkany pies biegał od chaty do chaty. Uspokojony rycerz podszedł do przebitej włócznią kobiety. Odwrócił ją na bok, rozpoznając od razu. Była to Owena. Oczy miała szeroko otwarte. Usta rozchylone. W zeszywniałych rękach ścisnęła niemowlę, które jeszcze żyło. Było owinięte w ciepły wełniany koc. Garet zamknął powieki przyjaciółki. Następnie wziął dziecko i pobiegł do czekającej na niego w krzakach dziewczyny.

– Weź chłopca – rzekł. – Masz tu worek z jedzeniem. Kierujcie się w stronę Yorku. Tam powinno być bezpiecznie.

Wieśniaczka skinęła głową.

– Dziękuję – odparła.

Odebrała noworodka. Następnie przerzuciła przez plecy worek i oddaliła się szybkim krokiem. Patington długo patrzył za nią. Spojrzał też na martwych wrogów. Odwrócił się w stronę wioski i stanął jak wryty.

Na polu zobaczył czterech jasnowłosych wojowników, którzy wpatrywali się w niego w milczeniu. Jeden z nich podszedł do Oweny i wyszarpnął włócznię z ciała kobiety. Gareth nie mógł sobie darować, że tak łatwo dał się zaskoczyć. Nawet przez chwilę nie pomyślał o ucieczce. Był przecież wojownikiem. Zdjął zawieszoną na plecach tarczę. Sięgnął po swój miecz i ruszył na spotkanie Wikingów.

Ludzie Północy obserwowali go uważnie. Młody Patington odwzajemnił ich złowrogie spojrzenia. Trzej najeźdźcy wyglądali zupełnie zwyczajnie. Zwykli wojownicy uzbrojeni w miecze oraz włócznie. Czwarty robił piorunujące wrażenie. Był wielki i potężnie zbudowany. Za jego plecami mogłoby się schować kilku średnich mężczyzn. Gareth nigdy jeszcze nie widział tak rosnącego człowieka. Jego twarz była groźna i surowa. Oczy miał błękitne, jak morze w słoneczny dzień. Broda w kolorze dojrzałego zboża sięgała jego piersi. Włosy również jasne były długie i rozpuszczone niczym u niewiasty. Nie miał na głowie hełmu. Odziany był w błyszczącą metalową kolczugę z rozcięciami umożliwiającymi płynność ruchów. Nosił też grube wełniane spodnie. Na stopach miał wysokie buty ze skóry. Rękawy jego zbroi przyozdabiała złote pierścienie świadczące o bogactwie i waleczności. Na szyi Wikinga kołysał się srebrny młot Thora zawieszony na złotym łańcuszku. Był to jego amulet. Posiadał również skórzany pas z dwuręcznym mieczem w drewnianej pochwie. W prawej dłoni mężczyzna dzierżył topór bojowy z długim trzonkiem. W lewej ręce trzymał tarczę obciążoną czarną skórą. Wymalowano na niej zielony smoczy łeb. Z rozwartej paszczy stworu wydobywał się czerwony płomień. Patington ocenił wiek intruza na nieco ponad dwadzieścia pięć lat.

Wielkolud wskazał toporem zabitych wojowników. Następnie spojrzał pytająco na Gareta. W odpowiedzi młodzian machnął dwukrotnie zakrwawionym mieczem. Olbrzym zrozumiał. Żadne słowa nie były potrzebne. Ogromny Wiking ruszył do ataku. Zamachnął się toporem i uderzył. Gareth sparował cios tarczą i odpowiedział tym samym. Przeciwnik również osłonił się w porę. Miecz Anglika wyrzył okazałą rysę na jego pięknie zdobionej tarczy. Norweg uderzył ponownie z góry. Jego topór wbił się w tarczę wroga i rozłupał ją. Siła ciosu odrzuciła Patingtona do tyłu. Z ledwością utrzymał się na nogach. Jego tarcza była

w rozsypce. Odrzucił ją zagniewany. Zaciśnął obie dłonie na rękojeści miecza. Norweg zaatakował po raz trzeci. Tym razem wymierzył cios w nogi przeciwnika. Zwinny Anglik odskoczył i zadał pchnięcie. Chciał przebić szyję wroga. Wiking zdążył się zasłonić. Klinga Gareta zagłębiła się w tarczy rywala. Ostrze zaklinowało się w drewnie. Młody rycerz zrozumiał, że przegrał. Zobaczył topór opadający na jego głowę. Musiał ratować życie. Odskoczył, wypuszczając z dłoni rękojeść własnego miecza. Teraz był prawie bezbronny. Przeciwnik odrzucił tarczę i uśmiechnął się drapieźnie. Zdesperowany Gareth wyciągnął nóż i wykonał rzut. Mierzył w prawe oko wroga. Norweg wykonał szybki unik. Ostrze noża przeleciało obok jego głowy, znikając gdzieś w trawie. Wystraszony Patington zrobił kilka kroków w tył. Czyniąc to, poślizgnął się na mokrym kamieniu i upadł. Zanim zdołał wstać, został przygnieciony stopą do ziemi. Zwycięski Wiking uniósł topór w górę, chcąc zadać śmiertelny cios.

Wtedy uderzył piorun. Jasna błyskawica rozświetliła niebo. Po niej nastąpił ogłuszający huk grzmotu. Drzewo rosnące na miedzy zostało przecięte. Dwie połówki olbrzymiego dębu zwały się z łoskotem na ziemię. Wikingowie patrzyli na to ze zdumieniem. Leżący na ziemi Gareth też nie potrafił ukryć zdziwienia. Stojący nad nim wojownik schwycił swój amulet i wykrzyknął.

– Thor!

Następnie opuścił topór i zwrócił się do towarzyszy.

– Zabierzcie tego człeka do Sigvalda. Niech on zdecyduje, co z nim począć.

– Nie lepiej ubić tego Saxona? – spytał ktoś.

– Zabił dwóch naszych ludzi – dodał inny.

Przywódcą spojrzął na nich i rzekł.

– Chciałem tak uczynić, lecz Bogowie chcą, żeby żył. Widzieliście błyskawicę. W ten sposób Thor okazał swoją moc i gniew. Nie możemy lekceważyć znaków, które zsyła nam gromowładny.

Dalsze słowa nie były potrzebne. Ręce Patingtona zostały skrępowane rzemieniem. Jeden z wojowników podniósł go z ziemi. Rycerz nie stawiał oporu, ponieważ uznał, że w obecnej sytuacji byłby on bezcelowy. W myślach dziękował Bogu za cudowne ocalenie życia. Postanowił wykorzystać drugą szansę, którą

właśnie otrzymał. Zanim wyruszyli, jarl ponownie przemówił.

– Zabierzcie Flosiego i Sigmunda. Zginęli jak prawdziwi wojownicy. Teraz uczują już w Wallhali. Jutro powierzemy ich martwe ciała opiece Ran.

Po tych słowach ruszyli w drogę. Garet pilnował jeden Norweg. Pozostali dwaj nieśli zabitych przyjaciół. Tylko wódz szedł bez dodatkowego obciążenia. Dzięki naukom księdza Tobiasza, młody Patington rozumiał mowę ludzi północy. Rycerz zamierzał skorzystać z tej wiedzy w odpowiedniej chwili. Może dzięki temu ocali siebie oraz ukochaną, która jak wiedział, również została pojmana.

Na plażę dotarli po zapadnięciu zmroku. Ujrzeni pięć ogromnych ognisk, nad którymi piekły się na roznach tusze wołowe i wieprzowe oraz oskubany drób. Garet zrozumiał, że najeźdźcy przygotowują ucztę. Siedzieli przy ogniskach, śmiali się wesoło i rozmawiali. Niektórzy grali w kości. Patingtona prowadzono w stronę jednego z cumujących statków. Aby tam dotrzeć, musieli zanurzyć się po pierś w morzu. Tego wieczoru woda była bardzo zimna. Wreszcie dobrnęli do burty okrętu.

Na pokładzie stał mężczyzna z płonąca pochodnią w ręku. Wzrostu był średniego, lecz bary miał szerokie. Długa jasna broda powiewała na silnym wietrze. Niebieskie oczy spoglądały z uwagą na otoczenie. Solidna kolczuga znamionowała wojownika. Trudno było oszacować jego wiek.

– Kogo mi przywiódłeś Thorbjornie Hakonssonie – spytał?

Wielkolud odpowiedział.

– To jest Saxon, który dzielnie walczył. Zabił dwóch naszych.

– Czemu jeszcze dycha?

– Gdy chciałem go ubić, Bogowie zesłali mi znak.

– Skoro tak, to wezmę go. Idź się ogrzać przyjacielu. Wkrótce do ciebie dołączę.

Gdy wielki mężczyzna oddalił się, człowiek z pochodnią rzekł.

– Dawać go tutaj.

Dwóch wojów pochwyliło Garetę. Skrepowany rycerz został przerzucony przez burtę. Upadł z łoskotem na pokład. Syknął z bólu i podniósł się z trudem. Usłyszał, że ktoś biegnie w jego stronę. Odwrócił się i zobaczył Margaret. Dziewczyna objęła go za szyję i pocałowała. Rozległy się głośnie śmiechy.

– Widzę, że trafili mi się kochankowie – przemówił Wiking. – Odyn jest dziś łaskawy.

Młody Patington postanowił działać. Odwrócił się w stronę wojownika i zabrał głos.

– Ty pewnie jesteś Sigvald – rzekł.

Zdumiony Norweg zamrugał oczami.

– Owszem. Sigvald Sturisson, przez niektórych zwany Szczęśliwym. Kim jesteś? Skąd znasz naszą mowę?

– Jestem Garet Patington. Waszej mowy nauczył mnie pewien ksiądz.

– Bywa, że nawet oni są użyteczni. Zostałeś pojmany w wiosce. Co tam robiłeś?

– Szukałem ukochanej.

– Cóż, młodość ma swoje prawa.

Norweg spojrzął na towarzyszy i dodał.

– Chodźmy coś zjeść. Przywiązać ich do masztu.

Garet i Margaret zostali związani sznurem. Stali odwróceny plecami do siebie. Zadowolony Wikingowie opuścili statek i poszli na plażę. Młodzi przez chwilę milczeli. Pierwsza odezwała się dziewczyna.

– Co z nami będzie? – szepnęła.

- Nie wiem, lecz postaramy się przeżyć – odparł Gareth.
- Myślisz, że nas nie zabiją?
- Gdyby chcieli, uczyniliby to od razu.
- Zatem do czego nas potrzebują?
- Nie wiem kochana. Wkrótce się przekonamy.
- Owena i Ralf zginęli.
- Wiem. Widziałem ich zanim mnie pojмали.
- Czy ktoś jeszcze ocalał?
- Jedna dziewczyna uciekła.
- Gdzie twój ojciec?
- Udał się do Yorku.
- Dlaczego nie poszedłeś z nim?
- Bo wyruszyłem po ciebie.
- Zgodził się na to?
- Nie miał wyboru.
- Spóźniłeś się.
- Na to wygląda.

Garet przyjrzał się płóciennemu namiotowi zbudowanemu na rufie okrętu. Dostrzegł małego chłopczyka, który siedział w nim skulony.

- Wiesz, kim jest ten chłopiec – spytał?
- Pochodzi z rybackiej wioski. Chyba nie potrafi mówić, bo ciągle milczy.

- Ciekawe, dlaczego tutaj jest?
- Człowiek, któremu nas oddano ma dobre serce.
- Miejmy taką nadzieję.

Młody rycerz spojrział na zachmurzone niebo. Przynajmniej przestało padać, pomyślał.

Było ciemno i zimno. Północ dawno już minęła. Uczta na plaży dobiegła końca. Wesole śpiewy umilkły. Ludzie spali przy dogasających ogniskach. Tylko dwaj strażnicy chodzili tam i z powrotem po piasku. Wikingowie nie spodziewali się ataku. Garet przez chwilę myślał o ucieczce. Szybko jednak porzucił ten zamiar. Wiedział, że nie uda mu się rozluźnić mocnych więzów. Nawet gdyby się udało, niewiele by to pomogło. Nie zdołaliby dotrzeć do plaży niezauważeni. Szybko schwymano by ich ponownie. Dlatego najbezpieczniejsze było czekanie na odpowiedni moment. Margaret myślała podobnie. Od dłuższego czasu milczała. Próbowwała modlić się, lecz nie potrafiła zebrać myśli. Gdy zamykała oczy, powracał koszmary obraz minionego dnia.

Usłyszeli chłopot morskiej wody. Do statku zbliżał się człowiek. Po chwili pijany mężczyzna przeskoczył przez burtę. Rozjechał się na śliskich deskach pokładu, lecz zdołał utrzymać równowagę. Był to Sigvald Sturisson. Przeszedł na rufę drakkaru. Przyklęknął przy śpiącym chłopcu, okrywając go szczelnie kocem. Następnie przysiadł na jednej z ławek wiosłarskich. Spojrzął na jeńców i rzekł.

- Powiedźcie coś o sobie.
- Jestem angielskim rycerzem – odparł Garet. – Cóż więcej mówić?
- Powiedz mi, czego dokonałeś?
- Kiedyś zabiłem niedźwiedzia.
- Z łuku czy włócznią?
- Włócznią.

– To już coś. Co takiego jeszcze zwojowałeś?

– Dziś pokonałem dwóch waszych ludzi.

– Zatem jesteś prawdziwym wojownikiem.

– Tak. Jestem.

– A co ty powiesz dziewczko?

Margaret odpowiedziała pytaniem.

– Skąd znasz mowę Anglików? – rzekła.

– Moja matka była saxońską niewolnicą.

Sigvald spojrział na dziewczynę i dodał.

– Jesteś jeszcze dziewicą?

Przygryzła dolną wargę i milczała.

– Powiesz mi, czy mam sam sprawdzić?

– Jestem czysta – rzekła zakłopotana.

– To świetnie – zaśmiał się głośno. – Arabowie sporo płacą za tak rzadkie okazy.

W duszy dziewczyny narastała panika. Zaczęła obawiać się najgorszego. Wiking, nie spuszczając z niej oka, odezwał się ponownie.

– Sam mógłbym zrobić z ciebie kobietę, lecz nie bój się. Z wiekiem stałem się łagodniejszy niczym stary ogier.

Przeniósł wzrok na Garetę i rzekł.

– Drzewiej bywało inaczej.

Wyciągnął mały nożyk i zaczął podrzucać go w dłoni. Po chwili znów mówił.

– Gdy byłem jeszcze młody, pewna wiedźma zapragnęła, abym dał jej rozkosz. Wszyscy bali się mrocznych czarów tej kobiety. W zamian obiecywała mi wieczną młodość i szczęście. Zachęcony, wypilem napar z ziół, który sporządziła. Potem legliśmy wspólnie pod płaszczem. - Wyciągnął z sakwy mały bukłak i napił się.

– Ocknąłem się, wisząc głową w dół. Przywiązano moje nogi do grubego konaru. Mój miecz leżał porzucony na ziemi. Nie mogłem go dosięgnąć. Myślałem już, że przyjdzie mi zginąć w tak haniebnym sposobie. Wtedy jednak spotkałem mojego króla.

– Króla? – spytał Garet.

– Było to w roku bitwy pod Stiklestad. Wtedy nasz władca, Olaf Haraldsson, zginął w walce z wojskami duńskiego króla Knuta. Harald walczył u boku Olafa. Po przegranej bitwie musiał uchodzić z kraju z garstką niedobitków. Norny sprawiły, że uciekinierzy natknęli się na człowieka wiszącego na drzewie. Najpierw śmiali się długo. Następnie Harald Sigurdsson podszedł i uwolnił mnie. Tego dnia staliśmy się przyjaciółmi. Razem udaliśmy się na wygnanie. - Sigvald napił się ponownie, po czym kontynuował.

– Wojowaliśmy wspólnie w wielu krajach. Najpierw dotarliśmy na dwór władcy Rusów Jarosława, zwanego Mądrym. Braliśmy udział w jego wojnie z polskim królem Mieszkiem. Potem powędrowaliśmy do Cesarstwa Wschodniego. W armii bizantyjskiej walczyliśmy z wrogami, których skóra była czarna niczym smoła. Stykaliśmy się też z jadowitymi węzami oraz budzącymi powszechną grozę rzeczonymi smokami. Ich paszcze są tak wielkie, że jednym kłapnięciem mogą rozerwać człowieka na pół. Dzięki Bogom, że nie potrafią zionąć ogniem.

– Mówiono mi, że smoki nie istnieją – wtrącił Patington.

Wiking zachichotał cicho.

– Nasłuchałeś się kłamstw, Angliku. Rzeczne smoki są prawdziwe. Sam ubiłem jednego z nich.

– W jaki sposób?

– Wraziłem mu grot włóczni w rozwarty pysk. Gdy znieruchomiał, to odrąbałem łeb toporem. Wówczas zyskałem pewność, że poczwara jest martwa.

Sigvald schował nożyk i opowiadał dalej.

– Za odwagę zostaliśmy nagrodzeni. Przydzielono nas do gwardii samej cesarzowej. Była piękną kobietą. Miała na imię Zoe. Służąc przy niej, zdobyliśmy ogromne bogactwa. Po latach tułaczki wróciliśmy do rodzimej Norwegii. Harald wywalczył sobie tron i został koronowany. Nadal jednak biliśmy się z królem Duńczyków Swenem, następcą Knuta. Po wielu krwawych starciach, zawarliśmy pokój. Nareszcie mogłem odpocząć.

– Widać, że odpoczynek nie trwał długo.

Norweg uśmiechnął się i odparł.

– Wojowałem przez trzydzieści lat. Wysłałem do Wallhali setki ludzi. Brałem udział w dziesiątkach potyczek. Nigdy nie zostałem nawet draśnięty. Zaczęto nazywać mnie Szczęśliwym. Gdy nastał pokój, zbudowałem sobie dwór. Zamieszkałem w nim z moimi czterema kobietami i sporą liczbą dzieci. Chyba tylko Odyn wie, ilu spłodziłem potomków. Sądziłem, że odtąd będę mógł wieść spokojny żywot i obrastać w sadło. A tu nagle mój król zapragnął ponownie zawojować świat. Tak oto w wieku sześćdziesięciu lat znów chwyciłem za miecz i przepłynąłem morze.

– Po co tu przybyliście? – spytał Garet.

– Czyżbyś nie wiedział młodzieńcze? – Wiking roześmiał się. – Po łupy, władzę i nieśmiertelną sławę. Oficjalnie wspieramy roszczenia księcia Tostiga. Wasz samozwańczy monarcha Harold nie przybędzie z odsieczą. Stoi z wojskiem na południu. Strzeże wyspy przed Normandczykami. Podobno Wilhelm zgromadził pokaźne siły. Tymczasem my jesteśmy tutaj bezpieczni. Musimy tylko pokonać northumbryjską szlachtę i zdobyć York. Potem możemy spokojnie zimować, czekając na rozwój wydarzeń.

– Myślisz, że tak łatwo wam pójdzie?

– Oczywiście.

Patington postanowił zmienić wątek, więc zapytał.

– Kim jest wielkolud z toporem, który nas pojmał?

– To Thorbjorn Hakonsson. Liczy dwadzieścia sześć wiosen. Niegdyś uczyłem go wojaczki. Od ośmiu lat jest niepokonany. Sieje postrach wśród wrogów. Sławą dorównuje naszemu królowi. Są tacy, którzy myślą, że przybył z Asgardu i jest nieśmiertelny. Inni twierdzą, że splodziła go Walkiria. Ja jednak wiem, że jest to człowiek z krwi i kości.

– Nigdy nie spotkał równego sobie?

– Był kiedyś w świecie króla Swena pewien Duńczyk, który rzucił mu wezwanie. Przed bitwą stoczyli pojedynek. Przez długi czas wymieniali zabójcze ciosy. Żaden nie potrafił zyskać przewagi. Walka była wyrównana. Nagle Duńczyk poślizgnął się. Thorbjorn wykorzystał to i ciął go w głowę.

– Co się stało potem?

– Wojownik Swena utrzymał się na nogach i wrócił do swoich. Następnie dwie armie przypadły do siebie i rozgorzał zacięty bój.

– Czy rannemu Duńczykowi udało się przeżyć?

– Wylizał ranę, lecz spotkało go coś znacznie gorszego od przedwczesnej, honorowej śmierci.

– Co takiego?

– Utracił zaufanie swego pana.

Garet ponownie zmienił temat rozmowy.

– Dlaczego Thorbjorn oddał nas tobie?

– Darzy mnie wielkim szacunkiem. Nauczyłem go walczyć. Dlatego często przekazuje mi cenne łupy.

– Kiedy nas rozwiążesz?

- Jak tylko odbijemy od brzegu.
- Co z nami zrobicie? – spytała Margaret.
- Ty dziewczyno, zostaniesz ze mną. Będziesz gwarancją lojalności.
- Lojalności?
- Trzymając ciebie, zyskam pewność, że twój luby nie zdradzi.
- Chcesz go wypuścić?

Wiking westchnął ciężko i odpowiedział.

– Harald Hardrada zebrał armię. Są wśród nas liczni Norwegowie, niektórzy Duńczycy oraz Szwedzi. Zyskaliśmy poparcie jarłów z Islandii, Hybrydów i Szetlandów. Nawet król Szkotów Malkolm przysłał wsparcie. Są jeszcze ludzie tego kmiotka Tostiga. Razem stanowimy wielką siłę. Nie jesteśmy jednak tak liczni, aby obsadzić załogami wszystkie miasteczka i zamki w Northumbrii. Nie chcemy też ciągle tłumić buntów. Dlatego wysłamy sprzymierzonych z nami Anglików, aby uspokoiли wzburzonych rodaków.

- Myślicie, że wam się uda?
- Kiedyś Duńczykom się powiodło.

Do rozmowy włączył się Patington.

- Czy zagwarantujesz mi, że niewieście nie stanie się krzywda?
- Takiej gwarancji nikt ci nie da chłopcze. Mogę jednak zapewnić, że będzie chroniona.

Sigvald wstał i podszedł do Margaret. Wydobył z sakwy złoty amulet Thora zawieszony na skórzanym rzemieniu. Zarzucił go na szyję dziewczyny i rzekł.

– Każdy jurny młokos w tej armii będzie wiedział, że branka ma już właściciela, z którym lepiej nie zadzierać. – Odwrócił się i odszedł w kierunku plaży.

– Co teraz zrobimy? – szepnęła kobieta.

– Na razie jesteśmy bezsilni – odparł Gareth. – Musimy czekać na to, co przyniesie przyszłość. To ulubione słowa babci Grety.

Wyszli w morze o świcie. Dwa statki płynęły obok siebie. Gareth i Margaret zostali rozwiązani. Najedli się wędzonych ryb, które popili dzbanem wody. Gdy ląd zniknął im z oczu, rozpoczęła się ceremonia pogrzebowa. Ludzie z sąsiedniego okrętu unieśli w górę martwych towarzyszy. Po dłuższej chwili przerwali ich przez burtę. Dwa obciążone kamieniami ciała z głośnym pluskiem wpadły do wody. Szybko zostały pochłonięte przez fale. Nastąpiła chwila ciszy. Niektórzy Wikingowie ściskali mocno w dłoniach swoje amulety. Pozostali przeżegnali się po chrześcijańsku. Nieliczni odmówili jakąś krótką modlitwę. Następnie zaczęto nucić monotonną pieśń żałobną. Z początku Patington nie potrafił rozróżnić poszczególnych słów. Gdy powtórzono je kilkakrotnie, rycerz wreszcie zrozumiał treść pieśni. Brzmiała ona następująco:

„Bydło pada, dzieci umierają.

I ty szczeźniesz zaraz.

Lecz znamy coś, co nigdy nie umiera.

To chwala tych, którzy polegli w boju.”

Po zakończeniu obrzędu statki zawróciły. Następnie skierowały się na południe i płynęły wzdłuż brzegu. Wiatr sprzyjał, więc rozwinięto żagle na drewnianych masztach. Wkrótce Gareth, dostrzegł inne drakkary sunące gładko po spienionych falach. Było ich wiele. Różniły się wielkością, ilością wiosł, ozdobami na dziobach oraz barwami żagli. Załogi poszczególnych łodzi pozdrawiały się z daleka głośnymi okrzykami.

Margaret szybko przywykła do ciągłego kołysania się pokładu. Tylko raz wychyliła się przez burtę i zwymiotowała. Siedziała pod płóciennym namiotem, pocieszając małego chłopca, który nadal milczał. Podróżowali tak przez cały dzień. O zmierzchu przybili do brzegu. Jeńcy spędzili kolejną noc przywiązani do masztu.

Rankiem okręty wpłynęły w nurt rzeki Ouse. Teraz załoga musiała ciężko machać wiosłami. Statki płynęły pod prąd. Młody Patington również spróbował wiosłarstwa. Wkrótce przekonał się, że nie jest to proste zajęcie. Zmęczył się szybko i został zastąpiony przez doświadczonego członka załogi. Naraził się przy tym na drwiny Ludzi Północy.

Po południu Gareth zoczył wielkiego czarnego ptaka. Szybko zorientował się, że jest to kruk. Drapieżnik dwukrotnie okrążył statek, po czym przysiadł na szczycie masztu. Wikingowie powitali ptaka radosnymi okrzykami. Rozweselony Sigvald podszedł do Gareta.

– Kruki to święte ptaki – rzekł. – Jednooki Odyn rozsyła je po świecie, aby zbierały wieści. Są jego posłańcami. Pan Asgardu rozmawia z nimi. Dzięki temu, wie o wszystkim, co dzieje się w Midgardzie.

– Zatem Midgard to świat ludzi? – spytał rycerz.

– Tak.

Norweg sięgnął po drewniany gwizdek. Przyłożył go do ust i zagwizdał przeciągle. Ptak najwyraźniej zrozumiał, bo rozłożył skrzydła i opadł łagodnie w dół, prosto na wyciągniętą lewą dłoń Sigvalda. Jego ostre pazury wczepiły się w grubą skórę rękawicy.

– Munin, tak go nazwałem – rzekł Wiking. To mój przyjaciel. Wychowałem go od pisklęcia. Piękne stworzenie.

Rzeczywiście takie było. Kruk był cały czarny. Tylko końcówki skrzydeł miał białe. Rozglądał się dokoła, wypatrując oznak zagrożenia. Jego błyszczące ślepia były czerwone. Patington wyciągnął rękę, chcąc go dotknąć. Ptak zaatakował go potężnym dziobem. Anglik zdążył cofnąć palec.

– Musisz być cierpliwy, chłopcze – napomniał go Norweg. – Kruki są bardzo czujne i ostrożne.

Wtedy podeszła do nich Margaret. Łagodnie wyciągnęła prawą dłoń i delikatnie musnęła lewe skrzydło drapieżnika. Ptak nie zareagował. Sigvald zaśmiał się cicho i rzekł.

– Udało ci się dziewczyno za pierwszym razem. Czyżbyś była wybranką

Odyna?

– Może – zażartowała niewiasta.

Wiking potrząsnął dłonią. To był sygnał. Kruk wystartował i przefrunął na pobliskie drzewo. Długie łodzie mozolnie płynęły w górę rzeki.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dnia 18 września 1066 roku cała flota najeźdźców przycumowała w miasteczku Riccal. Była to niewielka miejscina składająca się głównie z drewnianych domów. Teraz całkowicie opustoszała, ponieważ zatrwożeni mieszkańcy uciekli w głąb łądu. Do nabrzeża przybijały setki okrętów. Lądowanie w takich warunkach wymagało niezwyklej zręczności. Wikingowie poradzi sobie z tym szybko. Następnie zaczęli wyładowywać ze statków broń i żywność. Przygotowywali się do marszu łądem.

Pod wieczór sprowadzono na brzeg jeńców. Zamknięto ich w jednym z opuszczonych domów. Gareth był jedynym mężczyzną w tym nieszczęsnym gronie. Wokół niego lamentowały niespełna cztery dziesiątki młodych kobiet. W gromadzie dostrzegł też pięciu chłopców. Margaret opiekowała się szóstym. Przez chwilę młody rycerz znów pomyślał o ucieczce. Przystawił ucho do niewielkiej szpary w drzwiach i nasłuchiwał. Wnet poczuł rezygnację. Przekonał się bowiem, że chałupa jest dobrze strzeżona. O wykradnięciu się nie było mowy. Musieli więc zostać. Przez całą noc wspólnie z Margaret pocieszał płaczące niewiasty.

Rankiem armia ludzi północy wyruszyła w stronę Yorku. Trzecia część wojska została na straży łodzi. Pozostali także jarlowie Hybrydów i Szetlandów oraz syn króla Norwegii, Olaf. Sam nieustraszony władca ruszył wraz z trzonem swoich sił na podbój Północnej Anglii. Zabrano również Gareta Patingtona. Margaret chciała wyruszyć z nim, lecz Sigvald stanowczo odmówił. Nie było więc czasu na wylewne pożegnania. Młodzi pocałowali się raz, po czym musieli się rozstać. Mieli nadzieję, że tylko na krótki czas.

Armia Wikingów maszerowała rażno. Ludzie nie bali się walki. Jedni

śpiewali głośno. Inni gwarzyli wesoło. Byli jednak i tacy, którzy milczeli. Garet szedł pośród ludzi Sigvalda, obserwując swoich wrogów. Szacował ich liczbę na kilka tysięcy zaprawionych w bojach wojowników. Nie posuwali się do przodu zwartym szykiem. Szli w kilkunastu luźnych formacjach. Jedni wędrowali szybciej, inni zostawali w tyle. Niektórzy odchodzili na bok. Pewnie za potrzebą. Król podążał na czele swej armii. Daleko w przodzie Patington dostrzegł chorągiew łopoczącą na jesiennym wietrze.

Przez cały dzień szli wzdłuż rzeki. Wieczorem rozpalili ogniska i zaczęli przygotowywać stawę. Rozmawiali o bieżących sprawach. Zwiadowcy donieśli, że earlowie: Edwin i Morcar, zgromadzili fryd. Anglicy byli niedaleko. Stali pomiędzy rzeką a bagnem. Garet wiedział, że miejsce to zowie się Gate Fulford. Jest to majątek earla Morcara. Nikt jednak go nie wypytywał, więc milczał. Młodzian nie wiedział, co przyniesie mu jutrzejszy dzień. Miał tylko nadzieję, że nie będzie zmuszony walczyć z rodakami. Zjadł posiłek złożony z twardego chleba i suszonego mięsa. Popił jadło rozwodnionym kwaśnym piwem. Następnie położył się na ziemi i szybko zapadł w sen.

Obudziło go szturchnięcie w ramię. Podniósł się i rozejrzał. Niebo było czyste. Dzień 20 września 1066 roku zapowiadał się pogodnie i niemal bezwietrznie. Pierwsze promienie wschodzącego słońca wyłoniły się zza horyzontu. Wikingowie gasili ogniska i szykowali się do drogi. Stojący nad nim Sigvald podał mu kawałek twardego sera i rzekł.

- Jedz szybko, bo musimy się zbierać. Wróg jest niedaleko.
- Ilu Anglików przybyło? – spytał Garet.
- Siły będą wyrównane.
- Zatem będzie bitwa.
- Tak.
- Jesteście pewni zwycięstwa?
- Oczywiście, to już przesądzone.
- A co ze mną? Nie będę walczył przeciwko swoim.

– Nie będziesz musiał. Walczyłeś już kiedyś w bitwie?

– Nie. Tylko w potyczce.

– Zatem, będziesz patrzył. Po raz pierwszy w życiu zobaczysz ścierające się ze sobą mury tarcz. Może zdołasz czegoś się nauczyć.

Młody rycerz nie odpowiedział. W milczeniu przeżuwał ser. Nagle dostrzegł sporą grupę ludzi oddalającą się od głównego obozu. Wszyscy byli uzbrojeni i gotowi do natychmiastowej walki.

– Dokąd oni idą? – zapytał.

– Chcą obejść moczary – odparł Wiking. – W odpowiednim momencie uderzą na wroga od tyłu. Thorbjorn ich prowadzi.

– Myślicie, że zasadzka się powiedzie?

– Tak. Twoi ziomkowie zostaną zaskoczeni. Ich los jest już przesądzony.

Garet był zaniepokojony. Po chwili Norweg odezwał się ponownie.

– Wśród Northumbryjczyków jest niejaki John Patington. Czy to twój ojciec?

– Tak. Skąd o nim wiesz?

– Od Anglików, którzy przystali do nas. Mówią, że to wielki wojownik.

– Zaiste.

– Podobno ma wspaniały miecz.

– Najpiękniejszy ze wszystkich, jakie widziałem. Został wykuty przez mistrzów z dalekiego Damaszku.

– To ciekawe – mruknął Sigvald i odszedł.

Dwóch roślących wojów schwyciło Garetę za ramiona. Wiedli go między sobą. Nie chcieli, żeby uciekł. Rycerz zastanawiał się, do czego tak naprawdę jest im

potrzebny? Liczył, że tego dnia sprawa się wyjaśni. Teraz Wikingowie szli w bardziej zwartym szyku. Najwyraźniej obawiali się nagłego ataku. Napięcie wzrastało z każdą chwilą. Gdy zrobiło się widno, armia stanęła. Gareth został wprowadzony na niewielki pagórek. Za nim wniesiono pał, który wbito w ziemię przy pomocy młotów. Następnie rycerz został przywiązany do drewnianego kloca. Gdy chciał coś powiedzieć, wepchnięto mu w usta kawałek zmiętej skóry.

– To na wypadek, gdybyś chciał krzyczeć – zaśmiał się jeden z Norwegów.

– Nie baw się z nim Wulfgarze – warknął drugi. – Czas nam ruszać do boju.

Ludzie Północy zbiegli z pagórka. Młody Patington był uwięziony. Jego ręce i korpus były przywiązane. Mógł poruszać nogami oraz głową. Mimo licznych prób, nie potrafił wyrwać długiego pała z ziemi. Nie mógł również rozluźnić więzów splecionych z solidnego, konopnego sznura. Miał za to dobry widok na okolicę. Zaczął więc obserwować. Był zatroskany i podniecony zarazem. Wiedział, że już wkrótce na jego oczach rozegra się bitwa. Żałował tylko, że nie może walczyć u boku swego ojca.

Gate Fulford było dziwnym miejscem. Gareth patrzył na wąski pas ziemi porośnięty skąpo trawą oraz nielicznymi krzewami. Terytorium to znajdowało się pomiędzy rzeką a bagniskiem, które cuchnęło z daleka. Te naturalne zapory stanowiły osłonę dla flank obydwu armii, które właśnie szykowały się do boju. Uwięziony rycerz spojrział w niebo. Dostrzegł stada różnorodnych ptaków. Stworzenia te krążyły dookoła, czekając cierpliwie. Ich radosne trele rozbrzmiewały głośno. Wysoko w górze szybował kruk. Ptak unosił się swobodnie na rozłożonych skrzydłach. Być może jest to drapieżnik wychowany przez Sigvalda, pomyślał Patington. Młodzian zastanawiał się, jak to się dzieje, że padlinożercy wyczuwają zapach krwi, która jeszcze nie została przelana.

Wikingowie ustawili się w zwartą kolumnę. Gareth naliczył sześćdziesięciu ludzi stojących w jednej linii. Zliczając poszczególne rzędy, doszedł do wniosku, że kolumna liczyła mniej więcej cztery tysiące wojów. W środku pierwszego szeregu dostrzegł wysokiego mężczyznę, który dorównywał wzrostem Thorbjornowi. Na jego głowie połyskiwał pozłacany hełm. Młody Patington uznał, że musi to być sam król Harald. Widać odwagi mu nie brakowało. Po jego prawicy stał niski wojownik. Gareth dostrzegał ledwie czubek jego głowy. To pewnie Sigvald Sturisson, pomyślał. Przednie szeregi kolumny tworzyli zaprawieni

w bojach Ludzie Północy. Pochodzili ze Skandynawii i Islandii. W środku stali ściśnięci Angliki księcia Tostiga. Garet próbował dostrzec go w tłumie, lecz nie potrafił. Widocznie młodszy syn Godwina nie wyróżniał się niczym szczególnym. W tylnych rzędach znajdowali się Szkoci uzbrojeni w łuki i strzały. Nie brakowało im też mieczy. Sztandarów było niewiele. Jako że pogoda była bezwietrzna, więc nie łopotały.

W pewnej odległości od Wikingów stali wojownicy z Mercji oraz Northumbrii. Kolumna, którą tworzyli, była równie szeroka. Z daleka wydawała się nieco dłuższa. Czyżby Anglików było więcej? Chyba jednak tak. Za liniami zbrojnej piechoty stało kilkunastu konnych wojowników. Młody Patington zastanawiał się, co to znaczy? Uznał, że być może earlowie: Morcar i Edwin zrezygnowali z bezpośredniego udziału w bitwie.

Przez długi czas obie armie stały naprzeciw siebie. Nikt nie kwapił się, pierwszy ruszyć w bój. Ludzie stojący w przednich szeregach dodawali sobie odwagi, potrząsając mieczami, tarczami i toporami. Obrzucali też wrogów różnorodnymi wyzwiskami. Poza tym nic się nie działo. Przywiązany do pała Garet denerwował się coraz bardziej. Słońce było już wysoko na błękitnym niebie.

Wreszcie jeden z Wikingów wystąpił przed szereg. Zamachnął się włócznią i rzucił. Pocisk poszybował wysoko w powietrze, po czym, zataczając łuk, opadł ku ziemi. Wbił się w grunt kilka metrów od pierwszego szeregu wroga. Angliki roześmiali się głośno. Spośród nich wyszedł sir Edgar Hamerton. Młody Patington rozpoznał go od razu. Senior podszedł do włóczni i wyszarpnął ją z ziemi. Złamał jej drzewce na kolanie i odrzucił zniszczoną broń miotającą. Następnie sięgnął po młot bojowy, którego używał zamiast topora. Uniósł oręż do góry i ryknął potężnie. Ten zdecydowany pokaz siły wzbudził uznanie zarówno u przyjaciół, jak i u wrogów. Towarzysze odebrali go, jako sygnał do ataku.

Kolumna Anglików ruszyła z wolna do przodu. Zbrojni z pierwszego szeregu złączyli tarcze, tworząc zwartą osłonę. Głowy rycerzy ochraniali ludzie z drugiej linii uniesionymi wysoko własnymi tarczami. Tych z kolei osłaniali wojacy z trzeciego rzędu. W ten sposób powstała formacja zwana murem tarcz.

Widząc to, również Wikingowie skryli się za własnymi tarczami i czekali. Stojący z tyłu Szkoci wystrzelili z łuków. Strzały wzbiły się wysoko i opadły na tarcze Anglików. Niemal wszystkie utkwily w drewnie, nie czyniąc nikomu szkody. Tylko jedna strzała przeszła przez szparę pomiędzy dwiema tarczami i ugodziła człowieka, kładąc go trupem na miejscu. Powstała w szyku wyrwa

natychmiast została wypełniona. Dwie armie zderzyły się ze sobą. Podobnego huku Gareth nigdy jeszcze nie słyszał. Był to dźwięk setek mieczy i toporów zderzających się ze sobą oraz zagłębiających się w tarcze wrogów. Odgłos włóczyń godzących zdradziecko w nogi przeciwników. Wrzaski zabitych i rannych. Taka była muzyka bitwy.

Pierwsze szeregi ścierały się ze sobą. Ciepła krew lała się gęstymi strugami. Gdy ktoś padał na ziemię, na miejscu poległego stawał inny rycerz. Dzięki temu zwarte szyki nie ulegały rozerwaniu. Wojowie ze środkowych oraz tylnych rzędów napierali na tych stojących z przodu, aby wzmocnić siłę nacisku. W ten sposób chcieli przełamać, a następnie rozbić mur tarcz przeciwnika. W kłębowisku walczących Gareth usiłował dostrzec ojca. Rozpoznawał tylko górującą nad wszystkimi sylwetkę norweskiego króla, który przyjmował ciosy na tarczę i rąbał zaciekle mieczem. Żadna ze stron nie potrafiła uzyskać przewagi. Wikingowie, zgodnie ze swoją reputacją, walczyli dzielnie. Ludzie z Northumbrii i Mercji nie ustępowali im pola. Młody Patington nie mógł ustalić, jak długo trwały krwawe zmagania.

Nagle, jakby na umówiony sygnał, dwie armie rozłączyły się. Anglicy cofnęli się. Walka została przerwana. Na poboju leżało kilkudziesięciu zabitych i rannych. Gareth z prawdziwą ulgą stwierdził, że nie ma wśród nich ojca ani też Edgara Hamertona. Wkrótce przyniesiono wodę. Wojownicy łapczywie gasili pragnienie. Niektórzy opatrywali rany.

Po pewnym czasie z tłumu Anglików wyszedł jakiś człowiek. Wyciągnął miecz i oznajmił, że pochodzi z Mercji i nazywa się Braian. Oświadczył, że wyzywa jednego z Ludzi Północy na śmiertelny pojedynek. Nastąpiła długa chwila ciszy. Potem Norwegowie zaczęli głośno wiwatować i uderzać mieczami o tarcze. Okazało się, że wezwanie przyjął sam władca. Harald wystąpił naprzód z obnażoną klingą. Odważny Mercjanin nie okazał lęku. Śmiało rzucił się do boju. Król odbijał tarczą jego zamaszyste ciosy. Sam na razie nie atakował. Cofał się tylko, ustępując młodzikowi pola. Rozochocony Braian dostrzegł swoją szansę na zdobycie sławy. Zamachnął się tarczą, mierząc w nogi słynnego Norwega. Chciał w ten sposób powalić go na ziemię. Doświadczony Hardrada tylko na to czekał. Zwinnie uskoczył w bok, unikając tarczy wroga. Następnie zadał cios na odsłoniętą głowę Anglika. Śmiałek padł jak długi. Monarcha postawił stopę na ciele przeciwnika i ryknął tryumfalnie. Odpowiedział mu gromki chór głosów. Zwycięski wódz uśmiechał się szeroko, wracając do swoich wojowników.

Anglicy, rozłoszczeni porażką swego rycerza, ruszyli do ponownego

szturmu. Szkojcy łuczniczy znowu zasypali ich gradem strzał. Pieszce armie starły się po raz drugi. Garet obserwował to wszystko z rosnącym niepokojem. Wreszcie ujrzał swojego ojca. John Patington walczył w pierwszym szeregu. Atakował norweskiego króla. Jego damasceńska klinga uderzała raz po raz w tarczę monarchy. Harald odcinał się tym samym. W powietrzu fruwał drewniane drzazgi. Obaj Mężczyźni napierali na siebie z ogromną siłą. Od wyniku ich walki mógł zależeć los całej bitwy. Wiking stojący po lewicy władcy rąbał wielkim toporem. Zamierzał rozplatać czaszkę starszego Patingtona. Ten jednak był chroniony przez człowieka stojącego za nim, który trzymał nad jego głową swoją tarczę. Ciosy topora natrafiły więc na solidną osłonę.

Nagle podstępnie zadany cios sięgnął cel. Jeden z Ludzi Północy zachwiał się i upadł. Grot włóczni przeszył mu nogę. Nastąpiło zamieszanie i kotłowanie. Garet stracił z oczu ojca. Odtąd nie wiedział, co się z nim dzieje. Wikingowie zaczęli się cofać. Anglicy zwietrzyli szansę na zwycięstwo. Naparli ze zdwojoną siłą. Chcieli jak najszybciej przełamać szyki wroga. Ich zwycięstwo wydawało się nieuniknione. Nie wiedzieli jednak, że znajdują się w śmiertelnej pułapce. Zniewolony, młody Patington nie mógł nikogo ostrzec. Jego rozpacz wzrastała. Był zupełnie bezradny. Nie potrafił nawet krzyczeć.

Gdy spojrział w dal, zauważył to, czego się najbardziej obawiał. Wikingowie prowadzeni przez Thorbjorna obeszlą moczary i wyszli na tyłach Anglików. Teraz szykowali się do zadania im decydującego ciosu. Tyły angielskiej piechoty nie były chronione. Niewielka grupka konnych musiała zawczasu odjechać. Skupiony na obserwowaniu bitwy Garet nawet tego nie zauważył.

Nowo przybyli Ludzie Północy ruszyli do ataku. Szybko zbliżali się do wroga. Stworzona przez nich zwarta kolumna liczyła niecały tysiąc wojowników. Na czele biegł olbrzymi Thorbjorn Hakonsson. Z toporem oraz tarczą w dłoniach, wyglądał jak prawdziwy heros ze skandynawskich sag. Mercjanie i Northumbryjczycy znaleźli się pomiędzy młotem a kowadłem. Tyłne szeregi Anglików tworzyli głównie chłopci z fyrdu. Wieśniacy byli silni i dostatecznie uzbrojeni, lecz nie nawykli do bezpośrednich starć w murze tarcz. Gdy ujrzeni nadciągającego licznie wroga, wpadli w panikę. Wielu rzuciło się do ucieczki. Niektórzy udali się w stronę grząskich bagien, licząc na łut szczęścia. Pozostali rzucali się w nurt rzeczny. Mieli nadzieję na to, że zdołają przepłynąć na zbawienny, drugi brzeg. Nie wszyscy jednak umieli pływać. Pechowcy byli niemal skazani na utonięcie. Wieśniacy, którzy pozostali w armii, gotowali się do boju. Wiadomym było, że nie wytrzymają długo. Wynik bitwy został przesądzony. Nic już nie mogło tego zmienić. Wikingowie rozbili angielskich chłopów. Ich miecze

i topory siały śmierć. Włócznie przebijały po dwóch ludzi naraz. Thorbjorn nadal nie nosił hełmu. Pierwszy wdierał się w szeregi swoich wrogów. Był cały umazany krwią. Wydawał się niezniszczalny.

Po rozgromieniu fyrdu Normanowie napotkali większy opór. Środkowe linie Anglików zdążyły się przegrupować. Na ich czele stał Edgar Hamerton, który przypuścił atak na Thorbjorna. Jego bojowy młot wbił się w tarczę z wizerunkiem smoka i rozłupał ją. Norweg odpowiedział potężnym ciosem topora, który odrąbał górną krawędź tarczy Anglika i sięgnął jego hełmu. Zamroczony Edgar zachwiał się. Bojowy młot wypadł mu z ręki. Widząc to, Wiking uderzył go w twarz resztkami własnej tarczy. Hamerton zalał się krwią i upadł na kolana. Thorbjorn szybkim cięciem skrócił go o głowę. Ludzie Północy zawyli z radości.

Wtedy okazało się, że przednie szeregi również nie wytrzymały przytłaczającego naporu przeciwników. Mur tarcz został rozerwany. Rozpoczęła się rzeź. Wielu Anglików stawiało zacięty opór, mimo beznadziejnej sytuacji. Zbici w niewielkie grupki, zdołali powalić licznych nieprzyjaciół. Szybko jednak zostali wybici. Niektórzy rycerze rzucali się w nurt rzeczny i tonęli. Ci, którym udało się utrzymać na wodzie, ginęli od strzał. Szkoccy łucznicy strzelali do nich jak do kaczek. Gareth stracił panowanie nad sobą. Nie potrafił pogodzić się z tym, co widział. Wreszcie językiem wypchnął z ust skórzany knebel. Zaczął krzyczeć. Jego głos utonął w ogólnym zgiełku. Nikt go nie słyszał. Młody Patington wrzeszczał nadal. Rzęsiste łzy lały się z jego oczu.

Krwawe starcie dobiegło końca. Siły angielskie zostały rozgromione. Wikingowie odnieśli zwycięstwo. Na poboju leżeli zabici i ranni. Były ich setki. Niektórzy jęczeli głośno. Strudzeni Ludzie Północy odpoczywali. Siedzieli na trawie, jedząc i pijąc. Byli tacy, którzy pomagali opatrywać poharatanych towarzyszy. Nieliczni spali, opatuleni w skóry. Po pewnym czasie rozpoczęła się grabież. Zwycięzcy łupili martwych wrogów. Zabierali im broje i broń. Przy sposobności, dobijali rannych. Thorbjorn odrąbał kilka głów od ciał. Następnie włożył je do skózanego worka. Dookoła krążyły stada padlinożernych ptaków zwabione zapachem przelanej krwi.

Gareth patrzył na to z przerażeniem. Widok zaścielonego trupami pola bitwy był zatrważający. Wszędzie było pełno krwi. Młody rycerz nie potrafił już krzyczeć. W gardle całkowicie mu zaschło. Mógł tylko beczynn timer czekać. Ponadto martwił się o ojca. Nie widział, co go spotkało, lecz miał złe przeczucie. Była to

intuicja wojownika.

Wreszcie na pagórek wszedł jakiś człowiek. Podszedł do więźnia i jednym, sprawnym cięciem noża, uwolnił go. Patington był tak zeszywniały, że od razu, zwałił się na ziemię. Minęło sporo czasu, zanim odzyskał czucie. Kiedy wstał, sprowadzono go na dół.

O dziwo, czekał na niego sam król Norwegii. Monarcha stał dumnie wyprostowany w zakrwawionej zbroi. Miecz miał przytroczony do lewego biodra. Był bardzo wysoki. Wzrostem dorównywał Thorbjornowi. Spoglądał na Anglika bystrym wzrokiem. Jego jasne włosy i broda były mocno przyprószone siwizną. Twarz miał surową i zaciętą. Na jego szyi wisiał złoty krzyż. W prawej dłoni trzymał bukłak. Garet oszacował jego wiek na pięćdziesiąt pięć wiosen.

Młody Patington pochylił głowę przed obliczem władcy. Harald podał mu napitek. Rycerz przytknął bukłak do ust i pił łapczywie. Napój okazał się winem. Garet od razu poczuł ulgę w gardle i żołądku. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że trunek mógłby być zatruty. Gdy już opróżnił naczynie, oddał je mężczyźnie, który go asekurował. Następnie podziękował królowi.

– Dziękuję panie – rzekł.

Hardrada spojrzał mu w oczy i odparł.

– Twój ojciec dzielnie dziś stawał. Zginął śmiercią wojownika. Bądź z niego dumny.

Po tych słowach pan Norwegii odwrócił się i odszedł. Młodzian chciał pobiec za nim, lecz w porę się powstrzymał. Dostrzegł dwóch wojowników zbliżających się w jego stronę. Jednym z nich okazał się Sigvald Sturisson, który dzierżył w prawicy jakieś długie zawiniątko. Drugi Wiking ciągnął po ziemi skórzany worek. Garet dobrze wiedział, co w nim jest. Wątpia ścisnęły mu się z obrzydzenia. Sigvald podszedł do niego szparko.

– Zatem, widziałeś nasze zwycięstwo – stwierdził.

– Owszem – odparł Patington.

– Musisz przyznać, że było wielkie.

- Tak, mimo dużych strat z waszej strony.
- Anglików legło więcej.
- Zgadza się.
- Teraz dowiesz się, do czego jesteś nam potrzebny.
- Mam być posłańcem?

– Oczywiście chłopcze. Udasz się do Yorku i powiesz tym, którzy tam siedzą, że mają poddać miasto. Jeśli tego nie zrobią, to wszyscy zginą.

Wskazał leżący na ziemi worek i kontynuował.

– Zaniesiesz im ten wór, aby pokazać, że nie marnujemy słów. W środku są głowy pięciu walecznych Anglików.

– Jest tam głowa mego ojca?

– Tak.

– Jak zginął?

– Bił się dzielnie. Pokonał kilku naszych. W zamieszaniu otrzymał śmiertelny cios od samego króla. Teraz pewnie ucztuje już w Wallhali.

– Czy został ograbiony?

– Nie. Król nakazał, aby nie ściągać mu zbroi. Harald potrafi docenić męstwo.

– Nikt nie skusił się nawet na broń?

Sigvald rozwinął zawiniątko. W ręce trzymał miecz w drewnianej pochwie. Rzucił go w stronę Anglika. Garet natychmiast rozpoznał klingę swego ojca. Złapał ją w locie i wy dobył z pochwy. Damasceńska stal rozbłysła w promieniach zachodzącego słońca. Znowu miał oręż w dłoni.

– Jak go zdobyłeś? – spytał Sigvalda.

– Bez trudu – rzekł Norweg. – Wziąłem klingę. Oczyszczyłem ją i naostrzyłem. Teraz jest jak nowa.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo polubiłem cię chłopcze.

– Zwracasz mi wolność?

– Tak.

– Co mam zrobić, kiedy dotrę do miasta?

– To, co uznasz za konieczne. Ja radzę, abyś wypełnił poselstwo i wrócił do nas. Oddam ci twoją kobietę. Będziemy razem zimować w Yorku. Co ty na to?

– Kiedy mam wyruszyć?

– Natychmiast.

– Zatem, do zobaczenia Sigvaldzie Sturissonie.

– Do widzenia Garecie Patingtonie.

Uścisnęli sobie dłonie. Garet przypiął miecz do pasa. Przewiesił worek przez plecy i niezwłocznie ruszył w drogę. Chciał jak najprędzej dotrzeć do celu.

Szedł samotnie traktem wiodącym do Yorku. Skórzany worek bardzo mu ciążył. Zmrok dawno już zapadł. Zerwał się silny wiatr. Zrobiło się zimno. Garet nie zważał na pogarszającą się pogodę. Zastanawiał się nad tym, co począć. Ojciec leżał martwy. Margaret przebywała w niewoli. On sam niedawno odzyskał wolność. Był zrozpaczony i zagubiony. Pomyślał o księdzu Tobiaszu. On z pewnością potrafiłby znaleźć rozwiązanie. Ciekawe, gdzie teraz przebywa...

Nagle, jego rozmyślenia zostały przerwane. Usłyszał warkot. Za nim znajdowali się intruzi. Rycerz zareagował błyskawicznie. Rzucił worek na ziemię i odwrócił się. Jednocześnie wyciągnął broń z pochwy. Rozległ się znajomy dźwięk

a potem świst. Stalowa klinga przecięła powietrze. Patington rozejrzył się dokoła. Dostrzegł dwie pary oczu, które zdawały się świecić w mroku nocy. To psy, pomyślał. Ślepią wilków wyglądają inaczej. Dobrze, że są tylko dwa. Nie miałyby szans oprzeć się całemu stadu.

Garet ryknął głośno, aby odstraszyć zwierzęta. Nie pomogło. Były bardzo głodne. Zapach krwi drażnił ich wrażliwe nozdrza i pobudzał agresję. Po chwili większy pies zaatakował. Skoczył rycerzowi do gardła. Ten osłonił się lewą ręką, dzięki czemu zęby ssaka natrafiły na rękaw kolczugi. Następnie dwukrotnie uderzył ręką miecza w łeb zwierzęcia. Usłyszał odgłos pękających kości. Drapieżnik oderwał się od niego. Czołgał się po ziemi, skomląc żałośnie. Patington usłyszał szuranie. Drugi zwierz usiłował dobrać się do ludzkich głów. Dobrze, że wór był związany sznurem. Rycerz zamachnął się ostrzem i trafił intruza w kark. Ten cios uśmiercił psa na miejscu. Zapanowała cisza. Ranny osobnik oddalił się. Młodzian mógł odetchnąć. Schował zakrwawioną broń do pochwy. Podniósł nieszczęsny worek i kontynuował swój ponury marsz. Do miasta było jeszcze daleko.

Do bramy Yorku dotarł po północy. Strażnicy dostrzegli go z daleka.

– Kto idzie?! – rozległ się głos.

– Angielski rycerz Gareth Patington! Otwórzcie bramę!

Nastała cisza. Przez długi czas rycerz wpatrywał się w zawarte wrota. Wreszcie usłyszał dźwięk odsuwanego skobla. Brama zaczęła się otwierać z głośnym zgrzytem. Wkrótce powstała niewielka szpara.

– Wejść – padła komenda.

Garet przekroczył bramę. Natychmiast otoczyło go kilkunastu ludzi z pochodniami. Byli gotowi do walki. Ich klingi były obnażone. Mimo tych oznak wrogości, Patington nie okazał lęku. Spokojnie odwzajemniał uważne spojrzenia mężczyzn. Po chwili napięcie osłabło. Jeden z wartowników odezwał się.

– Witaj Garecie. Jestem Donald Gibson, kapitan straży miejskiej.

– Witaj kapitanie. Przybywam spod Fulford.

– Byłeś tam? Widziałeś naszą klęskę?

– Tak.

– Co takiego masz w tym worku?

– Głowy pięciu naszych wojowników.

Wartownicy wymienili zdumione spojrzenia.

– Głowy, jakże to?

– Wikingowie mnie pojмали. Dali mi ten wór i kazali wręczyć go dowódcom Yorku.

– Zgodziłeś się na to barbarzyństwo?

Garet poczuł gniew.

– Miałem pozwolić, aby głowy tych zacnych mężów rzucono na pożarcie wilkom?! W tym worku jest czaszka szlachetnego Johna Patingtona, mojego ojca! Jego miecz noszę u pasa!

Strażnicy byli zakłopotani. Donald szybko zmienił temat rozmowy.

– Czego żąda król Norwegii – spytał?

– To oczywiste. Chce, aby mieszkańcy miasta poddali się jego woli.

– Cóż. Powiadomię earłów o twoim przybyciu. Jutro pewnością ktoś cię przyjmie. Noc musisz jakoś przetrzymać. Karczmy już zamknięte. Wzielibyśmy cię do strażnicy, lecz miejsca u nas niewiele.

– Rozumiem. Nie kłopotcie się panowie.

Garet wtopił się w mrok. Wszedł w jedną z wąskich uliczek. Usiadł przy jednym z wielu domostw. Oparł się plecami o drewnianą ścianę. Potrzebował odrobiny spokoju. Po chwili usłyszał, że drzwi domu otwierają się. Na zewnątrz wyszła kobieta w niebieskiej sukni. Jej włosy osłaniał czepiec. W ręce trzymała wiadro z nieczystościami. Rozejrzała się, po czym wylała śmierdzące fekalia na

ulicę. Gdy się odwróciła, dostrzegła go. Otworzyła usta do krzyku. Rycerz przyskoczył do niej i położył jej palec na ustach.

– Witaj Flegmundo. Czy twoja rodzina przeżyła?

Zdumienie zapanowało na jej twarzy. Mimo to zdołała wyjąkać.

– Panie, tyś żyw. Bogu niech będą dzięki. Wszyscy myśleli, żeś podzielił los ojca. Moja rodzina jest zdrowa. Małżonek Egbert przeżył bitwę. Wielu z pośród nas poległo. Patington Home już nigdy nie będzie takie, jak kiedyś.

– Pewnie masz rację dziewczyno. Czy wiesz, co się stało z moim koniem?

– Grom jest w oborze za domem. Pilnuje go Rolf.

– Ten kłusownik?

– Tak.

– Zatem przeżył bitwę.

– Nie brał w niej udziału.

– Dlaczegoż to?

– Gdy twój ojciec zbierał ludzi nadających się do walki, on gdzieś przepadł. Zjawił się dopiero wtedy, kiedy cała armia znalazła się za bramą. Tłumaczył, że zatrzymała go nagła biegunka.

– To do niego podobne. Przynies mi trochę stawy.

– Oczywiście panie. Wejźmy do domu. Kamieniarz Wulfstan to miły człek. Przyjął wielu zbiegów, nie pytając o zapłatę. Kiedy się dowie, że tak zacny gość...

Młodzian przerwał, gadatliwej kobiecie.

– Nie będziemy budzić gospodarza. Przynies mi jedzenie tutaj.

– Oczywiście panie.

Speszona Flegmunda oddaliła się. Gareth ponownie usiadł i wpatrywał się w gwiazdy. Wkrótce podano mu miskę stawy. Była jeszcze ciepła. Gdy zjadł pierwszą łyżkę, przekonał się, że to jęczmienny kleik z dodatkiem miodu. Pokarm przyniosła mu babcia Greta. Spojrzała na rycerza i rzekła.

– Kiedyś lubiłeś jęczmień i miód.

– Owszem. Nadal lubię – odparł Patington.

– Cieszę się, że żyjesz. Pamiętaj, aby starannie dobierać sprzymierzeńców.

– Póki co, nie miałem na nic wpływu.

– Mylisz się. Niedługo będziesz musiał dokonywać wyborów. Decyduj mądrze. Na pewno się jeszcze zobaczymy, na tym, lub na tamtym świecie. -

Zerknęła na skórzany worek, dodając.

– Głowy muszą zostać pochowane.

Po tych słowach odwróciła się i odeszła. Gareth dokończył posiłek. Jedzenie mu smakowało. Starannie wylizał drewnianą łyżkę. Opróżnioną miskę postawił przy drzwiach. Pokrzepiony nieco strawą, wstał i poszedł w stronę obory. Okazało się, że była to również stodoła. Już z daleka dało się wyczuć charakterystyczny zapach słomy zmieszany ze zwierzęcym odorem. Rycerz podszedł do wrót i zastukał. Odpowiedziało mu chrząkanie gromady wystraszonych świń. Po chwili odezwał się zaspany głos.

– Któż to po nocy larum czyni?

– Gareth Patington, otwieraj kłusownika.

Usłyszał szelest. Po chwili wrota obory uchyliły się.

– Wejdz panie – rzekł Rolf.

– Nic podobnego. Przyrowadź mojego konia.

Kłusownik niechętnie wyprowadził zwierzę. Jedna świnia wykorzystwała okazję i umknęła w mrok, kwicząc przeraźliwie. Gareth zauważył, że rumak jest

osiadłany. Podeszedł do przyjaciela i dotknął jego szyi. W odpowiedzi koń zarżał cicho i pyskiem dotknął ramienia swego jeźdźca.

– Dlaczego Grom nie jest w stajniach? – zapytał rycerz.

– Bałem się go tam zostawić panie – odparł Rolf.

– Dlaczego?

– Ktoś mógłby go ukraść. Sam earl Edwin chciał kupić tego konia, lecz twój ojciec się nie zgodził.

– Dobrze zrobił. Dlaczego nie walczyłeś?

– Dopadła mnie nagła niemoc. Jeszcze teraz bulgocze mi w kiszkiach.

– Co słyszeć w mieście?

– York niechybnie upadnie. Dowódcy nie będą się bronić. Mają zbyt mało ludzi.

– Jesteś tego pewien?

– Tak panie.

– Zatem rozkulbacz konia. Nakarm go dobrze i wyczyść. Rano ma być gotów do drogi.

– Oczywiście panie. Co jest w tym worku?

– Nie pytaj.

– Spotkałeś panie kogoś z mojej rodziny?

– Margaret została porwana. Ralf i Owena nie żyją.

– Na pewno?

– Tak. Widziałem ich. Zginęli w wiosce.

Rozmowa została przerwana. Nie było już nic do dodania. Rolf zajął się koniem. Garet podszedł do rosnącego nieopodal samotnego drzewa. Oparł się o pień i zapadł w niespokojny sen. Przebudził się o świcie. Przeciągnął się i ziewnął. Bolały go kości i mięśnie. Ponadto doskwierał mu głód. Nie zważając na to, wstał. Podszedł do drzwi obory i zawołał.

– Wyprowadź konia Rolfie.

Po chwili Grom wychynał na zewnątrz. Był już osiodłany. Gotowość do drogi wyrażał głośnym parskaniem. Kłusownik trzymał go za wodze.

– Dobrze spałeś panie? – zapytał.

– Pod drzewem? Chyba żartujesz.

Rycerz chciał natychmiast dosiąść rumaka. Gdy zbliżył się do konia, dostrzegł zbliżającego się człowieka. Był to Donald Gibson. Twarz miał zmęczoną i pooraną zmarszczkami. Widać było, że służba bardzo mu ciąży. Kapitan straży podszedł i odezwał się.

– Witaj sir Garcie. Wypocząłeś?

– Trochę.

– To dobrze. Masz się stawić na placu przed siedzibą earla. Tam otrzymasz rozkazy.

– Od kogo?

– Zobaczysz.

– Nie możesz powiedzieć?

– Nie wiem, kto przybędzie.

Garet podniósł skórzany worek.

– Co z głowami wojowników – zapytał? – Trzeba je wreszcie pogrzebać.

– Wiem. Masz mi je przekazać. Zostaną rozpoznane i przewiezione na

pobojowisko pod Fulford. Tam odbędzie się pogrzeb.

– Jesteś pewien?

– Tak. Rozkazy zostały już wydane.

Donald obejrzał się za siebie i zawołał.

– Nie ociągaj się Grzesiu. Podejdź do nas.

Zza rogu najbliższego domu wyłonił się dziesięcioletni wyrostek. Nieśmiały chłopiec podszedł do nich. Następnie podał strażnikowi niewielkie zawiniątko oraz bukłak. Gibson spojrział na Patingtona i rzekł.

– Masz tu prowiant na drogę. Jest chleb i ser oraz kilka pasków suszonego mięsa. Nie zapomniałem o dobrym piwie.

Garet przyjął żywność i odparł.

– Dzięki za pomoc Donaldzie. Nie zapomnij zabrać worka. Powodzenia.

Młody rycerz podszedł do stojącego przy koniu Rolfa i przekazał mu pokarm.

– Zaczekaj na mnie – szepnął.

Wskoczył na konia i ruszył. Wiedział, dokąd jechać. Kiedyś był już w Yorku z ojcem. Przemierzał klusem wąskie uliczki. Ludzie ustępowali mu miejsca. Niektórzy klęli przy tym szpetnie. Rycerz nie zwracał na to uwagi. Po drodze minął drewniany kościół, przy którym uczynił znak krzyża. Wreszcie dotarł do pałacu.

Był to największy budynek, jaki Gareth kiedykolwiek widział. Zbudowano go z kamienia. W jego wnętrzu musiało znajdować się kilka lub nawet kilkanaście pomieszczeń mieszkalnych. Ile, tego Patington nie wiedział, ponieważ nigdy nie był w środku. Słyszał, jak opowiadano, że budowlę tę wzniesli tajemniczy Rzymianie. Wielcy wojownicy, którzy niegdyś władali Brytanią.

Przed wielkim budynkiem stały trzy osoby. Dwaj strażnicy i wysoka, jasnowłosa kobieta odziana w czerwoną suknię. Niewiasta żwawo ruszyła mu na

spotkanie. W prawej dłoni ścisnęła niewielki rulon. Gareth rozpoznał ją od razu. Była to Klotylda Finck, daleka kuzynka earla Northumbrii. Rycerz poczuł się niepewnie. Zeskoczył z konia i podszedł do niej.

– Witaj pani – zaczął niezręcznie.

– Witam – odparła. – Współczuję z powodu ojca. To był wspaniały człowiek.

– Zaiste. Przejdźmy do rzeczy.

Klotylda obliznęła wargi i wręczyła mu niewielki zwój pergaminu owinięty kawałkiem skóry.

– Oto jest list – rzekła. – Napisany przez earla Morcara do króla Harolda Godwinssona. Zawiera prośbę o pomoc. Dokument jest opieczętowany. Musisz odnaleźć władcę i dostarczyć mu go.

– Tak uczynię pani.

Patington wziął pergamin i schował go do sakwy przy pasie.

– Do widzenia – wyjąkał.

– Nie zbywaj mnie rycerzu – wtrąciła Klotylda.

Gareth spojrzał w jej oczy i zapytał.

– Czego chcesz?

– Czyżbyś nie wiedział? Twój ojciec na pewno ci powiedział. Może już czas panie, aby podjąć właściwe decyzje. Zapewniam, że się nie zawiedziesz.

Młódzian poczuł, wzbierający w nim gniew. Postanowił zakończyć tę sprawę raz na zawsze.

– Posłuchaj Klotyldo – rzekł. – W innych okolicznościach przyjąłbym twoją propozycję, lecz w zaistniałej sytuacji, nic z tego nie będzie.

– Dlaczego? – spytała chłodno.

– Mam już kobietę, którą kocham.

Zachłysnęła się oddechem. Z trudem powstrzymała łzy. Zrobiło mu się jej żal. Kierowany nagłym impulsem, złapał ją, przyciągnął do siebie i pocałował w usta. Gdy to czynił, miał wrażenie, że niewiasta zemdleje. Na szczęście tak się nie stało.

– To na pożegnanie pani – rzekł. Wskoczył na konia i pognał w kierunku miejskiej bramy. Czekający na niego Rolf, również dosiadał wierzchowca.

– Dokąd się wybierasz? – spytał rycerz.

– Jadę z tobą panie – odparł kłusownik. – Nie zamierzam tu czekać na Wikingów.

Podjechali do wrót, które zostały otwarte. Nie zwlekając, opuścili ponure miasto. Brama zatrzasnęła się za nimi.

– Dokąd zmierzamy panie? – spytał Rolf.

Patington zastanawiał się przez chwilę. Pragnął pojechać do Margaret. Wiedział jednak, że czyniąc to, nie zapewniłby jej bezpieczeństwa. Nawet, gdyby Sigvald dotrzymał obietnicy. Nie chciał też sprzymierzać się z ludźmi, którzy zabili mu ojca. Szybko więc podjął decyzję.

– Musimy dotrzeć do naszego króla i dostarczyć mu pismo – rzekł.

Spiął konia i skierował go na trakt wiodący ku Tadcaster.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jechali szparko szerokim traktem. Konie szły równo w galopie. Często jednak płoszył je wiatr. Garet i Rolf musieli zachować czujność. W milczeniu obserwowali drogę. Była prawie pusta. Tylko raz minęli wojownika, który zdążył w stronę Yorku. Od niego wywieździeli się, że w Tadcaster stoi królewski oddział.

Popędzali więc rumaki, aby jak najrychlej dotrzeć na miejsce. Do miasta dobrnęli przed południem. Brama była zamknięta. Zza palisady wyłoniło się kilka głów.

– Kto przybył i po co? – zawołał strażnik.

– Posłańcy z Yorku – odkrzyknął Gareth. – Wieziemy ważne pismo dla króla. Prosimy o jadło i napitek.

Nastała cisza. Przez długi czas nic się nie działo. Zniecierpliwiony Gareth chciał już załomotać w odrzwia. Wreszcie brama zaczęła się otwierać. Na posłów czekało czterech uzbrojonych rycerzy. Wszyscy dosiadali koni.

– Pójdźcie z nami panowie – rzekł najniższy z nich. – Będziemy was eskortować.

Powiedli ich wąskimi uliczkami. Liczni gapie popatrywali na nich z zaciekawieniem. Wkrótce dotarli do okazałej karczmy. Przed nią zgromadziło się ponad dwudziestu wojów. Dowódca oddziału wystąpił naprzód. Na jego widok Patington od razu poczuł się nieswojo.

Mężczyzna ten był potężny. Bary miał równie szerokie jak Thorbjorn, lecz był niższy od gigantycznego Norwega. Wzrostem nieco przewyższał Gareta. Jego włosy, podobnie jak gęsta broda, były kędzierzawe i blado-rude. Twarz miał ponurą i groźną. Szare oczy patrzyły na świat hardym wzrokiem. Od prawej skroni przez cały policzek aż po szyję przebiegała ogromna blizna. Pamiątka po ranie odniesionej w boju. Srebrna kolczuga wojownika lśniła promiennym blaskiem. Jego półtoraręczny miecz tkwił w pochwie, zawieszony u prawego biodra. Oznaczało to, że najprawdopodobniej człowiek ten jest leworęczny. Przy pasie miał jeszcze długi puginał. Okrągłą tarczę nosił na plecach. Nie był już pierwszej młodości. Gareth ocenił jego wiek na mniej więcej trzydzieści pięć wiosen. Młody Patington zsiadł z konia i podszedł do srogiego wodza. Obaj stanęli twarzą w twarz.

– Jestem Gareth Patington, rycerz z Northumbrii – rzekł. – Wiozę list od earla Morcara do Jego Królewskiej Mości.

Dowódca spojrzał nań groźnie i odparł.

– Jam jest Gunnar Gunnarsson z Danii, najlepszy wojownik króla Harolda. Zapewne o mnie słyszałeś?

Anglik nigdy nie słyszał, lecz uznał, że w obecnej sytuacji bezpieczniej będzie skłamać.

– Oczywiście – powiedział.

Duńczyk nie spuszczał z niego wzroku, mówiąc.

– Nie mam prawa przejmować królewskich pism. Musisz poczekać na właściwą osobę.

– Nie trzeba czekać. Posilimy się trochę. Wypoczniemy nieco i ruszemy dalej. Czy monarcha nadal przebywa w Londynie?

– Nigdzie nie pojedziesz. Zostaniesz tutaj. Taki jest rozkaz władcy. Aby upewnić się, że go nie złamiesz, zabiorę wasze konie.

Garet poczuł, jak narasta w nim gniew. Położył dłoń na rękojeści miecza.

– Wara od mojego konia duński najemnikowi – wycedził.

Gunnar zmarszczył brwi. Jego twarz stężała. Lewą ręką sięgnął do miecza. Chciał zaatakować, lecz powstrzymał się. Po chwili warknął.

– Gdybyś nie był posłańcem, to rozplątałbym cię od gardła po krocze.

– Albo ja ciebie.

– Kiedyś się przekonamy. Teraz pozwól zabrać twojego konia zgodnie z wolą króla.

– Król nakazał ci kraść konie?

– To na potrzeby armii.

– Jakiej armii?

– Wkrótce się dowiesz młodzieńcze.

Garet zastanowił się. Nie bał się Duńczyka, lecz czuł, że to groźny

wojownik, który ma pod sobą kilkudziesięciu zbrojnych. Walka nie miała sensu. Dlatego postanowił ustąpić.

– Skoro taka jest wola króla – rzekł.

Następnie oddał Gunnarowi wodze swego rumaka. Na pożegnanie pogłaskał ogiera po głowie i szepnął mu do ucha.

– Nie bój się przyjacielu. Wkrótce cię odzyskam.

Duńczyk odwrócił się, by odejść. Patington miał sposobność przyjrzeć się jego tarczy. Na czarnym jak smoła tle, wymalowano łeb niedźwiedzia. Głowa była biała. Ślepią jarzyły się czerwienią. Kły w rozwartej paszczy szczyrzyły się złowieszczo. Młodzian nie potrafił powściągnąć cisnącego się na usta pytania.

– Cóż to za dziwaczne godło panie?

Gunnar odwrócił się. Jego twarz kraśniała z dumy.

– To biały niedźwiedź – odparł. – Widziałeś podobnego chłopcze?

– Nigdy.

– To groźne bestie. Pożerają ludzi z łatwością. Żyją na dalekiej Północy. Przed laty ubiłem jednego z nich na lodowych pustkowiach Grenlandii. - Po tych słowach Duńczyk odszedł, ciągnąc za sobą opierającego się Groma.

Garet był zły. Spojrzał na Rolfa, któremu również, odebrano wierzchowca i rzekł.

– Chodzimy drogi kłusowniku. Poszukajmy schronienia.

Trzy dni w Tadcaster minęły szybko. Zamieszkali na poddaszu u pewnego rymarza. Garet mógłby wystarać się o wygodniejszą kwaterę, lecz nie miał przy sobie monet. Sakiewkę odebrali mu Wikingowie. Okazało się jednak, że Rolf posiada kilka srebrnych pensów. Pieniądze te zapewniły im utrzymanie oraz nocleg. Rymarz nazywał się Tomas. Był miłym i sympatycznym człowiekiem. Dla tych oczywiście, którzy płacili za jego usługi. Miał wiecznie narzekającą żonę

Bertrandę. Ich jedyna córka Dezyderia była jeszcze dzieckiem. Chodziła po domu i obserwowała wszystko z zaciekawieniem. Podśpiewywała przy tym wesoło.

Popołudniami dwaj posłańcy chodzili do karczmy. Popijali tam rozwodnione piwo. Dwukrotnie spotkali Gunnara, lecz nie rozmawiali z nim. Za cenę dwóch monet zdobyli pewne informacje o krewkim Duńczyku. Dowiedzieli się, że Gunnar służył kiedyś na dworze duńskiego króla Swena. Stracił jednak zaufanie swego władcy i został oddalony. Popłynął więc do Anglii. Szybko wkradł się w łaski potężnego earla Harolda. Odznaczył się podczas kampanii walijskiej. Gdy Godwinsson został królem, uczynił Gunnara członkiem swej straży przybocznej. Nieoficjalnie, Duńczyk zyskał też rangę królewskiego czempiona. Służąc rodowi Godwina, zdobył bogactwa i zyskał sławę. Garet od razu porównał te nowiny z opowieścią Sigvalda Sturissona. Doszedł do wniosku, że w obu przypadkach chodziło o tego samego człowieka.

Ciekawe wieści napłynęły również z Yorku. Mówiono, że gdy Harald Sigurdsson podszedł z armią pod miasto, brama stanęła przed nim otworem. Mieszkańcy nie stawiali oporu. Normanowie złupili York. Następnie, ku powszechnemu zdumieniu, opuścili go. Poszli do oddalonej o kilka mil rzeki o nazwie Derwent. Dopiero tam rozbili obóz. Wykonując ten zaskakujący manewr, oddalili się zarówno od miasta, jak i od własnej floty. Czyżby norweski monarcha poczuł się aż tak pewnie na wrogim dla niego terytorium? A może usłuchał naiwnych podszeptów księcia Tostiga? Niektórzy sądzili, że za brak rozwagi przyjdzie mu słono zapłacić. Mieli rację.

Dnia 24 września 1066 roku król Anglii przybył do Tadcaster. Przywiódł ze sobą pięć tysięcy zbrojnych. Wszyscy dosiadali koni. Ich przybycie wywołało w miasteczku wielki zamęt. Oczekiwano wprawdzie przybycia kogoś ważnego, lecz tylko nieliczni wiedzieli, że będzie to sam Harold. Garet i Rolf wyszli z domu rymarza, aby dostarczyć pismo. Rychło stanęli przed obliczem władcy.

Monarcha siedział na białym koniu. Był wysokim i smukłym mężczyzną. Liczył czterdzieści sześć wiosen. Jego jasne włosy oraz broda były starannie przystrzyżone. Patrzył na świat piwnymi oczami. Odziany był w kolczugę, spodnie z delikatnego materiału oraz buty przeznaczone do jazdy konnej. Miecz miał przytroczone do lewego biodra. Na głowie nosił opaskę wysadzaną drogimi kamieniami. Była to jedyna oznaka królewskiego majestatu. U boku Harolda stały dwie osoby. Wojownik Gunnar oraz człowiek w mnisim habicie. Obaj posłańcy

przyklękęli. Garet wyciągnął z sakwy zwój pergaminu i rzekł.

– Wasza Królewska Mość, oto list od earla Morcara.

Król wziął dokument i wydobył go ze skórzanego pokrowca. Następnie przełamał pieczęć i rozwinął manuskrypt. Czytał w milczeniu. Po chwili podał pergamin duchownemu.

– Przechowaj go mnichu – burknął.

Ponownie spojrzął na Garetę i rzekł.

– Powstań rycerzu i wyjaw swe imię.

Młodzian podniósł się z kolan i oznajmił.

– Jestem Garet Patington z Northumbrii. Przybyłem z służą.

Monarcha przyjrzał mu się uważniej.

– Patington powiadasz. Twój ojciec John nie jest chętny naszej osobie.

– Mój ojciec poległ w bitwie pod Fulford.

– Cóż. Był upartym, lecz dzielnym wojownikiem. Ciekawym, czy jego syn mu dorówna.

– Najpierw musi mieć sposobność, królu.

– Masz tu swojego konia?

– Obaj mieliśmy konie, lecz zostały nam odebrane.

– Kto je zabrał?

– Gunnar Gunnarsson.

Władca spojrzął na swego czempiona.

– Prawda li to Gunnarze?

– Tak panie – odparł Duńczyk. – Odebrałem im wierzchowce, bo nie chcieli usłuchać rozkazów.

– Zatem słusznie uczyniłeś.

Król przeniósł wzrok na posłańców i dodał.

– Dostaniecie dwa luzaki i dołączycie do armii. Nastały czasy, w których potrzebny jest każdy dodatkowy miecz. Trzeba wykorzystać to, że Bóg odebrał najeźdźcom rozum. Gdy tylko konie wypoczną, ruszymy na Stamford Bridge.

Garet nie był zadowolony z decyzji monarchy, ponieważ chciał odzyskać swojego rumaka. Na razie jednak nie mógł nic zrobić.

Wkrótce armia Anglików ruszyła w drogę. Wszyscy zbrojni dosiadali koni, dzięki czemu poruszali się szybciej. Garet i Rolf trzymali się z tyłu olbrzymiej kolumny jeźdźców. Młody Patington otrzymał jakiegoś wykastrowanego siwka. Jego przyjaciel musiał zмагаć się z rozbrykaną karą klaczą, której nie potrafił okiełznać. Ponadto kłusownik ciągle złorzeczył. Nie chciał brać udziału w walnej bitwie. Najchętniej wymknąłby się cichaczem. Wiedział jednak, że gdyby go schwytano, to zostałby powieszony.

Po zmierzchu wojsko dotarło do Yorku. Miejska brama nadal była otwarta. Niektórzy mieszkańcy wznosili radosne okrzyki na cześć króla. Władca w otoczeniu nielicznej świty udał się na rozmowy z Morcarem i Edwinem. Cała armia odpoczywała pod miastem. Wszyscy otrzymali solidny posiłek złożony z chleba, sera, mięsa i jabłek. Roznoszono też dzbany z piwem oraz świeżą wodą. Gdy ludzie wypoczęli nieco, nakazano wsiadać na konie. Anglicy ruszyli w stronę rzeki Derwent. Tam mieli spotkać wroga.

Jechali wolnym stępem przez resztę nocy. Nie spieszyli się, aby nie czynić zbędnego hałasu. Zaskoczenie miało być całkowite. Przed świtem dotarli w pobliże rzeki. Zsiedli z wyczerpanych koni, które zostawili pod strażą, aby mogły odpocząć. Następnie sformowali luźne szeregi. Przez pół mili szli pieszo w milczeniu. Nic nie zakłócało ich marszu. Dokoła panowała złowieszczą cisza. Zaczęło świtać. Pierwsze promienie słońca oświetliły już okolicę. Wróg niczego się nie spodziewał.

Gdy usłyszeli szum wody, zatrzymali się. Pięciu wybranych ludzi udało się

na zwiad. Pozostali czekali w napięciu. Jedni się modlili. Inni rozmawiali cicho. Wielu milczało. Gareth polecił się Matce Boskiej. Następnie dobył miecza i zdjął z pleców tarczę. Uznał, że jest gotów do bitwy. Stojący obok niego Rolf kręcił się nerwowo. W rękę zaciskał długi nóż służący do oprawiania zwierzyny. Za pasem miał jeszcze krótki sztylet. Nie bardzo wiedział, co zrobić z tarczą. Kłusownik trząsał się jak osika. Nie potrafił zapanować nad sobą. Wreszcie zwiadowcy powrócili. Oczekiwanie dobiegło końca. Po chwili rozległ się głos króla Harolda.

– W Imię Boże! Za Anglię! Na nich!

Nie było nic więcej do dodania. Nadszedł czas walki. Patington ruszył śmiało naprzód. To była jego pierwsza, prawdziwa bitwa. Nie chciał sprawić zawodu sobie oraz swemu ojcu, który pewnie patrzy na niego z góry. Wraz z innymi wbiegł na niewielkie wzniesienie. Wtedy ujrzał rzekę Derwent. Dostrzegł też łączący oba brzegi solidny, drewniany most o nazwie Stamford Bridge. Po obydwu stronach rzeki rozłożyli się obozem Wikingowie. Nie byli przygotowani na atak. Większość najeźdźców jeszcze spała. Tylko niektórzy krzatali się przy dogasających ogniskach. Wzięte siłą kobiety przygotowywały strawę. Zaskakujące było to, że nie wystawiono straży. Beztroska wrogów była wielka.

Gareth zbiegł z pagórka, krzycząc głośno. Pierwszy przeciwnik, jaki mu się trafił, stał nieporadnie w rozkroku. Pewnie dopiero co zbudził się ze snu. Zanim rycerz zdołał go osiągnąć, wróg zginął od włóczni ciśniętej przez innego Anglika. Patington pobiegł dalej. Nagle siwobrody Wiking zaatakował go toporem. Młodzian wykonał szybki przysiad. Śmiercionośne ostrze śmignęło mu nad głową. Gareth poderwał się zwinnie i uderzył przeciwnika tarczą w bok. Gdy ten zachwiał się, przyskoczył i ciał go w głowę. Jego cios był potężny. Damasceńska klinga rozłupała hełm i sięgnęła czaszki. Trysnęła fontanna krwi. Śmiertelnie ranny mężczyzna padł martwy na ziemię.

Patington uniósł tarczę w geście tryumfu. Gdy to uczynił, usłyszał charakterystyczne łupnięcie. Błyskawicznie zrozumiał, jakie miał szczęście. Metalowy grot strzały wbił się w drewno. Pewnie jakiś szkocki łucznik próbował go ustrzelić. Prawie mu się udało, pomyślał. Rozejrzał się dookoła, szukając następnych przeciwników. Dostrzegł tylko sprzymierzeńców, którzy biegali z zakrwawionymi mieczami, włóczniami i toporami. Wrogowie byli już martwi. Leżeli w kałużach zakrzepłej krwi. Niektórzy ciężko ranni, jęczeli głośno. Nikt jednak nie skracał ich cierpienia. Pora na to była jeszcze zbyt wczesna. Walka dopiero się przecież rozpoczęła. Nie zastanawiając się dłużej, młody Patington ruszył w stronę mostu na rzece Derwent.

Tego dnia Anglicy całkowicie zaskoczyli Ludzi Północy. Spadli na nich niczym zabójczy grom z jasnego nieba. To była rzeź. Wikingowie nie zdążyli stawić oporu. Wojownicy Harolda wycinali ich bez litości. Ci, którzy byli mocno pijani, umierali we śnie. Pozostali ginęli zaraz po przebudzeniu. Tylko nieliczni zdolali chwycić za broń i walczyć o bohaterską śmierć. Niektórym udało się przedostać na drugi brzeg. Tam dołączyli do króla Haralda. Norweski monarcha zbierał w murze z tarcz tych, którzy mu pozostali.

Teraz Anglicy musieli przejść przez wodę, aby ponownie natrzeć na wroga. Rzeka nie była zbyt głęboka, lecz mało kto chciał się dobrowolnie moczyć. Należało zatem skorzystać z wąskiego mostu. Jednocześnie mogły przez niego przejść najwyżej trzy osoby. Pojawiło się też dodatkowe utrudnienie. Na moście tym stał olbrzymi wojownik z toporem bojowym w ręku. Spróchniałe drewniane belki skrzypiały pod ciężarem jego ciała. Mężczyzna uderzał ostrzem w tarczę i ryczał głośno. Nie wyglądało to zachęcająco. Ponadto, mniej więcej w połowie długości kładki, widniała szeroka szpara. Trzeba było uważać, aby podczas walki nie włożyć w nią stopy.

Pierwszy śmiałek, który szparko wbiegł na most, zginął od jednego ciosu topora. Jego odcięta głowa z głośnym pluskiem wpadła do rzeki. Podobnie jak reszta martwego ciała. Zwycięski Wiking rozpostarł ramiona w zapraszającym geście.

– Odynie! – krzyknął głośno.

Następni byli dwaj wojowie uzbrojeni w miecze. Zaatakowali jednocześnie. Chcieli zepchnąć z mostu swojego przeciwnika. Niczego jednak nie wskórali. Jeden z nich zginął od uderzenia krawędzią tarczy w czoło. Nie pomógł mu nawet hełm, który nosił na głowie. Drugi natarł zbyt zuchwale i odsłonił się. Zapłacił za to utratą prawej ręki, która została odrąbana w pobliżu łokcia. Drugie cięcie topora zakończyło cierpienia nieszczęśnika. Człowiek z Północy znów triumfował.

– Wallhala, Asgard! – wrzeszczał.

Kolejna dwójka miała lepszy pomysł. Byli to bracia. Jeden dzierżył dwuręczny topór. Drugi uzbroił się w długą i ciężką włócznię. Włócznia miała zostać wbita w tarczę przeciwnika, czyniąc ją bezużyteczną. Następnie obaj rycerze mieli zaatakować. Jeden toporem, a drugi mieczem. Myśleli, że takim sposobem pokonają wreszcie groźnego wroga, który nie będzie mógł zasłonić się własną

tarczą. Gdy zdecydowanie wstąpili na most, Wiking cofnął się o parę kroków. Następnie podniósł ręce do góry, jakoby umyślnie wystawiał się na cios. Jeden z braci złapał przynętę. Zadał potężne pchnięcie włócznią, chcąc przebić wroga na wylot. Ten jednak spodziewał się tego. W ostatniej chwili odskoczył w bok. Zachwiał się na krawędzi mostu, lecz utrzymał równowagę. W przeciwieństwie do włócznika, który poleciał do przodu i upadł na kolana. Jego broń przecięła tylko powietrze. Wielkolud na to czekał. Przyskoczył i ciał go w kark. Kolejna głowa spadła. Drugiego z braci ogarnął strach. Nie zasłonił się przed ciosem, który rozłupał mu czaszkę. Wiking ponownie zakrzyknął.

– Thor, Odyn, Freja!

Gdy Gareth przedarł się przez ciżbę, zoczył pięć ciał unoszących się na rzece. Rozpoznał Thorbjorna Hakonssona, który stał na moście z czerwonym od krwi toporem. Z razu pojął, co należy uczynić. Z mieczem i tarczą w dłoniach wbiegł na most. Od razu zauważył, że belki są śliskie. Norweg zmierzył go wzrokiem i uśmiechnął się krzywo. On również rozpoznał kolejnego przeciwnika. Po chwili ruszył do ataku. Patington zacisnął miecz w dłoni. Potężny cios topora przyjął na tarczę. Własnym mieczem ciał od dołu w łydkę wroga. Wiking zdążył się zasłonić. Klinga łupnęła w nadstawioną tarczę. Wojownicy zderzyli się ze sobą pierś w pierś. Anglik był mniejszy i lżejszy od Norwega. Nie mógł więc wygrać podobnego starcia. Został zrzucony z mostu i wpadł do wody. Przez chwilę myślał, że utonie. Zdołał się jednak podnieść, nie gubiąc przy tym miecza. Stał w wodzie sięgającej mu do ramion. Była zimna, lecz nie lodowata. Można było wytrzymać. Przemoczony rycerz rozejrzał się dokoła. Stojący na moście Thorbjorn potrząsał groźnie ostrzem topora. Gareth zastanawiał się, dlaczego Norweg nie próbował go zabić? Czyżby rzeczywiście uwierzył w to, że kilka dni wcześniej w wiosce otrzymał znak od swoich Bogów? Nie był to odpowiedni moment na rozmyślania.

Anglicy stali stłoczeni przy brzegu. Po drugiej stronie rzeki Normanowie stworzyli już solidny mur tarcz. Kilku Wikingów zmierzało do mostu, aby wspomóc swego towarzysza. Sytuacja ludzi Harolda pogarszała się z każdą chwilą. Utracili przewagę zaskoczenia. Bitwa nie była jeszcze rozstrzygnięta. Wtem rozległ się potężny ryk. Na most wkroczył Gunnar Gunnarsson. W prawej dłoni dzierżył obnażony miecz. W lewicy trzymał okrągłą tarczę. Thorbjorn przypatrywał mu się z zaciekawieniem. Czempion Harolda bez zwłoki ruszył do ataku. Walka znów rozgorzała. Norweg rozrąbał tarczę przeciwnika potężnym uderzeniem topora. Duńczyk nie pozostał mu dłużny. Dwoma szybkimi ciosami miecza uczynił solidny wyłom w jego tarczy. Obaj wojownicy odrzucili bezużyteczne już drewno. Schwyciwszy oburącz swoją broń, starli się

ponownie. Po trzykroć miecz napotkał ostrze topora. Towarzyszył temu głośny szcęk stali. Za czwartym razem Gunnar uderzył szybciej, zmieniając nieco kierunek ciosu. Dzięki temu udało mu się przeciąć drewniany trzonek broni wroga. Ciężkie żelazo wpadło do wody z głośnym pluskiem. Duńczyk wykonał pchnięcie, mierząc w szyję przeciwnika. Poślizgnął się jednak na śliskich od krwi belkach. Śmiertelny cios nie sięgnął celu. Zdumiony Thorbjorn zdążył się cofnąć. Wyciągnął własny miecz i natychmiast przeszedł do kontrataku. Zrobił wy krok prawą nogą. Następnie ugiął kolana i pchnął w odsłoniętą pierś wroga. Gunnar odzyskał już równowagę i sparował cios. Klinga Norwega tylko zarysowała kolczugę na jego brzuchu, nie przebijając jej. Duńczyk, widząc rywala pochylonego na ugiętych kolanach, ciął potężnie w jego głowę. Norweg w ostatniej chwili zablokował cios i wyprostował się. Miecze skrzyżowały się ze sobą. Wojownicy zwarli się. Napierali na siebie z ogromną siłą. Ich twarze stężały. Żyły oraz mięśnie napięły się do granic możliwości. Każdy chciał zepchnąć przeciwnika z wąskiego mostu. Próba sił przeciągała się. Klingi nadal tkwiły zablokowane w zwarciu. Ludzie obserwujący tą walkę stali w milczeniu. Jakby wierzyli, że od jej wyniku zależy los całej bitwy.

Nagle Thorbjorn Hakonsson ryknął potężnie. Rozwarł szeroko usta, z których bluznęła krew. Obserwatorzy zachłysłeni się oddechem ze zdziwienia. Nawet Gunnar wydawał się zaskoczony. Stojący nadal w wodzie Gareth dojrzał drzewce włóczni sterczące z okolic krocza Norwega. Zerknął pod most i zoczył stojącego tam człowieka, który w uniesionych do góry rękach ścisnął końcówkę włóczni. Rycerz w mig pojął, co zaszło. Gdy dwaj Normanowie toczyli zacięty bój, jeden z Anglików ukradkiem przedostał się pod most. Tam czekał na dogodną okazję. W sprzyjającej chwili zadał zdradziecki cios przez dziurę w belkach. Włócznia była wystarczająco długa, by dosięgnąć celu.

Po chwili Thorbjorn opadł z sił. Gunnar napał na niego i strącił go z mostu. Olbrzym wpadł do rzeki. Duńczyk nie silił się, aby go dobić. Wiedział bowiem, że rana Norwega jest śmiertelna. Krzyknął tryumfalnie i pobiegł na drugi brzeg. Drużynnicy króla Harolda poszli za nim. Szybko rozbili nielicznych Wikingów, którzy próbowali im przeszkodzić. Ludzie Północy byli wstrząśnięci nagłą porażką swojego faworyta. Chyba tylko dlatego wycofali się spod mostu. Przyczółek został zdobyty. Kolejni Anglicy przechodzili przez rzekę.

Gareth podszedł do Thorbjorna. Wiking wciąż żył. Wymachiwał rozpaczliwie rękami. Pomimo upływu krwi oraz ciężaru własnej kolczugi, nadal utrzymywał się na wodzie. W prawej ręce kurczowo ścisnął swój miecz. Anglik podtrzymał go. Umierający Norweg spojrział na niego zamglonym wzrokiem. Na jego bladej

twarzy pojawił się lekki uśmiech.

– To był dobry dzień – wyszeptał.

Wkrótce potem rzeka pochłonęła jego martwe ciało. Patington, obserwując śmierć swojego wroga, poczuł ukłucie żalu. Zrobiło mu się zimno. Czas dołączyć do pozostałych, pomyślał. Bitwa jeszcze się nie skończyła.

Dwa mury z tarcz stały naprzeciw siebie. Zdziesiątkowane wojsko króla Norwegii Haralda III Sigurdssona liczyło niespełna dwa i pół tysiąca wojów. Władca Anglii, Harold, dysponował dwukrotnie większymi siłami. Jego armia liczyła niecałe pięć tysięcy ludzi. Angielskie szeregi były dłuższe oraz liczniejsze.

Garet stał w dziesiątym rzędzie pośród innych rycerzy. Był wysoki, więc mógł obserwować wszystko dookoła. Widział Harolda Godwinssona stojącego w pierwszym szeregu otoczonego przez gwardię przyboczną. Dostrzegł też Haralda Hardradę. Norweski monarcha również nie stronił od walki. Mimo beznadziejnej sytuacji, dzielnie przewodził swej armii. Patington wypatrywał też swojego przyjaciela Rolfa. Najprawdopodobniej kłusownik stał gdzieś w tyle razem z chłopskim fyrdem. Chyba, że uciekł. Wreszcie, coś zaczęło się dziać. Sigvald Sturisson wystąpił naprzód z obnażonym mieczem. Uniósł oręż w górę i zawołał.

– Gunnarze Gunnarssonie wyzywam cię! Stań ze mną do walki! Zobaczmy, czy potrafisz zwyciężyć bez pomocy innych!

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Po chwili wyzwanie zostało przyjęte. Zwalisty Duńczyk podszedł do Sigvalda i rzekł.

– Tak ci spieszno, by umrzeć, starcze? Spełnię twoje pragnienie.

Po tych słowach zaatakował bez ostrzeżenia. Jego miecz śmignął do przodu z niezwykłą szybkością. Norweg zdołał sparować cios tarczą, po czym sam wyprowadził zaskakujące cięcie w nogi przeciwnika. Gunnar zdążył jednak odskoczyć. Tak rozpoczął się pojedynek.

Przez długi czas, wojownicy wymieniali potężne ciosy. Zadawali mordercze cięcia oraz zabójcze pchnięcia. Wszystkie one były zręcznie odbijane lub

parowane. Walczący, w sposób niemal doskonały, przechodzili z ataku do obrony i z obrony do ataku. Obydwaj byli wybornymi fechtmistrzami. Trudno było przewidzieć, który z nich zwycięży.

Sigvald, mimo podeszłego jak na wojownika wieku, nie ustępował pola swojemu młodszemu i silniejszemu oraz wyższemu przeciwnikowi. Dzielnie odpierał jego zaciekle ataki. Duńczyk liczył na to, że przewaga siły oraz wzrostu wreszcie da o sobie znać i przyniesie pożądany skutek. Dlatego nie ustępował ani na chwilę. Jego strategia była dobra. Z biegiem czasu mężny Norweg coraz bardziej się męczył. Już nie atakował, tylko bronił się rozpaczliwie. Jego tarcza była w rozsypce.

Nagle, parując silny cios zadany od góry, poślizgnął się na wilgotnej trawie. Aby odzyskać równowagę, musiał się na chwilę odsonić. Gunnar tylko na to czekał. Zadał błyskawiczne i celne pchnięcie. Ciężki miecz Duńczyka przebił kolczugę. Następnie sięgnął serca wroga. Sigvald Sturisson zginął na miejscu.

Anglicy wrzeszczeli tryumfalnie. Wtórzący im Wikingowie wyli ze złości. Gdy głosy nieco przycichły, król Harold zawołał.

– Teraz ich wybijemy! Do ataku!

Tak rozpoczęła się ostatnia faza bitwy. Ustawieni po bokach angielscy łucznicy zasypali Normanów gradem śmiertelnych strzał. Do boju ruszyła zwarta kolumna pieszych wojowników. Gareth uniósł tarczę nad głowę stojącego przed nim człowieka. Podobnie uczynili inni. Dzięki temu powstała solidna, drewniana osłona, mająca chronić przed strzałami oraz włóczniami ciskanymi przez wrogów. Gdy dwie armie zdążyły się ze sobą, Patington naparł na wojownika, którego osłaniał. Na niego samego napierał rycerz stojący z tyłu. Chodziło o to, aby zwiększyć nacisk na przednie szeregi dążące do rozbicia przeciwnika.

Stojący w szyku Gareth niewiele mógł zobaczyć. Tłok był tak wielki, że ledwo oddychał. W dodatku był przemoczony, co nie wpływało dobrze na jego samopoczucie. Krople potu zalewały mu twarz. Jego miecz tkwił bezużyteczny w pochwie. Nie tak wyobrażał sobie swoją pierwszą bitwę.

Do jego uszu dolatywały odgłosy bezustannej walki. Wrzaski tych, którzy padali zabici lub ranni. Zgrzyt ścierającej się ze sobą stali. Charakterystyczny dźwięk rozrąbanego drewna. Świst setek strzał, wystrzeliwanych głównie przez

angielskich łuczników. Taka była muzyka każdej wielkiej bitwy. Głośna i budząca grozę wśród tych, którzy usłyszeli ją po raz pierwszy.

Ściśnięty w tłoku Patington utracił rachubę czasu. Nie wiedział już, ile to razy wojska rozłączały się, aby po chwili ponownie ruszyć do boju. Liczyło się, tylko przetrwanie. Należało zachować siły i nie upaść. Wszystko inne chwilowo przestało mieć znaczenie.

Przednie szeregi Anglików wydały gromki okrzyk radości i ruszyły naprzód. Za nimi podążyli inni. Mur tarcz Wikingów został rozerwany. Rozpoczęła się rzeź. Ludzie Północy ginęli od miecza, topora, włóczni lub ostrego noża. Zwycięzcy nie okazywali litości nikomu. Harald Sigurdsson zginął od strzały, która przeszła mu gardło. Zasieczono również księcia Tostiga. Bitwa pod Stamford Bridge była największym zwycięstwem angielskiego króla Harolda Godwinssona. Potęga Normanów została złamana. Garet wreszcie wydostał się z ciżby. Nie dołączył do masakry. Stał z dobytym mieczem i głęboko oddychał. Cieszył się, że przeżył. Podbiegł do niego uśmiechnięty kłusownik Rolf. Klepnął go w ramię i rzekł.

– Cóż tak stoisz panie? Łupy czekają. Ruszajmy po swoje.

W izbie było ciemno. Światło dnia wpadało jedynie poprzez niewielki otwór w dachu. Pośrodku znajdowało się palenisko, w którym huczał ogień. Nad płomieniem ustawiono wielki kocioł. Stały przy nim dwie kobiety przygotowujące strawę.

Milcząca Margaret mieszała zupę drewnianą chochlą, do której przyklejały się kawałki tłustego mięsa. Jej towarzyszka Hilda łkała cicho. Biedaczka nie otrząsnęła się jeszcze po brutalnym gwałcie, którego doświadczyła poprzedniej nocy. Nie tylko ona cierpiała z tego powodu. Od chwili pojmania niemal wszystkie angielskie branki zaspokajały żądze zdobywców. Byli tacy, którzy obchodzili się z niewiastami łagodnie. Większość jednak nie przebierała w środkach. Margaret miała szczęście. Chronił ją amulet Thora, który nosiła na szyi. Był to podarunek od Sigvalda. Złoty, zakończony ostrym szpikulcem młot oznaczał, że dziewczyna ma już właściciela, z którym lepiej nie zadzierać. Tylko raz pewien młody Wiking próbował się do niej dostać. Dźgnęła go w krocze nożem do krojenia mięsa. Intruz wycofał się z krzykiem i dał jej spokój. Margaret próbowała chronić pozostałe kobiety. Na niewiele to się jednak zdało. Ostatecznie tylko ona pozostała nietknięta.

Bardzo tęskniła za Garetem. Co dzień modliła się do Boga, aby ocalił mu życie i doprowadził go bezpiecznie do niej. Wiedziała, że Wikingowie odnieśli jedno zwycięstwo. Potem jednak zostali rozgromieni przez Anglików. Król Harold przybył z wojskiem pod Riccall. Rozpoczęto rokowania. Margaret w napięciu czekała na ich wynik. Nie wiedziała, jaki czeka ją los.

Nagle drzwi domu rozwarły się. Do izby wbiegł kilkuletni chłopczyk, którym się opiekowała. Był niemową. Złapał jej futrzany płaszcz i zaczął ciągnąć. Drugą ręką wskazywał na zewnątrz. Był zdenerwowany.

– Nie mogę teraz iść – rzekła dziewczyna. – Muszę pilnować stawy. Poczekaj chwilę.

Chłopiec nie dawał za wygraną. Ciągnął coraz mocniej. Pomrukiwał przy tym gniewnie. Po chwili do środka wszedł zbrojny i warknął.

– Wychodzić. Szybko.

Margaret wrzuciła chochlę do kotła. Złapała za ramię sparaliżowaną ze strachu Hildę. Drugą ręką chwyciła dziecko. Następnie skierowała się do wyjścia. W trójkę wyminęli zbrojnego, który obserwował ich w milczeniu.

Dzień był ciemny i ponury. Z nieba sączyła się uporczywa mżawka. Od strony morza nadciągnął zimny wiatr. W Riccall panowało wielkie poruszenie. Tłumy wojowników kłębiły się na wąskich uliczkach. Wikingowie gotowali się do drogi. Znosili zapasy na okręty, którymi mieli odpłynąć. Angielscy rycerze obserwowali wszystko, rozmawiając przy tym głośno i radośnie. Wychwalali męstwo króla Harolda oraz jego czempiona Gunnara, który najlepiej walczył w minionej bitwie.

Margaret przepychała się przez ciżbę, trzymając chłopca za rękę. Obok niej stąpała wystraszona Hilda. Dziewczyna zrozumiała, że jest wolna, lecz nie wiedziała, dokąd iść. Postanowiła opuścić miasteczko i pójść do Patington Home. Liczyła na to, że osada nie spłonęła. Tam powinna znaleźć schronienie. Jej rozmyślania, zostały nagle przerwane. Od tyłu podjechała grupka konnych. Ktoś złapał ją za włosy i zawołał coś w niezrozumiałym dla niej języku. Widząc to, Hilda krzyknęła przeraźliwie i czmychnęła w tłum. Rozwścieczona Margaret odwróciła się, aby spojrzeć na intruza. Ujrzała potężnego mężczyznę siedzącego pewnie na koniu. Jego prawy policzek przecinała paskudna blizna. Usta były

rozchylone w lubieżnym uśmiechu. Obok niego stało czterech zbrojnych, również na koniach. Widok tego człowieka nie przeraził dziewczyny. Zatrwożyło ją zwierzę, na którym siedział. Rozpoznała je. To był Grom. Koń należący do jej ukochanego. Przez chwilę Margaret stała jak wmurowana. Chciała wybuchnąć płaczem, lecz opanowała się i przemówiła hardo.

– Jestem angielską niewiastą, czego chcesz rycerzu?

Wojownik spojrział na nią ze zdumieniem. Po chwili odpowiedział.

– Jesteś Saxonką powiadasz. Dlaczego nosisz amulet Thora?

– Dał mi go pewien Wiking.

– Jak się zowie?

– Sigvald Sturisson.

– Jesteś jego branką?

– Tak.

Zbrojny roześmiał się głośno.

– Nazywam się Gunnar Gunnarsson. Osobiście zabiłem Sigvalda. Zatem teraz jesteś moją własnością. Będziesz mi grzać łożę w zimne noce. - Następnie zwrócił się do jednego ze swoich ludzi.

– Posłuchaj Ingvarze. Twoja noga jest mocno okaleczona. Przez jakiś czas nie będziesz mógł walczyć. Zabierzesz więc dziewczyną do mojego domu w Londynie.

Ingvar chrząknął i rzekł.

– Tak uczynię Gunnarze. Muszę ci jednak rzec, że Bergthora nie będzie zadowolona.

– Zapewne. Przekaż jej, że to mój rozkaz. Gdy wojna się skończy, sam ją przekonam.

– Myślisz panie, że dziewczucha pożyje tak długo?

– Zobaczymy. Bierz ją.

Margaret chciała się wyrwać, lecz nie mogła. Nadal była trzymana za włosy. Ingvar zeskoczył z konia, stękając przy tym boleśnie. Lewa noga bardzo mu dokuczwała. Mimo to złapał dziewczynę w pasie i przyciągnął do siebie. Chłopiec próbował mu przeszkodzić, lecz został odtrącony kopniakiem. Wpadł do kałuży i zaczął głośno płakać. Przez tłum przecisnął się człowiek, który krzyknął.

– Zostawcie ją psy, to moja kobieta.

Margaret ponownie się odwróciła. Ku wielkiej uldze i radości ujrzała Garetę Patingtona. Rycerz stał kilka metrów od niej. W ręce trzymał obnażony miecz. Dziewczyna usłyszała zgrzyt dobywanej broni. W następnej chwili poczuła zimne dotknięcie stali na swojej szyi. To Gunnar przyłożył jej do skóry ostrze długiego sztyletu. Następnie wojownik króla Harolda przemówił.

– Spokojnie Angliku, ja pierwszy znalazłem tę niewiastę, więc jest moja. Zabiłem człowieka, który był jej poprzednim panem.

Patington długo milczał, zanim odpowiedział.

– Znam tą dziewczynę od dawna. Dlatego mówię ci Duńczyku, że jest moja. Jeśli uważasz inaczej, rozsądźmy to na ubitej ziemi.

Gunnar zaśmiał się głośno i rzekł.

– Jeśli zdecydujesz się mnie wyzwąć, chętnie stanę do walki, lecz najpierw podetnę jej gardło. Zgadzasz się na podobny układ Angliku?

Stojący dookoła ludzie milczeli. Z rosnącym napięciem oczekiwali na rozwój wydarzeń. Margaret spojrzała na ukochanego, a on na nią. Zrozumieli się bez słów. Rycerz musiał się wycofać, lecz nie chciał. Zastanawiał się, co zrobić. Postanowiła, ułatwić mu sprawę.

– Zajmij się chłopcem – rzekła. Następnie odwróciła się i posłusznie wsiadła na konia. Ingvar wskoczył za nią. Obciążone zwierzę aż jęknęło. Konieczni musieli znaleźć jakiegoś wolnego luzaka. Dziewczyna zamknęła oczy, aby ukryć łzy.

Garet był wściekły na samego siebie. Siedział oparty o boczną ścianę oberży miejskiej w Riccall. Na jego kolanach spał mały chłopczyk. Rycerz nie mógł uwierzyć w to, co się niedawno stało. Duńczyk Gunnar odebrał mu Margaret, a on nie mógł nic na to poradzić. Przynajmniej dowiedział się, że dziewczyna pojedzie do Londynu. Tam należało jej szukać. Było to jednak marne pocieszenie. Jego wróg miał wielu przyjaciół, na których wsparcie mógł liczyć. Sprzyjał mu nawet sam król. Łupy, które Patington zgromadził po zwycięstwie, były niewielkie. Dwie powyginane zbroje płytowe, jeden wyszczerbiony miecz oraz rozłupany stożkowy hełm. Szybko wszystko sprzedał. W zamian otrzymał pokaźny miasek srebrnych monet. Po bitwie wojsko króla Harolda ruszyło spieszenie pod Riccall. Tutaj rozpoczęły się rokowania pokojowe z księciem Olafem, synem poległego Harald Hardrada. Zakończono je właśnie dzisiaj. Wikingowie odpłynęli z dobytkiem zgromadzonym na dwudziestu czterech statkach. Musieli jednak pozostawić wielu zakładników. Uwolnili też angielskie branki. Pokój został przypieczętowany. Syn Godwina mógł świętować zwycięstwo. Zapewne popijał wino lub piwo w otoczeniu swej przybocznej świty. Rozmyślenia rycerza przerwało nadejście Rolfa. Kłusownik prowadził za uzdę osiodłanego oraz zaopatrzonego w juki gniadego rumaka.

– Udało się panie – rzekł. Jeżeli szczęście będzie nam sprzyjać, to do jutra nikt nie spostrzeże zniknięcia konia.

Garet zbudził chłopczyka. Podniósł go i usadowił na grzbiecie zwierzęcia. Następnie wręczył Rolfowi dwie monety.

– Dzięki przyjacielu – odparł. Nie zapomnę tej przysługi.

Kłusownik wziął pieniądze i spytał.

– Panie, czy naprawdę słusznie czynisz? Wiele ryzykujesz.

– Nie mam wyboru, Rolfie. Nie mogę wlec chłopca za sobą. Armia, to nie miejsce dla niego. Zawiozę go do Patington Home. Jeśli posiadłość nie spłonęła, to powinni już tam wrócić niektórzy z moich poddanych. - Patington wskoczył na siodło i uderzył konia piętami. Zwierzę siępięło się i ruszyło z kopyta.

– Wrócę jutro przed południem – zawołał do kłusownika.

Galopowali przez trakty, pola i łąki. Chłopiec śmiał się wesoło. Jazda konna bardzo mu się spodobała. Czuł się swobodnie. Rycerz chichotał razem z nim. Cieszył się, że dziecku jest dobrze. Do Patington Home dotarli przed wieczorem. Od razu widać było, że wróg tutaj nie zawitał. Brama była zamknięta, a na czatowni stał wartownik.

– Kto jedzie? – zakrzyknął.

– Garet Patington!

Wrota rozwarły się. Wpadli pędem na podwórze. Młody Patington zatrzymał konia jednym pociągnięciem wodzy. Gdy to czynił, ujrzał dwóch chłopców, którzy walczyli ze sobą, wymachując patykami. Widok rozpędzonego jeźdźca wystraszył malców. Obaj czmychnęli do dworu. Garet zeskoczył na ziemię. Niemowa poszedł w jego ślady. Wtedy w progu głównego domostwa stanęła kobieta. Rycerz od razu ją rozpoznał. Była to jego siostra Alda. Niewiele się zmieniła. Wprawdzie przybyło jej trochę ciała, lecz to nic dziwnego po dwóch porodach. Oboje padli sobie w objęcia, nie kryjąc wzruszenia. Pierwszy, odezwał się chłopak.

– Witaj siostrzyczko. Dobrze cię widzieć. Co tutaj robisz?

– Witaj drogi braciszku. Wejdz do środka, to wszystko ci opowiem. Czyje dziecko przywiozłeś? Chyba nie twoje?

– Chłopczyk, to sierota z rybackiej wioski. Jest niemy.

Pospiesznie weszli do izby. Alda nie czekała, aż usiądą. Spojrzała na brata i rzekła.

– Mój nieudolny mąż Rajmund został wydziedziczony. Wsadził mnie i dzieci do powozu i kazał jechać.

– Dał ci ochronę?

– Zaledwie dwóch zbrojnych.

– A to szelma, trzeba będzie z nim pomówić.

– Lepiej nie bracie. Jak straci kolejne zęby, to całkowicie upodobni się do

trolla.

Obydwoje roześmiali się z tego żartu.

– Dlaczego został wydziedziczony? – zapytał Gareth.

– Jego rodzina poparła króla Harolda. On się sprzeciwił. Postanowił wesprzeć księcia Normandii.

– Zatem uciekł do Francji?

– Nie. Ruszył na spotkanie Wilhelma, który najpewniej przeprowił się już przez morze.

– Jesteś tego pewna?

– Tak.

– Przynajmniej Wikingowie zostali rozgromieni.

– Gdzie ojciec?

Garet natychmiast posmutniał.

– Zginął w bitwie pod Fulford. Tam też został pochowany. Polegli również Hamertonowie. - Zapadło długie milczenie.

– A co ty porabiasz bracie?

– Jestem w armii Harolda, która obozuje pod Riccall. Jutro muszę wracać.

– Więc mamy niewiele czasu, aby się sobą nacieszyć. Przyniosę jadła.

Po chwili na stole pojawiły się potrawy. Przyniesiono zimne mięsiwa, świeży chleb, sery oraz jabłka i gruszki. Nie zapomniano też o dobrym piwie. Podczas posiłku Gareth opowiedział siostrze o swoich przygodach. Wspomniał również o Margaret. Niewiasta słuchała z zapartym tchem. Gdy mówił o śmierci ojca, rozpląkała się. Tymczasem rozbrykane dzieci biegały dookoła stołu, wybierając najsmaczniejsze kęsy. Po jedzeniu Patington dokładnie wyczyścił i naostrzył swój miecz. Zaopatrzył się też w tarczę oraz w nowe buty, które od

dawna trzymał w skrzyni. Następnie ściągnął kolczugę. Uczynił to po raz pierwszy od wielu dni. Pancierz oddał służącemu.

– Do jutra ma lśnić – oznajmił.

Z prawdziwą rozkoszą zanurzył się w drewnianej bali wypełnionej gorącą wodą oraz wonnościami, które Alda przechowywała w glinianych dzbankach. Rycerz odetchnął głęboko. Poczł się, jak cesarz w Konstantynopolu. Gdy zasypiał na ławie, był spokojny i rozluźniony. Późnym rankiem zbudził go służący, potrząsając wyczyszczoną kolczugą.

– Czysta jak łza panie – rzekł. - Wyklepałem też hełm.

– Dobra robota – odparł Garet.

Sięgnął do mieszka i wręczył słudze srebrną monetę. Rozradowany młodzik podziękował i oddalił się pośpiesznie. Patington podszedł do stołu. Zjadł kawałek mięsa, popijając go resztkami piwa. Następnie nałożył zbroję i wyszedł z izby. Na zewnątrz czekała Alda z trójką chłopców. Trzymała konia za uzdę. Rumak był już osiodłany i objuczony żywnością. Rycerz podszedł do siostry i przytulił ją. Kobieta długo trzymała go w objęciach. Pożegnał się również z dziećmi: Jimim, Bilim i niemową. Gdy trzymał malca w ramionach, Alda rzekła.

– Chłopiec nazywa się Nick.

Garet spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Jak to odkryłaś? – zapytał.

– Pytałam go o imię tak długo, aż w końcu trafiłam na właściwe.

– Więc nazywasz się Nick?

Chłopiec kiwnął, potakująco głową.

– Tutaj będzie ci dobrze.

Rycerz postawił dziecko na ziemi. Następnie wskoczył na konia i ruszył. Przejeżdżając przez otwartą bramę, odwrócił się, by spojrzeć na rodzinny dom. Gdy tak patrzył, babcia Greta wyłoniła się zza rogu chałupy. Staruszka wyciągnęła

pomarszczoną dłoń, wołając.

– Młody Patingtonie pamiętaj o przepowiedni! Wkrótce się spełni!

Garet jechał szybko wąskim traktem. Do miejscowości Riccall nie było daleko. Po południu powinien być już na miejscu. Pogoda była znośna. Niebo było zasnuwane chmurami, lecz nie padało. Rycerz pomyślał, że sprzyjało mu szczęście. Pewnie nikt w królewskiej armii nie zauważył jego zniknięcia. Cieszył się z tego. Wkrótce jednak przekonał się, że jest inaczej. Zoczył trzech konnych, którzy pędzili mu na przeciw. Z daleka rozpoznał Rolfa. Kłusownik miał niezwykle poważną minę. Eskortowało go dwóch zbrojnych należących najprawdopodobniej do drużyny królewskiej. Patington zaniepokoił się tym widokiem. Nie wróżył on niczego dobrego. Rycerz wstrzymał konia i czekał cierpliwie. Jeźdźcy zbliżyli się do niego. Po chwili jeden z nich rzekł.

– Tyś jest Garet Patington.

– Tak.

– Poddaj się w imieniu króla.

– Jestem wiernym poddanym naszego monarchy.

Zbrojni roześmiali się głośno.

– Wiernym poddanym powiadasz. To dlaczego uciekłeś z armii, kradnąc ulubionego rumaka naszego władcy?

– Właśnie wracam do Riccall. Tam wszystko się wyjaśni.

– W Riccall nie ma już króla.

– Jak to?

– Daruj sobie te łgarstwa chłopcze. Nie stawiaj oporu, a załatwimy to szybko.

Garet pojął, w czym rzecz. Za ucieczkę z królewskiej armii czekał go

stryczek. Za kradzież konia również. Zdarzało się jednak, że zbieg ginął w trakcie zatrzymania. Właśnie takie rozwiązanie proponował mu zbrojny. Przynajmniej uniknąłby pośmiewiska oraz śmierci w męczarniach. Należało działać szybko. Nie było czasu na dalsze pogaduszki. Rolf też o tym wiedział. Odwrócił się do jednego z wojów i szybkim ruchem ręki wbił mu sztylet w szyję. Śmiertelnie ranny mężczyzna przechylił się na bok. Krew sączyła mu się z szeroko otwartych ust. Po chwili spadł z konia, pociągając za sobą kłusownika. Człowiek, który niedawno rozmawiał z Patingtonem, zawył wściekle. Następnie wyciągnął miecz. Równocześnie wykonał ostry skręt koniem. Zamierzał zmiażdżyć Rolfa, który klęczał na ciele jego towarzysza. Wtedy zaatakował Gareth, najeżdżając na przeciwnika z boku. Rumaki zderzyły się. Miecz Patingtona świsnął w powietrzu. Damasceńska stal rozłupała hełm oraz czaszkę wojownika. Żołnierz króla Harolda spadł z siodła, uderzając głową o ziemię. Walka dobiegła końca. Ci, którzy chcieli zadać szybką śmierć, leżeli martwi w kałużach z własnej krwi. Konie parskaly głośno. Pierwszy odezwał się Rolf.

– Nie miałem wyboru panie. Widzieli mnie, jak zabierałem konia. Od razu chcieli powiesić. Wtedy ten wielki Duńczyk z blizną rozpoznał mnie i skojarzył z tobą. Widział nas przecie razem.

– Rozumiem Rolfie. Musimy ukryć ciała.

Odciągnęli zabitych w gęste zarośla. Nie mieli motyk ani łopat, aby wykopać spory dół. Musieli więc zamaskować trupy w krzakach. Mieli nadzieję, że w ciągu najbliższych dni nikt ich nie odnajdzie. Kłusownik zdarł z zabitych zbroje. Zabrał im też miecze oraz sakiewki. Gdy to uczynił, odezwał się ponownie.

– Wiem, że to nie po chrześcijańsku okradać rodaków, lecz łupy przydadzą się nam. Uciekniemy w las panie. Będziemy zbójować. Ty zostaniesz hersztem bandy, a ja twoim pomocnikiem. Zobaczysz panie, to nic trudnego.

Gareth pokręcił głową.

– Jak długo tak pożyjemy przyjacielu, rok a może dwa? Potem skończymy, jak Wulf Czarny.

– Nie mamy wyjścia, panie. Ubiliśmy dwóch ludzi króla. Uciekliśmy z armii. Jesteśmy wyjętymi spod prawa banitami.

– Nie mogę zostawić Margaret.

– Przecie dziewczucha już przepadła. Prawieś panie, że uwieźli ją do samego Londynu. Podobno to wielkie miasto. Nigdy jej tam nie odszukasz.

Patington zamyślił się. Rzeczywiście, kłusownik mówił prawdę. Sytuacja była beznadziejna. Rycerz nie wiedział, co począć. Nagle doznał olśnienia i rzekł.

– Człowiek, którego zabiłem, mówił wcześniej, że króla nie ma już w Riccall.

– Miał rację. Harold wyruszył spiesznie w stronę Nottingham.

– Dlaczego?

– Podobno otrzymał zatrważające wieści.

– Jakie wieści, mówże Rolfie?

– Powiadają, że księżę Normandii, Wilhelm, przeprowił się przez morze. Jego armia jest liczniejsza od ziaren piasku.

Garet zaśmiał się głośno.

– Więc mamy jeszcze szansę.

– Jaką? – zdumiał się kłusownik.

– Dołączmy do księcia Wilhelma, który zapewne potrzebuje wsparcia. Każdy sprzymierzeniec mu się przyda. Jeśli Normandczyk pokona Harolda i pozbawi go władzy, to nikt nie będzie nas ścigał. Wówczas będziemy mogli odnaleźć Margaret i wrócić do domu.

– To dobry plan, lecz dla ciebie panie. Ja nie jestem urodzonym wojownikiem. Lepiej pojedę do wioski.

– Zostały z niej tylko zgliszcza.

– Odbuduję ją.

Patington zastanawiał się przez chwilę.

– Dobrze przyjacielu, zabierz łupy i spróbuj je sprzedać. Trwa wojna, więc nikt nie powinien pytać, skąd je masz. Następnie wróć do naszej wioski i zbierz ukrywających się po lasach chłopów. W Patington Home jest teraz moja siostra. Zapewne wam pomoże. Ja jadę na południe.

Pożegnali się serdecznie. Kłusownik wziął dwa konie. Na jednego z nich załadował łupy. Szybko zszedł z traktu, aby na razie nikogo nie spotkać. Garet obserwował go przez chwilę, następnie odwrócił się i podszedł do koni, które mu pozostały. Zwierzęta były gotowe do drogi. Rycerz związał je ze sobą tak, aby w galopie szły obok siebie. Wskoczył na większego rumaka i uśmiechnął się. Był zadowolony. Wreszcie sam dokonał wyboru. Czas pokaże, czy właściwego.

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfkp/S39PbwJtA2oBYFJgUGliTT1SMUs/XnAAAbA===

CZEŚĆ TRZECIA PRZEZNACZENIE

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Był to dzień 28 września 1066 roku. Na normandzkim wybrzeżu u ujścia rzeki Dives kotwiczyły setki okrętów. Większość z nich została zwodowana niedawno. Były świeżo zbudowane. Wokół nich trwała gorączkowa krzątanina. Na pokładach statków tłoczyły się tysiące wojowników. Na łodzie z wysokimi burtami wprowadzano konie. Wystraszone zwierzęta rżały i parskały nerwowo. Ich podkute kopyta, niczym młoty stukały o dębowe deski. Wszystko jednak przebiegało sprawnie. Żywność oraz sprzęt bojowy załadowano już wcześniej. Przed zmrokiem niezbędne przygotowania zostały zakończone. Wiatr nadal był pomyślny. Można było wreszcie wyruszyć. Po zapadnięciu nocy, wielka flota Normandii wypłynęła na morze. Rozpoczęła się przeprawa.

Na czele flotylli płynął flagowy okręt księcia Wilhelma o nazwie Mora. Na dziobie i na rufie statku umieszczono zapalone latarnie. Wszystkie pozostałe łodzie również wyposażono w podobne lampiony. Chodziło o to, aby nie pogubić się w mroku. Podróż morska przebiegła bez zakłóceń. W czasie rejsu przepadły zaledwie dwa statki.

O świcie 29 września 1066 roku, Normandczycy ujrzeli brzegi Albionu. Na plaży nie dostrzeżono wrogów. Książe postanowił wykorzystać sytuację. Okręty wpłynęły do zatoki pomiędzy Eastbourne a Hastings. Z powodu odpływu, szybko osiadły na mieliźnie. Ludzie wysypywali się z pokładów. Rozpoczęto pospieszny wyładunek koni. Lekkozbrojni wojowie obsadzili pobliskie wydmy. Anglików nadal nie było widać.

Wreszcie do brzegu dobiła Mora. Wysiadający ze statku książe poślizgnął się i upadł na piasek. Członkowie straży przybocznej jęknęli. Niektórzy wydali głośne westchnienie. To był zły znak. Wszyscy spojrzeli na swego władcę. Klęczący na plaży Wilhelm nie stracił ducha. Wziąwszy w dłoń garść piachu, zakrzyknął.

– Obejmuję w posiadanie królestwo Anglii!

Po tych słowach ludzie zaczęli się śmiać. Złowieszcza wróżba została obrócona w dobry żart.

Rozpoczął się wyładunek zapasów żywności oraz sprzętu wojennego. Wzdłuż brzegu usypano obronny wał ziemny. W głąb lądu rozesłano podjazdy. Celem tych oddziałów było zdobywanie wieści oraz pozyskiwanie dodatkowego prowiantu. Książę Wilhelm przeniósł się do opuszczonego grodu o nazwie Pevensey. Tam spędził swoją pierwszą noc na angielskiej ziemi.

Następnego dnia Normandczycy ruszyli w drogę. Nadal nikt im nie przeszkadzał. Wojowie konni oraz piesi maszerowali plażą. Łodzie sunęły wolno wzdłuż linii brzegowej. Obie formacje nie traciły kontaktu wzrokowego. Po południu Wilhelm dotarł do miasteczka Hastings i zajął je. Właśnie w nim założył swój tymczasowy obóz. Postanowił czekać. Był zaniepokojony brakiem nowych wiadomości o poczynaniach uzurpatora Harolda.

Garet przemieszczał się szybko. Miał dwa konie, więc mógł podróżować niemal bez wytchnienia. Posiłki jadł w siodle. Zatrzymywał się tylko, aby odpocząć, uzupełnić zapasy lub trochę się przespać. Chciał jak najprędzej dotrzeć do księcia Wilhelma. Nie wiedział jednak, jak władca Normandii go potraktuje. Obawiał się nieco spotkania z nim, lecz nie widział dla siebie innej drogi. Jadąc na południe, przemknął po Moście Stamford. Mógł zatem jeszcze raz obejrzeć pole niedawnej bitwy. Pobojowisko nadal było zasłane rozkładającymi się ciałami. Widać nikomu się nie spieszyło, aby pogrzebać poległych. Stamtąd Patington pojechał do miasta Lincoln. Gdy tam dotarł, spostrzegł, że jeden z koni zgubił podkowę. Musiał więc skorzystać z usług miejscowego kowala. Przy sposobności udał się też do karczmy, aby napić się piwa. Od siedzących tam biesiadników dowiedział się, że Normandczycy obozują w miejscowości Hastings. Teraz wiedział już, dokąd jechać.

Dalsza podróż przebiegała bez większych trudności. W Stamford pomógł dwóm zakonnicom przetransportować ciężarną kobietę do miejscowego klasztoru. Na drodze do Huntingdon spotkał odzianego w podarte łańchmany człowieka, który twierdził, że zna przyszłość tego świata. Rycerz rzucił mu kilka miedziaków i pojechał dalej. W miejscowości Watham przegonił trzech złodziei zamierzających ukraść mu konie.

Gdy wjechał na terytorium Kentu, zaczął postępować bardziej ostrożnie.

Zatrzymywał się tylko w przydrożnych oberżach. Szerokim łukiem ominął miasto Rochester. Obawiał się bowiem, że napotka tam zwolenników króla Harolda. Ci, z pewnością by go zatrzymali i przesłuchali. Sporo wieści o dotychczasowych poczynaniach Normandczyków zdobył od pewnego kupca, który handlował sukniem. W pobliże Hastings dotarł po południu 10 października 1066 roku. Szybko natknął się na oddział złożony z pięciu uzbrojonych wojowników.

– Kim jesteś? – spytał dowódca patrolu.

– Jestem Garet Patington, rycerz z Northumbrii. Przybyłem tu, aby służyć księciu Wilhelmowi.

– A więc jesteś z północy kraju?

– Tak.

– To się dobrze składa. Być może książę będzie chciał rozmówić się z tobą osobiście.

Pognali szybko ku miastu. Gdy się zbliżali, Garet ujrzał dziesiątki rozbitych namiotów. Dookoła nich kręciły się gromady zbrojnych. W lot pojął, że nie wszyscy wojowie znaleźli schronienie za murami niewielkiego miasteczka. Większość z nich musiała obozować pod gołym niebem. Zatrzymali się przed rozwartą bramą.

– Zsiadaj z konia i zaczekaj tu – rzekł dowódca.

Patington nie sprzeciwiał się. Postąpił, jak mu polecono. Zwierzęta i tak nie należały do niego. Członkowie patrolu rozjechali się w różne strony. Zabrali też konie. Młodego rycerza pozostawiono samemu sobie.

Wkrótce zjawił się książę Normandii. Nadjechał na pięknym jabłkowitym rumaku eskortowany przez dwóch gwardzistów. Był wysokim i postawnym mężczyzną. Liczył niespełna czterdzieści wiosen. Twarz miał łagodną, lecz stanowczą. Jego włosy, broda i wąsy były starannie przystrzyżone. Miały kolor ciemnobrązowy, podobnie jak oczy. Odziany był w solidną kolczugę. Na nogach, oprócz skórzanych butów i spodni, miał metalowe osłony chroniące kolana oraz golenie. Zbroję okrywał czerwony płaszcz z cienkiej wełny. U pasa władcy

znajdowała się pochwa z mieczem w środku. Gdy Wilhelm się zbliżył, Patington ukląkł. Normandczyk odezwał się pierwszy.

- Pochodzisz z Northumbrii młody rycerzu?
- Tak panie. Nazywam się Garet Patington. Przybyłem, aby ci służyć.
- A inni mężowie z twego rodu. Czy wspierają Harolda?
- Nie ma innych, panie. Jestem ostatnim męskim potomkiem.
- Twój ojciec nie żyje?
- Zginął niedawno. Ubili go Wikingowie.
- Zapewne był wielkim wojownikiem?
- Tak panie. Nazywał się John Patington.
- Prawda to, że Godwinsson rozgromił wojska króla Norwegii?
- Tak. Harald Hardrada poległ. Widziałem to.
- Brałeś udział w tej bitwie?
- Tak panie.
- Więc walczyłeś po stronie Harolda?
- Nie miałem wyboru.
- Czemu go opuściłeś?
- Moja rodzina nigdy nie wspierała rodu Godwina.
- Czemu uciekłeś?

Garet przełknął ślinę. Nie chciał okłamywać księcia, więc rzekł.

- Zostałem niesłusznie oskarżony o zdradę oraz kradzież. Musiałem

uchodzić. Ponadto uprowadzono moją kobietę i konia.

- Rozumiem. Dlaczego przyszedłeś do mnie?
- Bo jesteś panie prawowitym władcą tych ziem.
- Skąd o tym wiesz?
- Słyszałem, panie.

Książę roześmiał się głośno i odparł.

– Słyszałeś tylko plotki. Poznasz jednak prawdę. W stosownym czasie będziesz mówił o niej innym.

– Oczywiście panie.

– Kilka lat temu earl Harold poprzysiął, że po śmierci króla Edwarda będzie wspierał moją kandydaturę do tronu Anglii. Jednak, gdy nastał właściwy czas, złamał dane słowo i sam ogłosił się władcą. Stał się więc krzywoprzysięzcą oraz uzurpatorem. - Wilhelm zaczerpnął głęboko powietrza i kontynuował.

– Wysłałem poselstwo do papieża, aby zyskać pewność. Będąc już w Rzymie, moi posłowie uzyskali wsparcie kardynała Hildebranda. Dzięki temu stanęli przed obliczem ojca świętego Aleksandra II, który zaprosił ich na osobistą audiencję. Ów świętobliwy mąż potwierdził moje sprawiedliwe roszczenia i obłożył Harolda klątwą. Podarował mi również chorągiew Świętego Piotra. Wtedy zyskałem pewność zwycięstwa. Już niebawem, z pomocą Bożą, przywrócę sprawiedliwość w tym rozdartym wojną kraju.

– Staniesz się Wilhelmem Zdobywcą, panie.

Na wargach Normandczyka pojawił się uśmiech. Najwidoczniej ten tytuł przypadł mu do gustu. Zeskoczył z konia i podszedł do młodego Patingtona. Następnie wyciągnął miecz. Klinga zatoczyła łuk w powietrzu, dotykając prawego ramienia młodzieńca. Garet poczuł się tak, jakby ponownie został pasowany na rycerza. Pochylił się lekko i ucałował pierścień podsunięty mu przez władcę. Wtedy Wilhelm rzekł.

– Powstań rycerzu. Od dziś jesteś moim poddanym. Idź przysposobić się do

bitwy, która rychło nadejdzie.

Patington wstał i odszedł. Pilno mu było znaleźć spokojne miejsce na nocleg.

Był wieczór dnia 13 października 1066 roku. Garet siedział w małym namiocie zbudowanym z kilku patyków oraz z żaglowego płótna. Spory kawałek tego materiału udało mu się wytargować w mieście. Wsłuchiwał się w bębnienie kropel deszczu, który padał już od rana. Jadł mięsny posiłek, zastanawiając się, co przyniesie jutro. Wiedział, bowiem, że wojsko Harolda jest już w pobliżu. Widział je na własne oczy. Zbrojni króla zajęli wzgórze Senlac, przyjmując taktykę obronną. Było ich mniej więcej siedem tysięcy ludzi. Wszyscy wiedzieli jednak, że z każdym dniem ich liczba będzie wzrastać. Monarcha spodziewał się posiłków z całej Anglii. Patington zdawał sobie sprawę, że nie wszyscy earlowie i tenowie, odpowiedzą na wezwanie. Mimo to, wielu przybędzie. Gdy Harold zyska, wyraźną przewagę liczebną, to zaatakuje.

Wilhelm nie zamierzał czekać. Jego armia liczyła osiem tysięcy wojowników. Miał więc niewielką przewagę. Dysponował piechotą oraz konnicą. Dlatego postanowił ubiec wroga i zaatakować pierwszy. Liczył pewnie na to, że zaskoczy przeciwnika, który nie będzie jeszcze gotów do działania. Bitwa miała się rozegrać następnego dnia.

Garet rozmyślał nad przepowiednią babci Grety, choć nie wiedział, czy w ogóle się spełni. Myślał o tajemniczej strzale, która zabijając jednego z władców, miała zaważyć na losach całej Anglii. Zastanawiał się nad pojedynkiem, który wedle babcinych słów, przyjdzie mu stoczyć. Ciekawiło go, czy dokonał dobrego wyboru i stanął po właściwej stronie. Gdy skończył jeść, uklęknął i zaczął się modlić. Prosił dobrego Boga, aby chronił Margaret, aby nie pozwolił nikomu jej skrzywdzić i doprowadził ją bezpiecznie do domu. Następnie pomodlił się o siłę dla siebie, dzięki której mógłby pokonać wszystkich wrogów i przeżyć nadchodzącą bitwę. Modlił się też za swoje siostry: Aldę i Brigit oraz za dusze rodziców. Na koniec poprosił o jakiś namacalny znak, który dodałby mu otuchy. Gdy wstał z klęczek, wyszedł na zewnątrz za potrzebą. Jego namiot znajdował się na skraju książęcego obozu. Nie musiał więc długo szukać ustronnego miejsca. Idąc z powrotem, zahaczył o coś butem. Schylił się, dostrzegając błysk złota w trawie. Uznał, że to moneta. Sięgnął po nią i podniósł z ziemi. Gdy to czynił, palce prawej dłoni natrafiły na łańcuszek. Wiedział już, że to nie żaden pieniądz, tylko jakiś wisiołek. Zaintrygowany, wrócił szybko do

namiotu. Przy pomocy hubki i krzesiwa zapalił niewielką woskową świeczkę. W blasku płomyka mógł dokładnie obaczyć znalezisko. Trzymał w dłoni piękny medalion, nieco większy od monety. Wykonano go ze szczerzego złota, podobnie jak łańcuszek. Przedstawiał Matkę Boską trzymającą na rękach Dzieciątka. Na drugiej stronie medalu widniał obraz ukrzyżowanego Chrystusa. Garet założył wisior na szyję i podziękował Bogu. Nie wiedział, czy ktoś zgubił ten medalion, czy może jest to podarek z Niebios? To był znak, jakiego oczekiwał. Poczul, jak jego dusza wypełnia się odwagą. Teraz mógł spokojnie zasnąć.

Tej samej nocy Margaret czekała na ratunek. Jej niewielka izba mieściła się na piętrze dużego kamiennego domostwa. Dziewczyna siedziała na drewnianym zydłu, spoglądając przez otwarte okno. Mimo przejmującego nocnego chłodu, rozwarła na oścież ciężkie okiennice. Jej ciekawość wzrastała z każdą chwilą. Wyczekiwana północ była coraz bliżej.

Na zewnątrz był cicho i spokojnie. Z sąsiednich domów nie dochodził żaden gwar. Widocznie ludzie już dawno spali. Biegająca w dole ulica, również świeciła pustką. Nawet natrętne cichodajki dawno już umknęły do swych siedzib. Tylko strażnik Ingvar chodził tam i z powrotem, pilnując własności swego pana. Jego ciężkie buty rozchlapwały błotne kałuże. Wojownik posłał kobiecie wymowne spojrzenie. Ta jednak nie zareagowała. Była pogrążona w myślach.

Podróż w towarzystwie Ingvara Ospakssona przebiegła spokojnie. Margaret miała swojego konia, więc czuła się swobodnie. Strażnik dobrze jej pilnował. Nocami dzielili jedną izbę w napotkanych przy drodze oberżach. Dziewczyna wiedziała, że Duńczyk chciałby się do niej dobrać. Powstrzymywał go jednak strach przed gniewem Gunnara. Dlatego dał jej spokój.

Gdy jechali wolno traktem, Ingvar wiele mówił o pradawnych wierzeniach Ludzi Północy. Opowiadał o władcy Asgardu, Odynie, który pragnął, pojąć wszelką wiedzę. Dlatego przykuł się do drzewa życia, olbrzymiego jesionu o nazwie Yggdrasil. Poświęcił też jedno oko. Gromowładny Thor był inny. Dzierżył w rękach potężny młot. Ciągle walczył z olbrzymami lub próbował schwytać węża Midgardu, który swym cielskiem oplata cały świat. Ich przeciwieństwem był snujący podstępne intrygi Loki. Doprowadził on do śmierci ukochanego przez wszystkich Bogów Baldura. Jego karą było wygnanie z Wallhali. Margaret nie dawała wiary tym opowieściom. Lubiała jednak ich słuchać, bo były ciekawe.

Londyn ją zaszokował. Nigdy jeszcze nie widziała tak wielkiego miasta. Nie sądziła, że tylu ludzi może żyć w takiej ciasnocie. Z niedowierzaniem obserwowała niekończący się tłok na miejskich ulicach. Patrzyła na rzesze kupców, handlarzy i rzemieślników. Widziała wiele wozów ciągniętych przez konie. Były załadowane różnymi towarami: żywnością, belami kolorowych tkanin oraz drogocennymi ozdobami ze złota, srebra i bursztynu. Nierzadko dostrzegła księdza lub zakonnice. Gwarzące tłumy niechętnie rozstępowały się przed dwójką podróżnych. Bywało tak, że Ingvar musiał użyć siły, aby utorować im drogę. Napierał wtedy koniem na rozwrzeszczanych przechodniów, którzy odskakiwali na boki. Największe wrażenie zrobiły na niej domy zbudowane z kamienia. Dziewczyna wpatrywała się w nie z nieskrywaną fascynacją. Były wysokie i majestatyczne. Zwykle miały dwa, a nawet trzy piętra. Bardzo się różniły od otaczających je zewsząd drewnianych siedzib. Były bardziej trwałe. Miały też wielkie okna, przez które wlatywało światło dnia. Margaret znalazła się w jednym z takich domów. Mieściło się w nim kilkanaście izb. Jedne były większe, inne mniejsze. Domostwo należało do Gunnara Gunnarsona. Świadczyła o tym umieszczona nad wejściem czaszka białego niedźwiedzia. Była podobna do herbu, jaki duński wojownik nosił na tarczy.

Dziewczyna dostała niewielką izbę na piętrze. Była tam prycza, drewniany stółek oraz miska. Było też okno, dzięki któremu mogła spoglądać na ulicę. Sypiała w szerokiej płóciennej koszuli. Przykrywała się swoim futrzanym płaszczem. Udało jej się zachować złoty amulet Thora. Ostro zakończony młot, w razie potrzeby, mógł posłużyć za broń. Jej obowiązkiem było pomaganie w kuchni. Przyrządzała posiłki wespół z trzema innymi służkami: Gertrudą, Brianną i Wivian. Praca nie była zbyt trudna, więc wykonywały ją sprawnie. Wszystkie obawiały się żony pana domu. Była nią Bergthora Grimsdottir, kobieta niebywale wysoka. Wzrostem i posturą dorównywała mężowi. Ręce miała umięśnione niczym kowal uderzający młotem w kowadło. Liczyła trzydzieści wiosen, lecz wyglądała znacznie starzej. Twarz miała naznaczoną bliznami i zmarszczkami. Jej upiorne oczy spoglądały nienawistnie na świat. Prawe oko było czarne, a lewe niebieskie. Włosy miała długie i białe jak świeży śnieg. Odziewała się zwykle w grubą, zieloną suknię. Na olbrzymich stopach nosiła ciężkie, drewniane chodaki. Głos miała cienki i chrypliwy. Budziła postrach wśród służby. Nawet Ingvar wołał jej unikać.

Pani domu od razu znenawidziła Margaret, która przewyższała ją urodą oraz wdziękiem. Uznała, nie bez racji, że młodsza i ładniejsza niewiasta ma się stać kochanką jej męża. Nie zamierzała do tego dopuścić. Postanowiła więc ją zabić.

Raz zepchnęła Margaret ze schodów wiodących na parter. Tylko cudem dziewczynie nic się nie stało. Za drugim razem poszczuła ją psem. Nie wiadomo, co by było, gdyby nie interwencja Ingvara. Kulawy Wiking odpędził brytana kijem. Wtedy to wyjawiał Margaret, dlaczego się tu znalazła. Powiedział, że Gunnar pragnie mieć z nią synów, bo jak dotąd, doczekał się tylko dziewczynek.

Tak też było w istocie. Bergthora dała mu trzy córki. Najstarsza Thora była podobna do matki. Szybko wpadała w gniew. Jej ulubioną rozrywką było bicie służących. Młodsza Freja była inna. Kilka razy w ciągu dnia ogarniał ją obłęd. Kręciła się w kółko i wyła niczym wilk. Często mdlała. Najmłodsza Gudrun była wesola i pogodna. Ciągle się śmiała. Dużo tańczyła i śpiewała. Wnosiła sporo radości w mury ponurego domostwa.

Margaret chciała uciec z tego okropnego miejsca. Nie wiedziała jednak, dokąd mogłaby pójść. Garet z pewnością będzie jej szukał, jeśli przeżyje wojnę. Tak dziewczynie upływały dni. Nie było chwili, co by się nie troskała. Musiała się strzec Bergthory, która nie zrezygnowała ze swych morderczych prób. Dobrze, że Ingvar przyrządzał dla niej posiłki i napitek. Przynajmniej nie groziło jej otrucie.

Pewnego dnia sytuacja uległa zmianie. Gdy po południu wróciła z kuchni, spostrzegła, że na środku izby coś leży. Okiennice były otwarte, więc domyśliła się przyczyny. Po prostu ktoś wrzucił to przez okno. Była ciekawa, cóż to takiego, podeszła więc i podniosła rzecz z podłogi. Przedmiot okazał się zwykłym kamieniem zawiniętym w kawałek wygarbowanej skóry. Na skórze namalowano obrazek. Starannie wykonany różnobarwnymi farbami, przedstawiał okno, przy którym ktoś stał. Z owego okna zwisała lina. Na dole stał człowiek pociągający za jej koniec. Niebo było ciemne. Wymalowano na nim sporo żółtych gwiazd. Pośrodku nieboskłonu umieszczono księżyc. Serce niewiasty zaczęło bić mocniej. Zrozumiała treść obrazka. Domyśliła się, że ktoś spróbuje ją uwolnić. Wiedziała, że człowiek ten przyniesie linę, po której ona będzie musiała zejść. Stanie się to najprawdopodobniej o północy. Margaret zastanawiała się, kto chciał ją uratować. Garet postępowałby bardziej otwarcie. Uznała, że musi być to osoba, która dobrze ją zna. Osoba, która wie, że jest bystra i silna oraz, że nie potrafi pisać ani czytać.

Z zamyślenia wyrwał ją hałas. Wreszcie coś zaczęło się dziać. Wejrzała przez okno. Zobaczyła wyrostka niosącego wiadro. Chłopiec szedł środkiem ulicy, pogwizdując cicho. Nagle odwrócił się w prawo. Jednocześnie wykonał szybki zamach. Zawartość wiadra obryzgała zaskoczonego strażnika. Najpewniej był to mocz lub kał. Młokos zaśmiał się głośno, po czym rzucił się do ucieczki. Ingvar zaklął szpetnie i pognał za nim. Okaleczona noga znacznie go spowalniała.

Wkrótce obaj zniknęli między domami.

Margaret zacisnęła mocno pięści, wpatrując się w mrok. Jeśli ktoś przyjdzie, pomyślała, to właśnie teraz. Nie pomyliła się. Gdy zapinała płaszcz, z ciemności wyłoniła się zakapturzona postać, która podbiegła szybko do okna. Dziewczyna usłyszała, nagłący męski głos.

– Panno Margaret, jesteś tam?

– Tak.

– Rzucę ci linę. Przywiąż ją dobrze i spuść się na dół. Czekam tu na ciebie. Pośpiesz się dziewucho, bo czas nagli.

Nie zdążyła odpowiedzieć. Schwyciła lecącą ku niej linę. Następnie rozejrzała się po izbie. Zastanawiała się, do czego ma ją przywiązać. Nic nie przychodziło jej do głowy. Zaczęła panikować. Nagle wpadła na pewien pomysł. Prycza, na której ostatnio spała, była bardzo ciężka. Stała na czterech drewnianych nóżkach. Dziewczyna nie zastanawiała się dłużej. Uklękła i przywiązała linę do jednej z nich. Potrafiła to zrobić. Miała nadzieję, że węzeł wytrzyma. Uznała też, że prycza okaże się wystarczająco ciężka i nie wypadnie razem z nią. Już miała spuścić się z okna, lecz nie zdążyła. Drzwi do izby rozwarły się gwałtownie. Przekroczyła je Bergthora Grimsdottir. Była zupełnie naga. Jej twarz wykrzywił morderczy grymas. Oczy błyszczały złowrogo. Wyglądała niczym wampir powstały z grobu. W prawej ręce dzierżyła długi nóż służący do patroszenia zwierząt. W lewej dłoni trzymała zapaloną świecę, którą teraz postawiła na progu.

– Wreszcie – rzekła. – Szczeniak zrobił swoje i wywabił Ingvara. Teraz podetnę ci gardło. Twe ciało wrzucę do rzeki. Mój mąż nie będzie zabawiał się z kochanką. Nie pozwolę na to. Gotuj się na śmierć, wieśniaczko. Nie stawiaj oporu, to nie będziesz cierpieć.

Margaret nic nie powiedziała. Jej słowa i tak niczego by nie zmieniły. Pojęła w lot, że przyjdzie jej stoczyć walkę o życie. Wsunęła prawą dłoń do kieszeni płaszcza. Zacisnęła ją na złotym amulecie Thora. Wiedziała, że jest zakończony ostrym i twardym szpikulcem. Nie była całkowicie bezbronna. Musiała to wykorzystać, jeśli chciała żyć. Bergthora postąpiła naprzód i zaatakowała. Jej prawica zatoczyła szeroki łuk. Trzymany przez nią nóż mierzył w gardło rywalki. Margaret cofnęła się o krok. Lewą dłonią złapała opadający nadgarstek. Ostrze

noża zatrzymało się kilka cali od jej twarzy. Błysk obnażonego ostrza omal jej nie sparaliżował. Jeszcze mocniej zacisnęła dłoń. Zaskoczona Dunka nie rezygnowała. Złapała dziewczynę za gardło i przycisnęła ją do ściany. Margaret poczuła ogromny ból. Powietrze ulatywało jej z płuc. W głowie zaczynało się kręcić. Nie poddała się jednak. Musiała działać i to szybko. Wyciągnęła rękę z kieszeni i wzięła, staranny zamach. Wbiła młot w lewą nogę Bergthory. Ostry szpikulec trafił dokładnie tam, gdzie chciała, w mięsień tuż nad kolaniem. Ugodzona kobieta zawyla niczym uwięziony w potrzasku wilk. Nogi jej się rozjechały i siadła na tyłek. Uścisk na gardle Margaret ustąpił nagle. Nóż z brzękiem upadł na podłogę. Dziewczyna nie czekała. Zacisnęła prawą dłoń w pięść i uderzyła Dunkę w twarz. Włożyła w ten cios całą siłę, jaka jej jeszcze została. Rozległ się trzask pękających kości. Bergthora zaległa na podłodze z łomotem walącego się drzewa. Cała izba się zatrzęsała. Stojąca na progu świeca przewróciła się i zgasła. Walka dwóch niewiast została rozstrzygnięta. Margaret oddychała głęboko. Ręce jej się trzęsły. Musiała szybko się opanować. Z wielką ulgą stwierdziła, że jej gardło nie zostało uszkodzone. W palcach prawej ręki również wróciło czucie. Nachyliła się nad nieprzytomną Bergthorą. Dunka miała chrapliwy oddech. Z jej rozbitego nosa ciekła krew. Margaret odwróciła się od niej. Zebrała się w sobie i weszła na okno. Ujęła mocno linę i skoczyła. Węzeł wytrzymał. Błyskawicznie znalazła się na dole. Zanim dotknęła ziemi, ktoś ją złapał. Usłyszała znajomy głos.

– Dobrze dziewczyno, dokonałaś tego. A teraz, szparko.

Wpadli na wąską dróżkę między domami. Pobiegli najszybciej, jak mogli. Usłyszeli dźwięk dobywanego miecza oraz głos.

– Stać! Zatrzymać się! W imieniu króla!

Margaret rozpoznała krzyk Ingvara. Nie zważała na to. Wreszcie była wolna.

Biegli, ile sił w płucach. Starali się nie czynić, zbędnego hałasu. Poruszali się najciszej, jak mogli. W biegu mijali liczne domy oraz zamknięte o tej porze sklepy i kramy. Przemknęli obok oberży. Szerokim łukiem ominęli lumpanor. Prowadził tajemniczy mężczyzna w kapturze. Zręcznie kluczył wąskimi uliczkami miasta. Widać, dobrze znał drogę. Zatrzymali się dopiero przed niewielkim płotkiem odgradzającym cmentarz. Przewodnik otworzył furtkę. W milczeniu przeszli między grobami. Stanęli przed bocznym wejściem do małego, drewnianego kościółka. Drzwi były zamknięte. Nieznajomy sięgnął po klucz i odemknął je.

Weszli do wąskiego pomieszczenia, w którym znajdowała się wydrążona z kamienia misa chrzcielna. Był tam również konfesjonał. Na haku wisiała oliwna lampa. Płomień w jej wnętrzu tlił się jeszcze, dając nieco światła.

– Zaczekaj tu pani – szepnął mężczyzna.

Wziął lampę i zniknął za kolejnymi drzwiami. Przez pewien czas dziewczyna stała pogrążona w ciemnościach. Czekwała jednak cierpliwie. Wkrótce usłyszała głos.

– Chodź niewiasto, wszystko już gotowe.

Margaret wyszła z bocznego pomieszczenia. Znalazła się w niewielkiej świątyni. Rozejrzała się dookoła. Na przedniej ścianie wisiał ukrzyżowany Chrystus. Drewnianą figurę Jezusa przybito do krzyża gwoździami. Głowę Zbawiciela zdobiła korona wykonana z prawdziwych cierni. Ołtarzem był długi stół nakryty białym obrusem. Stały na nim dwa srebrne kielichy. Dziewczyna domyśliła się, że w jednym z nich jest chleb, a w drugim wino. Po bokach stołu rozmieszczono po sześć woskowych świec w metalowych świecznikach. Wszystkie były zapalone. W bocznych ścianach tkwiło osiem pochodni oświetlających wnętrze kościoła. Na słomianej podłodze stały ławy. Było ich dwanaście, podobnie jak świec. Rozstawiono je w dwie nawy po sześć rzędów. Środkiem, ku głównemu wejściu, przebiegał wąski korytarz. Na jednej z ławek leżała gruba zamknięta księga. Było to Pismo Święte.

Margaret podeszła do swego wybawcy, który siedział w pierwszym rzędzie. Przysiadła się do niego. Gdy to uczyniła, kaptur opadł z głowy mężczyzny. Zdumienie dziewczyny było wielkie. Rozpoznała bowiem twarz księdza Tobiasza. Kapłan uśmiechał się do niej.

– Co tu robisz, ojczy? – spytała.

– Od niespełna dwóch niedziel jestem tutaj proboszczem – odparł duchowny.

– Jak to?

– To długa historia. Gdy na dobre rozgorzała wojna, wszyscy opuściliśmy Patington Home. Ja udałem się do rodzinnego Londynu.

– Czy znów usłyszałeś głos, który ci to nakazał?

– Tak. Przybywszy w rodzinne strony, dowiedziałem się, że sędziwy ksiądz Albert zmarł. Parafia została bez kapłana. Biskup przejęty wojenną zawieruchą, najwyraźniej zapomniał o przysłaniu następcy. Wobec tego przejąłem obowiązki duchownego w tym kościele. Nie wszystkim było to w smak, lecz nie mieli innego wyboru.

– Jak dowiedziałeś się o mnie?

– Pewnego dnia poszedłem na podmiejski targ, aby kupić jaja i ser. Gdy wracałem, zobaczyłem duńskiego woja w towarzystwie kobiety. Od razu wiedziałem, że to ty. Tłok na miejskich ulicach, pozwolił mi śledzić was niepostrzeżenie. Dzięki temu wiedziałem, gdzie przebywasz.

– Ty podrzuciłeś mi obrazek?

– Tak. Dobrze, że właściwie go odczytałaś.

– Był starannie namalowany. Szybko odczytałam jego treść.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś bystra. Gdy stałem tam z liną w garści, rozmyślając, jak pozbyć się strażnika, nagle, nie wiadomo skąd, zjawił się chłopiec, który mnie wyręczył.

– Wiem. Nasłała go kobieta, która chciała mnie zabić. Dzięki Bogu, zdołałam się obronić.

– Stojąc przy oknie, słyszałem głośny huk. To był odgłos walki?

– Tak.

– Zabiłaś ją?

– Nie. Gdy odchodziłam, była ogłuszona, lecz żyła.

– Bogu dzięki, że nie musiałaś zabić. Gareth nie miał tyle szczęścia. Musiał pewnie uśmiercić wielu wrogów. Czy słyszałaś coś o jego losie?

Margaret westchnęła ciężko.

– Pojmali nas Wikingowie. Mnie trzymali jako branke. Jego powiedli ze soba.

– Zgwalcili cie?

– Nie.

– Bogu niechaj beda dziki. Mow dalej.

– Naprawde niewiele wiem. Gdy Normanowie zostali pokonani, zwolnili jeńców i odpłyneli. Mnie porwał ten Duńczyk, Gunnar, służący w armii naszego króla. Dlatego znalazłam się w Londynie.

– A co z Garetem?

– Przyszedł po mnie, lecz nie mógł nic zrobić. Nikt nie stanął po jego stronie. Musiał odejść.

– Rozumiem. Słyszałaś o bitwie pod Fulford?

Dziewczyna zamyśliła się. Po chwili odparła.

– Słyszałam, że Wikingowie odnieśli tam zwycięstwo. Zginęło wielu Anglików. Czemu pytasz?

– Poległ tam John Patington.

Niewiasta zasmuciła się. Do oczu napłynęły jej łzy.

– Garet nie zdążył mi powiedzieć. Widzieliśmy się tylko przez chwilę.

– Wśród zabitych znalazł się ktoś jeszcze.

– Kto taki?

– Sir Edgar Hamerton i jego dwaj synowie.

– Szkoda ich. Hamerton był dobrym panem. Nie okradał wieśniaków.

– To prawda. Również dla ciebie był kimś wyjątkowym.

– O czym ty mówisz?

Tobiasz sięgnął do kieszeni swojego habitu. Wydobył z niej złoty pierścień. Następnie wręczył go kobiecie. Margaret oglądała go w ciepłym świetle świec. Ksiądz tymczasem zaczął wyjaśniać.

– Obowiązywała mnie tajemnica. Dlatego przez tyle lat nie mogłem nic powiedzieć. Teraz jednak mogę zrzucić z siebie ten ciężar.

– Więc mów.

– Trzymasz w dłoniach rodowy sygnet Hamertonów. To podarek od Edgara dla ciebie.

– Dla mnie?

– Tak lady Margaret. Edgar Hamerton był twoim prawdziwym ojcem. Jesteś jego nieślubną córką.

Dziewczyna zachłysnęła się oddechem. Wiadomość uderzyła w nią niczym grom. Nie chciała dać temu wiary. Spojrzała w oczy duchownego. Dostrzegła w nich szczerść.

– Jak...? – zdołała wyszeptać.

– Twoja matka nazywała się Dora. Była słynącą z urody wieśniaczką.

– Tak.

– Niegdyś służyła w domu Hamertonów. Młody Edgar był niezwykle krewki. Pożądał wielu kobiet. Żona mu nie wystarczała. Żadna służąca nie uniknęła kontaktu z nim. Podobnie było z twoją matką. Rycerz wielokrotnie zachodził do jej alkowy. Spędzali razem całe noce. Gdy Dora zaszła w ciążę, oddaliła się, aby uniknąć skandalu. Wróciła do rodzinnej wioski. Edgar zawsze jej pomagał. Skrycie posyłał wam pieniądze. Wiem, że tak było. Byłem jego spowiednikiem. Wysłuchałem również twojej matki, zanim odeszła z tego świata.

Margaret była wstrząśnięta. Teraz wszystko zrozumiała. Nigdy nie musiała pracować tak ciężko, jak inne wieśniaczki. W chacie nigdy nie brakowało jadła.

Starczało też na przyodziewek. Nawet po śmierci matki wiodło im się dobrze. Uznała, że przyrodni bracia musieli coś wiedzieć, lecz nie powiedzieli jej. Poczula ukłucie żalu.

– Dlaczego nigdy nie przybył, aby mnie zobaczyć?

– Pewnie bał się skandalu. Nie wiedział, jak to zniesiesz. Zostawił jednak list. Napisał go dla ciebie. Czy chcesz, abym go odczytał?

– Tak.

Tobiasz ponownie sięgnął do kieszeni. Wyjął niewielki zwój pergaminu. Rozwinął go i spojrzał na litery. Następnie zaczął czytać.

„Najdroższa córko. Wybacz, że dowiedziałas się dopiero teraz. Gdybym ci powiedział, to nic dobrego by z tego nie wynikło. Pewnie masz odmienne zdanie, lecz uwierz, że to prawda. Tobiasz ci wszystko wyjaśni.

Dowiedziałem się, że wybrałaś młodego Patingtona. Masz moje błogosławieństwo. Życzę ci, abyś zaznała czystej, nieskazitelnej miłości, której ja nigdy nie doznałem. Gareth to dobry mężczyzna i dzielny rycerz. Niech dobry Bóg wam sprzyja.”

Podpisano Edgar Hamerton

Nastąpiła cisza. Margaret wzięła do ręki list. Postanowiła go zachować, podobnie jak pierścień. Nie znała swojego ojca, lecz te pamiątki miały jej o nim przypominać.

– Pomódlmy się – rzekła.

– Przednia myśl – odparł ksiądz. - Czy mam przynieść świętą księgę?

– Nie trzeba. Uczyńmy to własnymi słowami.

– Dobrze.

Obydwoje uklękli i złożyli dłonie. Po krótkiej chwili pograżyli się w żarliwej modlitwie. Jej treść poznał tylko Bóg.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Był to dzień 14 października 1066 roku. Niebo było prawie bezchmurne. Słońce świeciło mocno jak na tę porę roku. Mocny wiatr owiewał twarze tysięcy ludzi zgromadzonych na polu pod Hastings. Wojowie ci wiedzieli, że niebawem stoczą śmiertelny bój, który może przesądzić o losach całego kraju.

Książę Wilhelm zgrupował swe siły w trzech formacjach. Pierwsi stali łucznicy. Ciężcy nałożyli już na grube łuczyska. W kołczanach mieli dziesiątki strzał. Łuki były gotowe do strzału. Czekano tylko na rozkaz.

Za łucznikami stała najliczniejsza formacja. Była to piechota. W jej skład wchodził rycerze oraz najemnicy z różnych krajów Europy. Szeregi piechurów rozciągały się na kilkaset metrów. Tworzyły kolumnę długą, lecz wąską, głęboką na kilka szeregów. Za pieszymi zgromadziła się konnica. Tworzyli ją zamożni wasale oraz straż przyboczna władcy. Jeźdźcy stanowili chlubę wojsk Normandii. Byli najsprawniejsi w boju. Ich uzbrojenie budziło powszechny podziw. Na czele elitarniej formacji stał sam Wilhelm.

Garet był w gromadzie pieszych wojowników. Miał na sobie kolczugę oraz hełm, więc ustawiono go w pierwszym szeregu. W duszy rycerza narastały emocje. Jako urodzony wojownik cieszył się, że wreszcie będzie mógł sprawdzić się w bitwie. Chciał zdobyć sławę i bogactwa. Martwił się jednak o Margaret. Wiedział, że jeśli zginie, to najprawdopodobniej nikt dziewczynie nie pomoże. Tylko on mógł ją odnaleźć. Żałował, że nie ma z nim ojca. Jego wieloletnie doświadczenie bardzo by mu się teraz przydało. Pomyślał też o swoim dawnym przodku Tomaszu Walecznym. Mąż ów walczył z Duńczykami w czasach Alfreda Wielkiego. Uznał, że jeżeli chce przeżyć, musi dziś bić się, jak on..

Spojrzał ponad głowy łuczników na oddalone o niecałe sto pięćdziesiąt metrów wzgórze Senlac. Na tym rozległym wzniesieniu stała armia króla Harolda. Anglicy utworzyli zwartą kolumnę rozciągającą się na całej długości wzgórza. Byli

gotowi na odparcie każdego ataku. Ich hełmy i miecze oraz dwuręczne topory błyszczały w porannym słońcu.

W centrum pierwszego szeregu, pod swoim sztandarem, stał Harold. W rękach dzierżył miecz i tarczę. Na głowie miał pozłacany hełm. Wokół niego stali najprzedniejsi wojownicy. Byli wśród nich dwaj królewscy bracia. Po prawej stronie monarchy stał zwałisty mężczyzna z toporem w dłoniach. Był to Gunnar Gunnarsson.

Patington usłyszał jakiś hałas. Za jego plecami coś się działo. Odwrócił się. Zobaczył mężczyznę w hełmie i kolczudze, który przeciskał się do przodu przez tylne szeregi. Osobnik czynił głośny rumor, wypatrując przy tym kogoś. Gareth od razu go rozpoznał. Był to Rajmund ze Shrewsbury. Tę gębę trudno było zapomnieć. Mąż Aldy zatrzymał się przed Patingtonem. Głupkowaty uśmiezek nie schodził mu z twarzy.

– Witaj krewniaku – powiedział. – Wygląda na to, że będę strzegł twoich pleców.

Gareta zatkalo. Nie chciał mieć za plecami człowieka, któremu nigdy wybił dwa zęby. Już sposobił się zaprotestować, lecz Rajmund go uprzedził.

– Nie obawiaj się krewniaku. Przywykłem do braku przednich zębów. Nie chowam już do ciebie urazy.

Garet mu nie wierzył. Postanowił jednak zmienić temat.

– Jak mnie znalazłeś? – spytał.

– To nie było trudne. Wszyscy o tobie mówią. Spotkałeś się przecież z Wilhelmem.

– Zgadza się.

– Wysłałem Aldę i dzieci do Patington Home.

– Dotarły bezpiecznie.

– To dobrze.

Przerwał im gromki głos.

– Cicho tam, księżę nadjeżdża.

Wszyscy spojrzeli na przyszłe pole walki. Władca Normandii nadjechał w otoczeniu dziesięciu jeźdźców. Głowę miał odsłoniętą. Jego czerwony płaszcz, przyozdobiony w zielone wzory, łopotał na wietrze. Wilhelm zatrzymał konia przodem do swej armii. Następnie stanął w strzemionach i rozpoczął przemowę. Mówił o odwadze, prawości i świętym prawie do tronu. Na koniec stwierdził, że trzeba odnieść zwycięstwo, ponieważ odwrotu nie ma. Gdy skończył, rozległy się wiwaty. Ludzie podnosili ręce i darli się w niebogłosey. Stojący po prawicy Gareta woj, wykrzyknął coś w dziwacznym języku. Tymczasem księżę dał sygnał łucznikom i pospiesznie odjechał. Wyczekiwana bitwa wreszcie się rozpoczęła.

Łucznicy wystrzelili pierwszą salwę strzał. Pociski wzbiły się w niebo, zataczając szeroki łuk w powietrzu. Następnie opadły w dół, prosto na Anglików. Ci, osłonili się tarczami. Setki metalowych grotów wbiło się w drewno, nie czyniąc większych szkód. Osłona stworzona przez ludzi Harolda okazała się szczelna. Po pierwszej salwie przyszła kolej na drugą. Kilkakrotnie łucznicy napinali cięciwy i wypuszczali strzały. Wrogowie pozostali niemal nietknięci. Jedynie w tylnych szeregach groty poczyniły niewielkie spustoszenie. Kilkunastu angielskich chłopów odniosło rany, niektórzy śmiertelne.

Nagle rozległ się dźwięk rogu. Łucznicy najęci przez księcia Wilhelma zaprzestali ostrzału i rozstąpili się. Teraz nadeszła kolej pieszego rycerstwa. Gareth wyciągnął miecz z pochwy. Damasceńska stal zaśniła w słońcu. Palce lewej dłoni zacisnął na uchwycie tarczy. Jej lewą krawędź zetknął z tarczą sąsiada. Pozostali również łączyli tarcze. Nad głową Patingtona pojawiła się osłona. Stojący z tyłu wojownicy musieli ochraniać tych, którzy walczyli z przodu. Tak właśnie tworzył się mur z tarcz. Atak mógł się rozpocząć.

Długa kolumna pieszych ruszyła naprzód. Z początku ludzie szli wolno. Gdy zbliżyli się do wzgórza, przyspieszyli. Teraz biegli lekkim truchtem. Wielu dodawało sobie odwagi głośnym krzykiem. Wkrótce nadleciały pierwsze strzały. Gareth poczuł, jak jedna z nich wbiła się w jego tarczę. Zignorował to i biegł dalej. Wiedział, że ostrzał niedługo ustanie. Król Harold nie miał wielu łuczników. Władca ten stawiał głównie na silną piechotę.

Wojownicy Wilhelma dotarli do stóp wzgórza. Natychmiast rozpoczęli mozolną wspinaczkę. Mimo słonecznego dnia, podłoże było grząskie i śliskie. Nogi atakujących ślizgały się. Być może przed świtem ktoś przebiegły nakazał zrosić wzgórze wodą. Stojący na szczycie Anglicy nie ułatwiali wrogom zadania. Ciskali w nich włóczniami oraz toporami. Ciężkie ostrza spadały na wspinających się Normandczyków, siejąc pośród nich śmierć. Mimo to, dzielni piechurzy przybliżali się do celu. Garet słyszał przeraźliwe wrzaski, od których krew marzła w żyłach, a żołądek kurczył się gwałtownie. Ogarnęła go trwoga, lecz nie spanikował. Odkrył w sobie ogromne pokłady bojowej odwagi. Szybko posuwał się naprzód. Dostrzegł włócznię mknącą wprost na niego. Zasłonił się tarczą. Poczł głuche uderzenie, od którego zatoczył się w tył. Włócznia odbiła się od metalowej krawędzi i spadła na ziemię. Następnie nadleciał wirujący w powietrzu topór, który ugrzązł w tarczy Rajmunda ze Shrewsbury. Gdyby trafił w hełm Patingtona, z pewnością rozłupałby mu czaszkę. Nie było czasu ni miejsca na podziękowania. Spoceni Normandczycy dobrnęli wreszcie do szczytu wzgórza. Tam napotkali przeciwników, którzy już na nich czekali. Poszły w ruch włócznie, topory i miecze. Tarcze pękały z głośnym trzaskiem. Rozpętała się krwawa jatka. Garet przyjął na tarczę silny cios miecza. Poczł, jak żelazo zagłębia się w drewnie. Po pierwszym ciosie nadeszły następne. Jego tarcza na razie wytrzymała. Patington odpowiadał tym samym. Zaciekle uderzał o tarczę przeciwnika, chcąc ją rozrąbać lub odtrącić. Dokoła panował potworny ścisk. Nie było miejsca na popisy szermiercze. Ludzie z pierwszych szeregów naciskali na siebie. Próbowali się wzajemnie obalić lub przepchnąć. Gdy znaleźli odrobinę miejsca, robili użytek z własnej broni.

Garet napierał na wroga, chcąc go przewrócić. Ten jednak był silny i nie pozwolił na to. Splunął Patingtonowi w twarz. Młodzian w porę odwrócił głowę, dzięki czemu uniknął oplucia. W odpowiedzi uderzył przeciwnika głową, rozcinając mu brew nad prawym okiem. Twarz mężczyzny zalała się krwią. Mimo to, nie ustępował.

Nagle rozległ się przeraźliwy wrzask. Jeden z ludzi króla zwałił się na ziemię. Rycerz walczący po prawicy Garetu zadał mu zdradzieckie pchnięcie w krocze. Wojownik ten wykorzystując nadarzącą się sposobność, odwrócił się i wykonał zręczne cięcie. Jego klinga przebiła się przez pierścienie kolczugi, rozcinając przedramię człowieka walczącego z Patingtonem. Ranny mężczyzna krzyknął. Jego lewa ręka gwałtownie osłabła. Opuścił tarczę, odsłaniając się. Garet tylko na to czekał. Dwukrotnie uderzył wroga w twarz ręką miecza. Złamał mu nos i wybił sporo zębów. Następnie odepchnął go mocno. Zamroczony woj osunął się na ziemię.

Młody Patington nie zdążył nacieszyć się zwycięstwem. Kolejny przeciwnik zaatakował go włócznią. Jej cios przebił tarczę na wylot, lecz nie sięgnął kolczugi rycerza. Garet odpowiedział cięciem na głowę. Jego miecz ześlizgnął się po hełmie rywala. Wróg wyszarpnął włócznię z tarczy i uderzył ponownie. Dziedzic rodu Patingtonów odtrącił stalowy grot klingą miecza. Następnie, wykonując pchnięcie, trafił w pierś wroga. Kolczuga wytrzymała cios, lecz odpadło z niej kilka metalowych pierścieni.

Ponownie rozbrzmiał dźwięk rogu. Był to sygnał do odwrotu. Normandczycy zaczęli schodzić ze wzgórza. Oderwali się od Anglików, którzy im urągali, wykrzykując przekleństwa i obelgi. Garet cofał się z wolna. Włóczyk nie rezygnował. Ponownie na niego natarł. Patington zasłonił się tarczą. Równocześnie ciął mieczem po rękach przeciwnika. Odrąbał mu dwa palce lewej dłoni. Zdumiony wojownik syknął i oddalił się. Zaskakujący cios nadszedł z góry. Garet w ostatniej chwili uniósł tarczę. Uderzenie było tak silne, że omal nie upadł. Tarcza zatrzymała ostrze młota bojowego, lecz rozpadła się zupełnie. Rycerz puścił ją, cofając się nadal. Wreszcie znalazł się poza zasięgiem wrogów. Schodził ze wzgórza, oddychając głęboko. Teraz mógł odpocząć nieco.

Atak piechoty nie powiódł się. Najemnicy oraz rycerze ponieśli spore straty. Wzgórze Senlac pozostało niezdojbyte. Wojsko Harolda wydawało się nietknięte. Ludzie króla stali dumnie na szczycie wzniesienia, prężąc mięśnie. Powtórnie zagrały rogi. Nadeszła kolej wojowników konnych. Największa siła księstwa Normandii ruszyła do walki. Konnica rozwinęła się w szeroką ławę. Olbrzymie rumaki ruszyły z kopyta. Zwierzęta gnały przez trawiaste pole, nabierając rozpędu. Jeźdźcy dzierżyli w dłoniach długie włócznie lub kopie. Na czele kolumny jechał sam Wilhelm dosiadający białego konia. Władca był rozpoznawalny po charakterystycznym czerwonym płaszczu, który narzucił na zbroję. Książę znał wartość swoich oddziałów. Mniemał, że jego wasale są niepokonani. Tym razem jednak popełnił poważny błąd. Nie przewidział, że w zaistniałej sytuacji samotny atak konnego hufca jest skazany na niepowodzenie.

Rycerze z impetem wjeżdżali na wzgórze. Niełatwo im było piąć się w górę. Natknęli się bowiem na ciała poległych piechurów. Rozpędzone zwierzęta potykały się o nie. Kopyta rumaków ślizgały się w kałużach przelanej krwi. Kilkudziesięciu jeźdźców zostało strąconych z siodeł. Angliki ciskali w nich włóczniami. Wypuszczali też pojedyncze strzały ze swoich łuków. Siła ataku

zmniejszyła się znacząco. Ci, którzy pierwsi dotarli na szczyt, stali się łatwym łupem dla angielskich mieczy i toporów. Wojownicy króla bez pardonu uśmiercali ludzi oraz konie. Broń w ich dłoniach śmigła z zabójczą precyzją. Kwikom i jękom nie było końca.

Monarcha Harold znajdował się w pierwszy szeregu. Jego miecz był czerwony od krwi. Właśnie odpierał ataki jeźdźca, który próbował przebić go lancą. Stojący obok Gunnar Gunnarsson, jednym cięciem swego topora powalił dwóch wrogów. Dzięki temu wybawił króla z opresji. Zamaszystym kopniakiem obalił też konia. Ryczał przy tym, niczym oszalały z wściekłości berserk.

W innym miejscu bitwy książę Wilhelm miał kłopoty. Nie zdołał dotrzeć na szczyt wzgórza. Jego ogier poślizgnął się i legł na ziemi. Władca Normandii zniknął w tłumie wasali. W każdej chwili mógł zostać stratowany. Atak zupełnie się załamał. Wśród Normandczyków powstało zamieszanie. Stojących z tyłu pieszych oraz łuczników ogarnęła trwoga. Zaczęli przekrzykiwać się nawzajem.

– Książę poległ, ratujmy się, póki czas!

– Uchodźmy, kto w Boga wierzy!

– Zostać na miejscach i milczeć!

Pierwsi spanikowali Bretończycy, którzy rzucili się do ucieczki. Widząc to, kilkuset wojów króla rozłamało szyk i ruszyło za nimi w pogoń. Pozostali nie poszli za nimi. Harold zdołał zapanować nad większością swej armii. Okazało się jednak, że Wilhelm nie zginął. Ponadto, nie został nawet raniony. Książę w lot pojął groźbę sytuacji. Natychmiast wymienił konia i pognał w ślad za uciekającymi. Zastąpił im drogę, zrywając z głowy hełm. Następnie gromkim głosem zawołał.

– Patrzcie! Żyję i z Bożą pomocą wygram. Opamiętajcie się, cóż za szaleństwo w was wstąpiło?!

Podobnie postąpili hrabia Eustachy z Boulogne oraz biskup Odo z Bayeux. Obydwaj dostojnicy jeździli po polu bitwy, uspokajając przerażonych ludzi. Widmo rychłej porażki zostało zażegnane.

Pokrzepieni na duchu Bretończycy zawrócili, aby stanąć ponownie do walki. Skierowali się przeciwko tym, którzy ich ścigali. Sytuacja grupy Anglików stała się katastrofalna. Wkrótce zostali całkowicie otoczeni przez piechotę oraz

wojowników konnych. Szybko wycięto ich w pień. Stojący na wzgórzu król nie przybył z pomocą. Wiedział bowiem, że gdyby to uczynił, poniósłby sromotną klęskę.

Garet obserwował wszystko z narastającym niepokojem. Póki co, bitwa nie układała się po myśli Normandczyków. Ludzie księcia Wilhelma ponieśli znaczne straty. Wielu najemników zamierzało opuścić plac boju. Na razie jednak wszyscy czekali. Nikt nie chciał zostać tchórzem tak, jak Bretończycy. Nagle w gromadę odpoczywających wtargnął rozszalały koń. Z zady zwierzęcia sterczało drzewce włóczni. Niemal wszyscy piechurzy zdążyli uskoczyć przed rozjuszonym rumakiem. Jedynym pechowcem był Rajmund ze Shrewsbury, który został stratowany. Kopyto wierzchowca roztrzaskało mu głowę. Biedak zginął na miejscu. Młody Patington był wstrząśnięty gwałtownością zdarzenia. Po chwili uświadomił sobie, że jego siostra Alda, właśnie została wdową.

Nastąpiła przerwa w walce. Stojący na wzgórzu Anglicy wznosili tryumfalne okrzyki. Najwidoczniej uwierzyli w zwycięstwo. Uznali, że zdołają odpierać ataki wroga do czasu nadejścia spodziewanych posiłków. W obozie Normandczyków panował gorszy nastrój. Książę Wilhelm naradzał się ze swoimi dworzanami. Konnica stała w gotowości do kolejnej szarży. Piechurzy rozsiedli się na trawie, popijając przyniesioną im przez służebne niewiasty wodę lub rozcieńczone piwo. Garet rozmawiał z tajemniczym towarzyszem broni, z którym przed chwilą walczył ramię w ramię. Mężczyzna ów był weteranem wielu starć. Wyglądał na mniej więcej czterdzieści wiosen. Jego kasztanowe włosy były już przyprószone siwizną. Zarost miał krótko przystrzyżony. Twarz opaloną słońcem. Spoglądał na świat dużymi piwnymi oczami. Obaj wojownicy posługiwali się mową Franków. Patington znał ten język dzięki naukom księdza Tobiasza. Przysiadł obok towarzysza i rzekł.

– Jestem Garet Patington z Northumbrii, dzięki za pomoc w czasie boju.

– Jam jest Dobiesław z Płocka – odparł nieznajomy. – Przyjaciele wołają na mnie Dobek.

– Z Płocka?

– Tak. Płock leży w krainie mazowieckiej, która jest częścią ziem polskich.

– Zatem, jesteś Słowianinem?

– Owszem.

– Więc co tutaj robisz? Przecie to nie twoja wojna.

– Musiałem uchodzić ze swego kraju.

– Czemuż to?

– Przez wiele lat służyłem księciu Kazimierzowi. Władca ten odbudował Polskę. Zyskał poparcie niemieckiego cesarza oraz księcia ruskiego. Pozostawił po sobie synów: Bolesława i Władysława. Mój ród poparł tego drugiego. Władcą obrano jednak pierwszego. Nie mogłem ukryć wzburzenia. Otwarciem sprzeciwiłem się temu. Dlatego musiałem uciekać, zostawiając żonę i syna pod opieką starszego brata. Od tej pory tułam się po świecie. Księżę Polski Bolesław ma wielkie ambicje. Pożąda królewskiej korony, którą najpewniej zdobędzie. Przez zwolenników nazywany jest Śmiałym lub Szczodrym. W rzeczywistości jednak, to diabeł wcielony. Ci, którzy go poparli, kiedyś się o tym przekonają.

– Ciekawa historia przyjacielu. Jak trafiłeś tutaj?

– Podróżowałem przez Niemcy i Francję. Często wynajmowano mnie do eskorty. Czasami walczyłem ze zbójcami. Dwukrotnie brałem udział w turnieju, niewiele na tym zyskując. Gdy usłyszałem, że Wilhelm normandzki zbiera najemników, postanowiłem się przyłączyć.

– Chciałbyś wrócić do swojego kraju?

– Tak.

– Kiedy?

– To się obaczy. Jeżeli Bolesław zemrze lub utraci poparcie możnych, będę mógł wracać.

– Jakie mamy szanse?

– To zależy od ataku, który za chwilę nastąpi. Jeśli nie pokonamy ich dziś, to jutro może być za późno. Harold otrzyma posiłki i będziemy musieli uciekać.

- A jak Wilhelm się nie cofnie?
- Wtedy najpewniej zginie, a my razem z nim.
- Nie martwi cię to?
- Martwi, lecz cóż począć. Taki los najemnika.

Rozmowa została nagle przerwana. Rozbrzmiał głośny dźwięk wielu rogów. Cała armia Wilhelma poderwała się na nogi. Ludzie pospiesznie zajmowali pozycje, przygotowując się do kolejnego ataku. Jeszcze o tym nie wiadomo, lecz zbliżał się decydujący moment.

Książę Normandii zdecydował się zaatakować wszystkimi dostępnymi siłami. Trzy formacje wojska miały równocześnie ruszyć do boju. Postanowiono, że oddziały konne oraz piesze będą walczyć razem. Na flankach ustawiono łuczników. Ich zadaniem było ciągle ostrzeliwanie pozycji zajmowanych przez wroga. Gareth ponownie stał w pierwszej linii zwartej pieszej kolumny. Szeregi były teraz znacznie krótsze i głębsze. Po prawicy Patingtona stał Dobiesław z Płocka. Lewy bok rycerza osłaniał burgundzki najemnik o imieniu Arno. Z tyłu znajdował się jakiś młody Normandczyk. Gareth spojrzął na sztandar powiewający na szczycie wzgórza. Pod nim stali najlepsi gwardziści króla; jego najwierniejsza drużyna. Sam monarcha stał dumnie na ich czele. Patington dostrzegł również Gunnara Gunnarssona, z toporem i tarczą w rękach. Odruchowo zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Tym razem naprawdę będzie ciężko, pomyślał.

Po obu stronach normandzkiej piechoty zgromadziły się oddziały konne. Jednym z nich osobiście dowodził Wilhelm. Zgrupowani na flankach łucznicy rozpoczęli już ostrzał. Pierwsza fala śmiercionośnych strzał przecięła powietrze, opadając na ludzi Harolda. Niektóre stalowe groty przedarły się przez osłonę z tarcz. Rozległy się wrzaski. Zagrały rogi. Atak się rozpoczął.

Jeźdźcy wyprzedzili piechurów. Oni pierwsi rozpoczęli krwawe zmagania. W ich poczynaniach nie było już brawury. Tym razem ostrożnie podjechali do nieprzyjaciół. Na chwilę przed zwarciem książę rozpedził swego konia. Najechał na szereg wrogów, obalając dwóch wojów. Kolejnych dwóch przeciwników powalił ciosami miecza. Jego klinga śmigła z zabójczą

skutecznością. Wkrótce do boju dołączyła piechota. Zacięta walka rozgorzała na dobre.

Młody Patington stanął twarzą w twarz z Gunnarem Gunnarssonem. Potężny cios topora przyjął na tarczę. Odczuł i usłyszał, jak zaostriżony kawał metalu wgryza się w lipowe drewno. Odpowiedział zamaszystym cięciem miecza. Jego damasceńska klinga również utkwiała w tarczy przeciwnika. Wojownicy z ogromną siłą naporli na siebie. Usta Duńczyka wykrzywiły się. W jego oczach pojawił się błysk rozpoznania.

– To, ty – wystękał.

Następnie jeszcze bardziej naprężył mięśnie. Gareth nie odpowiedział. Nic by to nie dało. Mocno zapał się stopami, skupiając wszystkie siły na rywalu. Duńczyk był wyższy i nieco masywniejszy, lecz młody Anglik również nie należał do ułomków. Tak więc blokowali się i przepychali wzajemnie. Dookoła było tak tłoczno, że ledwie mogli oddychać. Nad głowami walczących śmigły śmiercionośne strzały. Jedna z nich utkwiała w helmie Gunnara. Rozjuszony Wiking nie zaprzętał sobie tym głowy. Wreszcie wyrwał swój topór z tarczy Patingtona. Gareth także zdołał uwolnić swój miecz.

Tymczasem walczący obok Dobek z Płocka miał spore kłopoty. Przyszło mu stanąć naprzeciw samego króla. Polak zadał zdradzieckie pchnięcie spod własnej tarczy, mierząc w krocze. Liczył na to, że sięgnie ono celu. Okazało się, że popełnił błąd. Monarcha przewidział ten ruch i zdążył się osłonić. Miecz Dobka utkwiał w drewnie. Rycerz nie mógł go wyciągnąć. Było na to zbyt tłoczno. Poczł się bezradny, wystawiony na pastwę wroga. Harold w mig pojął, co się stało. Na jego ustach pojawił się tryumfalny uśmiezek. Zaczł uderzać mieczem w tarczę przeciwnika, chcąc ją rozłupać. Wiedział dobrze, że to tylko kwestia czasu. Po pięciu razach tarcza Polaka była w rozsypce. Wszędzie dokoła fruwały drzazgi. Dobek szykował się na śmierć. Władca Anglii uniósł wysoko klingę miecza, zbierając siły. Pragnął zadać cios, który ostatecznie rozrąbie drewno i powali wroga. Czyniąc to, na chwilę spojrzł w niebo. Wtedy, nie wiadomo skąd, nadleciała strzała. Nikt nigdy się nie dowiedział, który łucznik ją wystrzelił. Zatoczyła szeroki łuk w powietrzu, opadając gwałtownie w dół. Jej metalowy grot odnalazł cel. Spadający pocisk wbił się w prawe oko króla, wchodząc głęboko w ciało. Harold zachwiał się gwałtownie i wypuścił miecz. Czyjeś ręce natychmiast złapały monarchę, wciągając go w głąb szyków. Rozległy się przepełnione trwogą okrzyki. Nastalo potworne zamieszanie.

Gunnar szykował się właśnie do zadania kolejnego ciosu. Młody Patington już nadstawił tarczę, aby odeprzeć atak. Nagle rozległ się krzyk. Gareth zerknął w prawo i zamarł. Ujrzał chwiejącego się, zalanego krwią Harolda. Prawe oko króla przeszła strzała. Władca został szybko pociągnięty w tył. Jego ludzie go osłonili. Wśród Anglików narastała panika. Zaczęli rozluźniać szyki. Normandczycy wyczuli swoją szansę i ruszyli naprzód. Gunnar, nie czekając, wbił topór w tarczę Patingtona. Następnie odwrócił się i naparł na wystraszony tłum. Wkrótce zniknął pośród angielskich szeregów. Zapewne myślał o ucieczce. Wiedział doskonale, że król otrzymał śmiertelną ranę. Gareth porzucił roztrzaskaną tarczę z tkwiącym w niej ostrzem topora, po czym rozejrzał się dokoła. Błyskawicznie ocenił sytuację. Normandczycy rozerwali angielski mur tarcz. Wojownicy Harolda uciekali w popłochu. Tylko najwierniejsi z wiernych pozostali pod królewskim sztandarem. Dwaj bracia monarchy zagrzewali ich do ostatecznego boju. Cudem ocalony Dobiesław z Płocka ruszył w stronę sztandaru. Za nim poszło wielu innych. Ostatni Rycerze króla mieli polec honorową śmiercią. Gareth nie przyłączył się do tego ataku. Miał własne plany. Musiał ścigać człowieka, który zagrażał najbliższej mu osobie.

Z łatwością wtopił się w tłum uchodzących ziomków. Spanikowani Anglicy zbiegali ze stromej części wzgórza. Tracili przy tym równowagę, zjeżdżając w dół na własnych tyłkach. Wielu odniosło obrażenia, wpadając, jeden na drugiego. Niektórzy jednak byli mądrzejsi. Przeszli wąskim przesmykiem na sąsiedni pagórek, z którego można było spokojnie zejść. Patington był wśród nich. Schodząc z łagodnego zbocza, ujrzał setki poddenerwowanych koni. Zwierzęta pasły się na pobliskiej łące. Ci, którzy je pilnowali, już dawno uciekli. Gromady mężczyzn podbiegły do czekających rumaków. Spłoszone konie nie dały się łatwo okiełznać. Prychały, odskakiwały i kopały. Ludzi było tak wielu, że Gareth zastanawiał się, czy znajdzie odpowiedniego wierzchowca. Ciągle przepychał się w gęstniejącym tłoku. Tym razem sprzyjało mu szczęście. Nagle zauważył swojego konia. Grom rżał głośno i stawiał dęby. Jego przednie nogi wierzgały w powietrzu. Dwóch ludzi usiłowało go dosiąść. Obaj nie mieli zbroi. Najpewniej byli to chłopcy z frydu. Gareth podbiegł do nich.

– To mój koń – rzekł. – Zostawcie go.

Wieśniacy, ujrawszy rycerza, odstąpili i oddalili się. Patington pogłaskał szyję swego rumaka. Zwinnie wskoczył na jego grzbiet. Zwierzę go rozpoznało i uspokoiło się. Młody wojownik rozglądał się dokoła, wypatrując Gunnara Gunnarssona. Wiedział, że w tak liczonym tłumie, trudno mu będzie go dostrzec. Przeciskając się przez ciżbę, uznał, że jest to prawie niemożliwe. Gdy

niemal stracił już nadzieję, zoczył w oddali hełm, z którego sterczała strzała. Na jego wargach pojawił się uśmiech. Tego dnia szczęście mu sprzyjało. Ponaglił wierzchowca ruchem łydki. Rozpoczął się pościg.

Zapełniona końmi łąka szybko opustoszała. Anglicy rozjeżdżali się w różne strony. Każdy chciał umknąć jak najdalej od miejsca dotkliwej porażki. Ludzie obawiali się oddziałów pościgowych. Jedynie dzielni housecarls, zebrani pod królewskim sztandarem, nadal toczyli rozpaczliwy bój. Gdy zostawili za sobą tłok, Garet rozpedził konia do galopu. Następnie przyłgnął do szyi zwierzęcia, zmniejszając opór powietrza. Grom był silnym, dobrze umięśnionym ogierem. Uwielbiał ścigać się z innymi końmi. Dlatego błyskawicznie przeszedł w cwał. Młody Patington wiedział, że już niedługo dopędzi wroga. Dzieląca ich odległość szybko się zmniejszała.

Uciekający Duńczyk nie mógł nic na to poradzić. Wikingowie byli nieustraszonymi i najlepszymi w świecie wojownikami. Udowodnili to po wielokroć, zarówno na morzu, jak i na lądzie. Nieczęsto przegrywali. Z reguły odnosili miażdżące zwycięstwa. Mieli tylko jedną poważną słabość. Nie czuli się swobodnie na końskich grzbietach. Szczególnie wtedy, gdy byli zmuszeni do jazdy na oklep.

Zdesperowany Gunnar wyrwał sterczącą z hełmu strzałą i rzucił ją za siebie. Pocisk nie poczynił żadnej szkody. Grom nawet go nie zauważył. Rozpedzony ciągle gnał przed siebie. Gunnarsson poczuł na sobie oddech ścigającego. Ponaglił wierzchowca do jeszcze szybszego biegu. Klacz usłuchała, lecz była zbyt wyczerpana. Przeskakując nad szerokim rowem, potknęła się i upadła. Wiking wywinął kozła w powietrzu i gruchnął o ziemię. Szybko się jednak pozbierał, dobywając miecza. Świsnął ostrzem przed oczami nadjeżdżającego Groma. Koń wystraszył się i stanął dęba. Patington nie zdołał się utrzymać i spadł. Leżąc na ziemi, ujrzał Gunnara. Biegł w jego stronę z mieczem uniesionym nad głową. Człowiek Północy pragnął zakończyć walkę jednym pewnym ciosem. Garet wiedział, że nie zdąży wstać i dobyć własnej broni. Zrobił jedyną rzecz, jaka mu przyszła na myśl. Przetoczył się szybko, podcinając Duńczykowi nogi. Zaskoczony woj upadł na trawę. Anglik dobrze wykorzystał błąd przeciwnika. Podniósł się i obnażył damasceńską klingę. Teraz obaj krążyli wokół siebie, mierząc się wzrokiem. Wypatrywali najmniejszych oznak wahania. Żaden nie chciał atakować pierwszy. Wiedzieli, że najmniejsza pomyłka może oznaczać śmierć. Do zmierzchu było jeszcze daleko. Uznali więc, że mają mnóstwo czasu. Po długiej chwili

Gunnar przemówił.

– Zanim zginiesz Angliku, to wiedz, że nim opuścę ten kraj, poigram sobie z twoją kobietą. Gdy mi się znudzi, podaruję jej ostatni oddech Thorowi w ofierze krwawego orła.

– Jesteś przecie chrześcijaninem – odparł Patington.

– Nie. Nasi władcy przyjęli religię Białego Chrystusa, lecz prawdziwi Wikingowie pozostali wierni pradawnym Bogom Północy. To od nich czerpiemy siłę.

– Skoro tak, to niebawem spotka cię wielki zaszczyt.

– Jaki zaszczyt młodziku?

– Wkrótce wyruszysz do Wallhali. Gdy tam trafisz, rzeknij biesiadującym wojownikom, kto cię przysłał.

Po tych słowach Duńczyk ryknął wściekle i zaatakował. Wyprowadzał szybkie i mocne cięcia na głowę, korpus oraz nogi. Stosował przy tym różne kombinacje. Gareth z wielką wprawą blokował te ciosy, lecz Wiking nie ustępował. Nacierał coraz mocniej i szybciej. Patington niespodziewanie uskokzył w bok. Dzięki temu zyskał chwilę oddechu. Natychmiast przystąpił do kontrataku. Jego miecz śmigał błyskawicznie. Młody Anglik zastosował technikę, której wyuczył się pod okiem ojca. Zadawał pchnięcia, celując głównie w pierś i brzuch oraz w głowę przeciwnika. Gunnar cofał się zaskoczony, lecz nie popełnił błędu. Parował wszystkie ciosy własnym mieczem. Wreszcie obaj odskoczyli od siebie. Byli już zmęczeni. Ponownie zaczęli krążyć. Oddychali głęboko, zbierając siły. Po krótkiej przerwie bój został wznowiony. Miecze zderzyły się ze sobą ponad głowami walczących. Wojownicy zwarli się po raz wtóry. Mięśnie ich ramion napięły się do granic możliwości. Gareth zacisnął z wysiłku zęby. Jego rywal miał krzepę niedźwiedzia. Młody Anglik uniósł lawą stopę, chcąc kopnąć przeciwnika w kolano. Duńczyk wyczuł ten manewr i odepchnął go. Zdumiony Patington usiadł na ziemi. Szybko jednak podkurczył nogi i poderwał się. Zdołał przynajmniej po części zablokować cięcie wyprowadzone przez Gunnarsona. Dzięki temu znacznie spowolnił impet ciosu. Poczł głucho uderzenie w lewy bok czaszki. Usłyszał dźwięk pękającego hełmu. Na jego lewy policzek spłynęła niewielka strużka krwi. Gunnar wydał okrzyk tryumfu i ponowił atak. Zadawane przez niego pchnięcia oraz zamasyte cięcia były groźniejsze od wcześniejszych. Duńczyk

wykorzystywał wszystkie swoje siły, jakie mu jeszcze pozostały. Przeczuwał, że niebawem powali wroga. Garet bronił się rozpaczliwie. Jego miecz odpierał wszystkie ciosy. Skuteczność obrony zawdzięczał wybitnemu kunsztowi szermierzemu, z którego od lat wielu słynęli przedstawiciele rodu Patingtonów. Rana młodego rycerza nie była głęboka. Był tak skupiony na walce, że nie odczuwał żadnego bólu. Wiedział jednak, że jeśli czegoś nie wymyśli, to niechybnie przegra. Wtem zaświtała mu pewna myśl. Postawił wszystko na jedną kartę i zaryzykował. Uniósł klingę, odslaniając się nieco. Gunnar od razu dostrzegł okazję. Wyprowadził błyskawiczne pchnięcie z wypadu, celując w brzuch wroga. Garet w ostatniej chwili wykonał szybki ruch ciałem. Czubek miecza Duńczyka wbił się w jego lewy bok. Ostra stal przebiła kolczugę, sięgając ciała. Anglik zamiast bólu, poczuł przejmujący chłód. Odpowiedział potężnym cięciem na głowę przeciwnika. Jego broń przebiła się przez osłonę hełmu. Wiking cofnął się chwiejnie, uwalniając własny miecz. Z rany na jego czole trysnęła krew, zalewając mu twarz i utrudniając widzenie. Człowiek Północy uniósł lewą rękę, aby przetrzeć oczy. Przez chwilę stracił baczenie na swego rywala. Patington wiedział, że to jego ostatnia szansa. Musi ją wykorzystać, zanim opadnie z sił. Jeśli tego nie uczyni, polegnie. Nie było czasu na wahanie. Teraz albo nigdy, pomyślał. Błyskawicznie skoczył do przodu i zadał pchnięcie. Damasceńska klinga pomknęła do celu, przecinając ze świstem powietrze. Utkwiła w gardle Duńczyka. Żrenice Gunnara rozwarły się szeroko. Z ust Skandynawia chlusnęła krew. Garet wyrwał swój miecz z szyi przeciwnika. Gunnar Gunnarsson padł martwy.

Młody rycerz stał nad ciałem powalonego wroga. Wspierał się na własnej broni. W głowie mu huczało. Po lewym policzku kapała krew. Czuł też narastający ból w boku. Teraz, gdy emocje opadły, otwarte rany zaczęły mu doskwierać. Upływ krwi oraz zmęczenie, również zrobiły swoje. Garet zaczynał tracić poczucie rzeczywistości. Wezwałby kogoś na pomoc, lecz nikogo żywego w okolicy nie widział. Ponadto nie miał już siły na krzyk. Nagle usłyszał tętent końskich kopyt. Odwrócił się i spojrzał w dal. Dostrzegł kilkunastu jeźdźców zmierzających w jego stronę. Nie wiedział, kim oni są. Uznał jednak, że muszą to być sprzymierzeńcy. Uniósł rękę do góry, aby zwrócić na siebie uwagę. W ostatnim przeblysku świadomości, zdawało mu się, że dostrzega czerwony płaszcz księcia Wilhelma. W następnej chwili stracił przytomność.

Nad polem bitwy zapadł zmierzch. Król Harold leżał martwy u boku swych najwierniejszych gwardzistów. Polegli również dwaj jego bracia: Gyrth oraz Leofwine. Potęga rodu Godwina została złamana. Zginęło też wielu innych dostojników, wśród których znaleźli się: Aelfryk z Yelling, Eadryk Diakon i Aelfwiga, opat New Minster. Zwycięstwo Normandczyków pod Hastings

było całkowite. Królestwo Anglii stanęło przed nimi otworem. Książę Wilhelm tryumfował.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Garet ocknął się nagle. Zorientował się, że leży na miękkim pościeli. Pod głową miał poduszkę wypchaną pierzem. Poruszył się, nie kryjąc zdziwienia. Jego rany zostały opatrzone. Zdumiony, rozejrzał się po izbie. Dostrzegł dzban stojący na drewnianym stole oraz dwa niewielkie krzesła. Zoczył również zbrojnego, który stał przy małym okienku.

– Gdzie jestem? – wycharczał.

Na dźwięk jego głosu, mężczyzna odwrócił się gwałtownie. Był to Dobiesław z Płocka. Zagarnąwszy dzban ze stołu, przysiadł na skraju pryczy. Przytknął szyjkę naczynia do ust Patingtona. Młody Anglik pił chciwie. Płyn okazał się winem zaprawionym miodem i goździkami.

– Pij przyjacielu, to dobre na gorączkę.

Po opróżnieniu dzbana, Gareth powtórzył pytanie.

– Gdzie jestem?

– W Hastings. W izbie karczemnej, która mieści się nad salą biesiadną.

– Tyś mnie opatrzył?

– Nie. Uczynił to książęcy medyk.

– Dlaczego?

Dobek wzruszył ramionami.

– Całe miasteczko aż huczy od plotek. Podobno powaliłeś wielkiego Gunnara Gunnarssona.

– Owszem.

– To niezwykle wyczyn. Sam Wilhelm był pod wrażeniem. Kazał zanieść cię do karczmy i opatrzyć. Namówił też pewną zakonnice, aby miała na ciebie oko. Nakazał również, abyś stawiał się przed jego obliczem, gdy tylko wydobrzejesz.

– Pewnie oczekuje wdzięczności.

– Zapewne, lecz śmiem twierdzić, że nie tylko.

– Co masz na myśli?

– Być może chce zwrócić ci twój miecz.

– Co takiego?

– Powiadają, że księciu spodobała się twoja broń. Osobiście ją oczyścił i zatrzymał przy sobie.

Patington jęknął cicho.

– Co się stało z Gromem?

– Z kim?

– Z moim koniem.

– Stał przy tobie, gdy leżałeś bez zmysłów. Książę kazał odprowadzić go do stajni i nakarmić. Zwierzę jest bezpieczne i czeka na ciebie.

– To pomyślne wieści. Jak długo tu leżę?

– Od wczorajszego wieczora.

– Jak bitwa?

– Skończyła się dobrze. Przypuściliśmy szturm na rycerzy zgromadzonych pod sztandarem. Bronili się długo i dzielnie, lecz w końcu padli. Ubiłem jednego z braci króla. Człek ów nieroztropnie nawinął mi się pod ostrze.

– Harold oberwał strzałą w oko.

– Tak. Gdy leżał już na ziemi, ktoś przebił go mieczem.

– Zatem Wilhelm zdobył tron.

– Chyba tak.

– Teraz wiem już wszystko.

– Wiesz tyle, ile trzeba, aby spokojnie odpoczywać. Czas zmienić ci opatrunki. Idę po siostrę Teodozję. Niewiasta ucieszy się, że wreszcie się ocknałeś. Jest młoda i nawet ładna. Zdaj się na jej opiekę przyjaciela, a rychło wrócą ci siły.

- Dobek roześmiał się głośno. Następnie, wstał z pryczy i wyszedł z izby. Czekaając na przybycie zakonnic, Garet zapadł w niespokojną drzemkę.

Pozostawiwszy załogę w Hastings, Wilhelm poprowadził wojsko wzdłuż wybrzeża, kierując się na Dover. Po drodze Normandczycy puścili z dymem osadę o nazwie Romney. Gdy stanęli pod murami Dover, natychmiast, rozpoczęły się rokowania. Wystraszeni mieszkańcy nie zamierzali stawiać oporu. Księżę objął w posiadanie miasto o strategicznym znaczeniu. Nakazał, aby w obrębie murów wzniesiono gród drewniano-ziemny. Była to jego ulubiona taktyka. Zabezpieczał się w ten sposób na wypadek ataku. Był już jednak o wiele spokojniejszy. Kontrolował bowiem szlak morski wiodący ku Normandii.

Umocniwszy swą pozycję, Wilhelm postanowił podążać w głąb kraju. Powiódł swą armię na owiane legendą Canterbury. Mieszkańcy tego miasta nie chcieli walczyć z najeźdźcą. Wykorzystali nieobecność arcybiskupa Stiganda i sami wyznaczyli delegację, która wyszła Normandczykom na przeciw. Jej przedstawiciele złożyli księciu Wilhelmowi przysięgę wierności. Przekazali mu też zakładników. Władca Normandii odniósł kolejny sukces. Zdobył najstarsze biskupstwo w Anglii.

Przebywając w Canterbury, książę zapadł na czerwonkę. Przebieg choroby był na tyle ciężki, że obawiano się nawet o życie władcy. Wilhelm wracał do zdrowia przez kilka tygodni. Nawet wtedy szczęście mu sprzyjało. Gdy zmagał się ze schorzeniem, przybyli do niego wysłańcy królowej Edyty, wdowy po królu

Edwardzie. Owi posłowie oznajmili, że była władczyni postanawia oddać się wraz z miastem Winchester pod jego protekcję.

Gdy Wilhelm wrócił do sił, uznał wreszcie, że jest gotów, by wyruszyć na Londyn. W mieście tym zgromadzili się zwolennicy młodego księcia Edgara, ostatniego żyjącego Ethelinga. Spodziewano się zaciętego oporu z ich strony. Gdy przednia straż Normandczyków zbliżyła się do południowych przedmieść stolicy, Anglicy zaatakowali. Wywiązała się krótka potyczka, którą wygrali rycerze z Normandii. Pokonani obrońcy miasta schronili się za murami. Ludzie księcia Wilhelma podpalili zabudowania Southwark.

Władca Normandii nie zdecydował się na szturm. Obszedł miasto od południa. W okolicach Wallingford przekroczył Tamizę. Teraz stolica była odcięta od spodziewanych posiłków, które miały nadsygnąć z północy. Ponadto konne oddziały normandzkie dokonywały spustoszenia, paląc i grabiąc pobliskie miasteczka oraz wsie. Sytuacja przeciwników Wilhelma stała się beznadziejna. Trzeba było wreszcie zakończyć tę wyniszczającą wojnę.

Pierwszy krok w tym kierunku wykonał przebywający w Londynie arcybiskup Canterbury Stigand. Ten wpływowi duchowny udał się do obozu księcia Normandii i złożył mu przysięgę wierności. Uczynił tak, obawiając się utraty stanowiska oraz wysokiej pozycji w strukturach angielskiego kościoła.

W pierwszych dniach grudnia 1066 roku nastąpił przełom. W miejscowości Berkhamstead odbyło się uroczyste spotkanie. W jego trakcie arcybiskup Yorku Eldred, niedoszły król Edgar, earlowie: Edwin i Morcar oraz najznamienitsi mieszkańcy stolicy, złożyli hołd księciu Wilhelmowi. Następnie przekazali mu zakładników. Od tej pory władca Normandii mógł już bez przeszkód wkroczyć do Londynu. Termin jego koronacji wyznaczono na dzień Bożego Narodzenia.

Był grudzień 1066 roku. Gareth jechał na swym koniu, przeciskając się przez jak zwykle zatłoczone ulice Londynu. Nie zwracał uwagi na wszechobecny zgiełk oraz gwar. Był skupiony na konkretnym celu. Pragnął odnaleźć Margaret. Odniesione w bitwie rany wreszcie się zagoiły. Pozostały po nich tylko niewielkie blizny. Siostra Teodozja dobrze go pielęgnowała. Jej modlitwy oraz ziołowe okłady zrobiły swoje. Gdy tylko rycerz powrócił do sił, wyruszył na poszukiwania ukochanej. Od razu udał się do stolicy. Musiał się dowiedzieć, dokąd Gunnar rozkazał zawieść dziewczynę. Wiedział, że w obecnej sytuacji będzie to

trudne. Dlatego postanowił, odszukać księdza Tobiasza. Liczył na pomoc duchownego, który powinien przecież przebywać w mieście. Po długich poszukiwaniach odnalazł wreszcie domostwo, w którym mieszkała rodzina kapłana. Był to solidny dom wzniesiony z drewnianych bali. Na poddaszu wydrążono niewielkie okienko. Z otworu w dachu ulatniały się kłęby dymu. Patington zeskoczył na ziemię. Uwiązał Groma przy drewnianym paliku. Następnie podszedł do drzwi i zastukał. Odpowiedziała mu głucha cisza. Załomotał powtórnie. Wreszcie usłyszał jakiś dźwięk. Ktoś nadchodził. Po chwili rygiel został odblokowany. Drzwi otworzyły się. Stała w nich niska, przysadzista kobieta odziana w ciemną suknię. W lewej ręce trzymała wiadro wypełnione pomyjami.

– Witaj pani – odezwał się Gareth. – Czy mieszka tutaj ksiądz Tobiasz?

– Tak – odburknęła.

– Chciałbym się z nim rozmówić, to mój przyjaciel.

– Syn przebywa w pobliskim kościele. Musisz panie przyjść później.

Zamierzała zamknąć drzwi, lecz Patington powstrzymał ją, kładąc stopę na progu.

– Szukam porwanej dziewczyny o imieniu Margaret. Może coś słyszałaś pani?

Nagle twarz kobiety rozpromieniła się.

– Ty pewnie jesteś Gareth. Tobiasz wspominał, że możesz się zjawić. Modlił się o to. Zaczekaj chwilę zacy panie.

Tym razem drzwi zostały zamknięte. Rozmówczynie oddaliła się pośpiesznie. Młody rycerz stał na podwórzu, zastanawiając się, o co naprawdę chodzi. Czyżby Tobiasz jednak był w domu? Może się przed kimś ukrywał. Po chwili Patington usłyszał kroki. Były szybsze od poprzednich. Nadchodziła inna osoba. Ciekawe kto, pomyślał? Odrzwia rozwarły się ponownie. Gareth niemal krzyknął ze zdumienia. Stała przed nim Margaret odziana w niebieską suknię z miękkiego lnu. Była uśmiechnięta i piękna jak zawsze. Jej wspaniałe, kruczoczarne włosy spływały swobodnie z pleców i ramion. Dziewczyna rzuciła się na niego. Całowali się długo i namiętnie. Wreszcie niewiasta przemówiła.

- Więc żyjesz kochany. Moje modły zostały wysłuchane.
 - Tak. Wreszcie cię odnalazłem. Jak się tu dostałaś? Przecie porwał cię Gunnar.
 - Tobiasz mnie wytropił i przyszedł z pomocą.
 - Zacny to człek.
 - Gdy uciekałam, pobiłam żonę Gunnara. Wiking nie da nam spokoju, jeśli nadal żyje.
 - Nie żyje. Zabiłem go.
- Przyjrzała mu się uważniej.
- Masz bliznę na lewej skroni.
 - To pamiątka po ranie otrzymanej w bitwie.
 - Wejźmy do środka. Mamy wiele do omówienia.

Garet wszedł do ciemnego kościoła. Jedyne przy konfesjonale paliła się świeca. Podszedł i uklęknął. Tobiasz już na niego czekał. Spowiedź mogła się rozpocząć. Rycerz złożył dłonie i rzekł.

- Zgrzeszyłem ojczyźnie.
- Wymień swe przewiny synu.
- Zabiłem kilku ludzi.
- Ilu i kiedy?
- Pierwszy był Wulf Czarny, który zaatakował mnie w lesie.
- Wiem. Byłem tam.

– Kolejnych dwóch zabiłem nieopodal naszej wsi. Próbowali zgwałcić kobietę.

– Stałeś w jej obronie?

– Tak.

– Uratowałeś jeszcze kogoś?

– Dziecko Oweny i Ralfa. Przekazałem je ocalonej niewieście.

– Wszyscy pozostali zginęli?

– Chyba tak, oprócz Margaret.

Tobiasz wykonał znak krzyża i zmówił jakąś modlitwę.

– Mów dalej – polecił.

– Jednego woja ubiłem w bitwie pod Stamford.

– Walczyłeś o życie?

– Tak. Niedługo potem zostałem niesłusznie oskarżony o zdradę. Wyrok mieli wykonać dwaj ludzie króla. Musiałem się bronić. Usiekłem jednego z nich.

– Co z tym drugim?

– Zabił go Rolf.

– Ten kłusownik? Co on tam robił?

– Przybył razem z nimi. Przymusili go.

– Musieliście przelewać krew? Nie było innej rady?

– Mogliśmy dać się zaszlachtować.

Ksiądz ciężko westchnął.

– Dalej – rzekł.

– Po tym wydarzeniu dołączyłem do księcia Wilhelma. Walczyłem w bitwie pod Hastings. Wysłałem na tamten świat kolejnych dwóch wojowników. Jeden z nich zwał się Gunnar Gunnarsson. Ścigałem go. Następnie stoczyliśmy pojedynek.

– Dlaczego go ścigałeś?

– Przecież wiesz. Zagrażał Margaret. Porwał ją. Musiałem go powstrzymać. Gdyby uciekł, to mógłby ją skrzywdzić lub wywieść gdzieś za morze. Nie wiedziałem, że dziewczyna została już ocalona i że jest bezpieczna.

– Nie kierowała tobą rżądza odwetu?

– Nie. W tamtej chwili troskałem się tylko o los Margaret.

– Masz jeszcze coś do powiedzenia?

– Żałuję popełnionych przez siebie grzechów.

– Szczerze?

– Tak.

Nastała chwila ciszy. Garet zaczął się niecierpliwić. Czuł się, jak mały wystraszony chłopiec czekający na upomnienie. Wreszcie po namyśle, kapłan przemówił.

– Miłosierdzie Boże jest bezgraniczne. Jezus przebaczył nawet tym, którzy go ukrzyżowali. Dlatego, kierując się Jego nauką, ja, Tobiasz z Londynu, udzielam ci rozgrzeszenia pod pewnymi warunkami.

– Jakie to warunki?

– Każdego roku w dzień Świętego Szczepana opłacisz odprawienie mszy świętej w intencji tych, którzy zginęli od twego miecza. Ponadto, jeśli Najwyższy pozwoli, wzniesiesz nową, solidną kaplicę w Patington Home. Przyjmujesz nałożoną pokutę?

– Tak.

– Zatem odpuszczam tobie grzechy w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego amen. Idź w pokoju.

W małym kościółku zebrał się spory tłum. Tworzyli go ludzie, którzy przybyli na poranną mszę. Mimo, iż Eucharystia dobiegła już końca, nikt z zebranych nie wychodził na zewnątrz. Ciekawscy parafianie czekali na wydarzenie, które za chwilę nastąpi. W gromadzie narastało podniecenie. Stłumione szepty niosły się echem po całej świątyni. Wreszcie działo się coś ciekawego.

Przy długim stole służącym za ołtarz stały cztery osoby. Gareth przywdział swoją kolczugę, którą wcześniej dokładnie oczyszczono. Uważał bowiem, że jest to najbardziej odpowiedni strój dla rycerza i wojownika. Margaret miała na sobie płaszcz z niedźwiedziego futra. Jej sięgające ud włosy, zaplecione w gruby warkocz, połyskiwały w blasku świateł. Na serdeczny palec prawej dłoni włożyła pierścień rodowy Hamertonów. Stojący obok ksiądz Tobiasz trzymał w rękach niewielki brewiarz oprawiony w cielęcą skórę. Był tam również Dobiesław z Płocka pełniący rolę świadka doniosłego wydarzenia. Wreszcie, kapłan przystąpił do dzieła. Jego donośny głos ponownie zabrzmiał w świątyni.

– W tym uroczystym dniu zebraliśmy się, aby połączyć tych dwoje młodych świętym węzłem małżeńskim.

Skierował wzrok na Gareta i kontynuował.

– Czy ty, Garecie Patingtonie, bierzesz sobie za żonę tę niewiastę? Czy ślubujesz jej miłość oraz wierność? Czy godzisz się na to, by dać jej potomstwo? Czy będziesz ją utrzymywał i ochraniał?

– Tak – odparł rycerz.

Duchowny spojrział na dziewczynę, po czym znów się odezwał.

– Czy ty, Margaret Hamerton, bierzesz sobie za męża tego człowieka? Czy ślubujesz mu miłość oraz wierność? Czy otoczysz opieką wasze dzieci? Czy dopilnujesz, by na jego stole nigdy nie zabrakło jadła ni piwa?

– Tak – odrzekła.

Tobiasz schwyciwszy prawe dłonie młodych, złączył je razem, oznajmiając głośno.

– Przysięga została wypowiedziana! Złożyliście ją w świątyni Boga przed Jego obliczem! Przez Niego też zostaliście złączeni! Ogłaszam was mężem i żoną!

Po tych słowach krótka ceremonia ślubna dobiegła końca. Zgromadzeni w kościele ludzie udali się do swych domów.

Nad Londynem zapadł już zmierzch. W pewnej gospodzie, w wynajętej izbie, para nowożeńców spędzała swą noc poślubną. Małżonkowie leżąc nago w pościeli, rozmawiali przyciszonym głosem. Pomieszczenie oświetlała wetknięta w ścianę pochodnia. W rogu izby stała drewniana balia wypełniona wodą z pachnidłami. Nad bezpieczeństwem młodych czuwał strażnik, który znajdował się za dębowymi drzwiami.

– Wreszcie jesteśmy razem – szepnął Garet.

– Szkoda tylko, że nasi rodziciele tego nie doczekali – rzekła Margaret.

– Oni wiedzą. Patrzą na nas z raj.

– Pewnie tak. Jak długo pozostaniemy w tym cuchnącym mieście?

– Powiadają, że wkrótce księżę zostanie koronowany. Gdy to nastąpi, muszę spotkać się z nim.

– Dlaczego?

– Pragnę odzyskać swój miecz.

– Myślisz, że nowy król znajdzie dla ciebie czas?

– Pewnie tak. Niebawem będą mu potrzebni wierni poddani. Nie może przecież pozbawić ziem wszystkich możliwych Anglików, zastępując ich swoimi

ludźmi. Niektórzy muszą pozostać.

- Zatem liczysz na zaszczyty?
- Być może.
- Gdy już je otrzymasz, powrócimy do Patington Home?
- Oczywiście.
- Przebywa tam twoja siostra, która owdowiała.
- Nie szkodzi, jakoś dojdziemy do porozumienia.
- A jeśli nie?
- Wtedy zbudujemy nowy dwór, dla nas i naszych dzieci.
- Mniemasz, że będą liczne?
- Oczywiście. Ród Patingtonów musi rozkwitnąć. Obiecałem to ojcu.
- Zatem nie czekajmy dłużej. Skonsumujmy nasz związek.
- Dobrze, niech się stanie.

Rozmowa została zakończona. Oboje oddali się cielesnym rozkoszom. Trwali tak aż do białego rana.

Główna sala pałacu królewskiego była jasno oświetlona. Płomienie łuczyw dawały sporo przyjemnego blasku. Gareth minął dwóch strażników uzbrojonych w włócznie oraz miecze. Wkraczając do pomieszczenia, przestąpił przez niewielki próg. Od razu dostrzegł Wilhelma, który otwarcie już przyjął miano Zdobycy. Nowy król Anglii siedział rozparty na drewnianym krześle, które najpewniej służyło za tron. Odziany był w metalową zbroję, jak przystało na wojownika. Na ramiona narzucił lśniący błękitem płaszcz. Na kolanach monarchy spoczywał obnażony miecz. Patington natychmiast rozpoznał swoją damasceńską klingę. Po bokach tronu stali: młody paź trzymający skórzaną sakwę oraz starszy ksiądz

dzierżący w dłoniach złoty krucyfiks. Dziedzic rodu Patingtonów podszedł do władcy. Uklęknął, pochylając w pokorze głowę. Po chwili usłyszał przyjazny głos.

– Wstań Garcie Patingtonie. Widzę, że twoje rany już się zabiły.

Rycerz podniósł się. Spojrzał w ciemne oczy króla i rzekł.

– Witaj panie. Jestem zdrow. Po ranach pozostały tylko blizny.

– To dobrze. Jak się miewa lady Margaret?

Garet oniemiał ze zdumienia.

– Skąd wiesz panie? – wystękał.

Na obliczu monarchy pojawił się uśmiech.

– Jakież byłby ze mnie król, gdybym nie znał poczynań swoich poddanych?

– Moja żona panie, również jest w dobrym zdrowiu. Pragnie jak najrychlej wrócić do domu.

– Dobrze. Zatem jesteś gotów, aby mi służyć?

Patington rozmyślał przez chwilę. Dobrze wiedział, że nie ma innego wyboru, jeśli chce zachować swoje włości.

– Tak – odparł.

– Aż do śmierci, mojej lub twojej?

– Tak.

– Przysięgniesz na krucyfiks?

– Tak.

Podszedł do niego ksiądz w czarnej sutannie. Kapłan uniósł prawą rękę, podsuwając mu krzyż do pocałowania. Młody rycerz bez wahania złożył pocałunek na świętym krucyfiksie. Gdy to uczynił, duchowny cofnął dłoń. Następnie skłonił

się królowi i opuścił salę.

Wilhelm sięgnął po miecz. Zważył go w dłoni i rzekł.

– To piękna broń. Czy znasz imię płatnerza, który ją wykonał?

– Niestety nie panie. Uczynił to jakiś mistrz z Damaszku.

– Zatem to niezwykle cenna klinga. Walczył nią twój ojciec?

– Tak.

– Teraz jest twoja. - Władca wyrzucił miecz w powietrze. Młody Anglik schwycił go w locie i błyskawicznie wsunął do pochwy. Wreszcie miał swoją broń.

– Dziękuję panie – rzekł.

Monarcha skinął na pazia. Chłopiec podszedł do Patingtona i podał mu sakwę.

– Otwórz ją – nakazał król.

Garet usłuchał polecenia. W sakwie znajdowały się dwa zwoje pergaminu.

– To dokumenty panie.

– Sygnowane moją pieczęcią. W pierwszym z nich potwierdzam twoje prawa do Patington Home oraz do wszystkich ziem, którymi zarządzał twój ojciec. Zwalniam cię też z obowiązku uiszczania wszelkich podatków na okres pięciu lat. W zamian żądam jednak, abyś w przeciągu trzech lat wystawił trzystu zbrojnych gotowych stanąć do boju.

– Dzięki panie. Potrafisz być szczodry.

– Ma się rozumieć. Słyszałeś o Klotyldzie Finck?

Garet nie potrafił ukryć zaskoczenia.

– Tak – odparł. – Kiedyś chciała, bym się z nią ożenił.

Teraz to Wilhelm wydawał się zdumiony. Po krótkiej chwili milczenia, rzekł.

– Wiedz, że niewiasta ta napisała do mnie list, w którym zrzekła się całego swego majątku. Postanowiła bowiem oddać się Panu i rozpocząć życie klasztorne. W związku z tym jej ziemie pozostały bez właściciela.

– Od wielu lat nie przynosiły zysków. Ojciec prawił, że Klotylda źle nimi zarządza.

– Widać, że miał słuszość. Dlatego moją wolą jest, abyś ty objął nad nimi pieczę. Stosowny rozkaz odnajdziesz w drugim dokumencie.

– Panie – wydukał rycerz.

Król wstał z tronu i podszedł do niego. Nachylił się nad uchem młodzieńca, szepcząc ściszym głosem.

– Wiem, że zdumiewa cię moja łaskawość. Obdarzyłem cię ogromnym zaufaniem. Jeśli zawiedziesz, to wiedz, że w kraju, z którego pochodzę, lochy są wyjątkowo zimne i głębokie.

– Będę pamiętał panie.

– To dobrze. Możesz odejść.

Patington skłonił się pokornie i wyszedł z sali. Opuszczając pałac, zastanawiał się, co przyniesie przyszłość.

Był styczeń roku pańskiego 1067. Pogoda była łagodna, sprzyjająca dalekim podróżom. Było mroźno, lecz słonecznie. Drobna warstwa mokrego śniegu spowiła ziemię. Szerokim traktem zdążała grupa zbrojnych eskortujących powóz. Garet jechał na przedzie. Towarzyszył mu Dobiesław z Płocka. Za nimi podążało osiemnastu najemników: ośmiu Francuzów, dwóch Burgundczyków, trzech Niemców, czterech Flamandów oraz mieszkaniec Kastylii. Na koźle krytego wozu zaprzęzonego w dwa konie siedzieli dwaj Celtowie z Irlandii. W powozie podróżowała Margaret Hamerton i ksiądz Tobiasz. Kapłan mógł wracać do

Northumbrii. Jego rodzinna parafia wreszcie doczekała się następcy mianowanego przez biskupa.

Dosiadający Groma młody Patington pogрузił się w rozmyślaniach. Cieszył się, że jego dom nie został zniszczony. Ci, którzy ocaleli, powrócili już pewnie do Patington Home. Siostra z pewnością stara się o to, aby dwór znów tętnił życiem. Znacznie gorzej przedstawiała się sytuacja wieśniaków. Ich domostwa zostały spalone, a oni zdziesiątkowani. Nikt dokładnie nie wiedział, ilu z nich przeżyło. Być może Rolf zdołał kogoś odszukać. Wiadomo było jednak, że odbudowa zniszczonych wiosek może potrwać wiele miesięcy, a nawet kilka lat. Trudno będzie w tym roku znaleźć odpowiednią liczbę ludzi, którzy obsięją pola i zbiorą plony. Nad północną częścią Anglii może zawisnąć widmo głodu. Gdyby dowodził większą liczbą zbrojnych, to mógłby zorganizować wyprawę na Szkotów. Zdobyłby wtedy niewolników potrzebnych do pracy w polu. Wiedział jednak, że planów tych nie wprowadzi w życie. Wojowie jego ojca zostali wycięci niemal do szczytu w bitwie pod Fulford. Musiał zaczynać od nowa. Dlatego wynajął dwudziestu najemników stanowiących zaczątek jego drużyny bojowej. Następni będą mieszczanie oraz chłopci skuszeni możliwością osiedlenia się na włościach Patingtonów.

Najbardziej martwiła rycerza posiadłość lady Klotyldy, którą będzie musiał zarządzać. Nie wiedział jeszcze, co zrobić, aby ta wyjałowiona ziemia zaczęła przynosić znaczne korzyści. Niegdyś było tam wiele wsi, których mieszkańcy specjalizowali się w bartnictwie, hodowli oraz wytwarzaniu smakowitych serów. Z czasem jednak wszystko podupadło. Zarządcy, których za psi pieniądz wynajmowała Klotylda, okazywali się zwykłymi bandytami i złodziejami. Przerażeni wieśniacy obawiali się coraz bardziej o własne życie. Wielu zostawiło swoje domy, pierzchając do innych majątków. Teraz należało sprowadzić ich z powrotem.

Mimo tylu piętrzących się trudności, Garet z uśmiechem spoglądał w przyszłość. Miał przy sobie ukochaną kobietę, która urodzi mu wielu zdrowych i silnych potomków. Wspólnie pokonają wszelkie przeszkody, sprawiając, że ród Patingtonów odzyska utraconą świetność. Taką przynajmniej miał nadzieję.

NOTA HISTORYCZNA

Akcja powieści zatytułowanej „*Strzała przeznaczenia*” toczy się na angielskiej ziemi w roku 1066. Informacje dotyczące tamtych czasów pochodzą głównie ze źródeł historycznych. Sporządzono je krótko po wydarzeniach z tego roku lub w okresie późniejszym. Wszystkie jednak powstały w średniowieczu.

Za najbardziej wiarygodny przekaz uznaje się kronikę **Wilhelma z Poitiers** pt. „*Gesta Gulielmi ducis Normannorum et regis Anglorum*” (*Dokonania Wilhelma, księcia Normandczyków i króla Anglów*). Powstała ona w latach siedemdziesiątych XI wieku, czyli niedługo po opisywanych wydarzeniach. Jej autor był ciekawą postacią. Wywodził się z rodziny rycerskiej. Za młodu trudnił się wojaczką w szeregach normandzkiej armii. Po trzydziestym roku życia porzucił miecz na rzecz kapłańskiej sutanny. Mimo stanu duchownego, nadal uczestniczył w kampaniach militarnych. Pełnił funkcję kapelana polowego. Dobrze znał księcia Wilhelma oraz wielu dworskich dostojników. Na kartach swej kroniki, w sposób rzetelny i fachowy, ukazał rzemiosło wojenne. Nie pomijał istotnych szczegółów. Jako były wojownik, wiedział po prostu, co opisuje, ponieważ znał się na rzeczy. Nie mógł jednak ustrzec się pewnego rodzaju stronniczości. Pisał przecież na zlecenie swego władcy. Musiał więc wychwalać jego czyny.

Ważnym źródłem historycznym jest również kronika **Wilhelma z Jumieges** pt. „*Gesta Normannorum ducum*” (*Czyny książąt Normandczyków*). Autor tego dzieła był mnichem. Zamieszkiwał w benedyktyńskim opactwie w Jumieges, niedaleko od miasta Rouen. Kronikarz opisał dokonania książąt z dynastii normandzkiej. Nie zapomniał rzecz jasna o Wilhelmie Zdobywcy, któremu poświęcił sporo uwagi. Według opinii historyków, wypadki z roku 1066 zostały przez niego spisane najprawdopodobniej w cztery lata później, czyli około roku 1070.

Nie należy zapomnieć, o spisanej w języku staroangielskim „*Anglo-Saxon Chronicle*” (*Kronice anglosaskiej*). Jej pisanie zapoczątkowano za życia króla Alfreda Wielkiego, czyli w drugiej połowie IX wieku. Spisywano ją jednocześnie w kilku różnych opactwach. Dlatego nie jest ona jednolitym dziełem. Pięć podstawowych wersji tej kroniki we współczesnej historiografii oznaczono za pomocą liter: A, B, C, D, oraz E. Najdokładniejszy opis wydarzeń z 1066 roku podają wersje D i E.

Pewnego rodzaju uzupełnieniem może być stworzony przez

benedyktynów z Worcester „*Chronicori ex chronicis*” (Wybór z kronik). Powstanie tego przekazu datuje się na początek XII wieku. Jego autorstwo przypisywano tajemniczemu mnichowi o imieniu **Florencjusz**.

Istotnym przekazem historycznym jest także zawierająca opis bitwy pod Stamford Bridge „*Haralds Saga Sigurdarsonar*” [w:] **Snorriego Sturlussona** „*Heimskringla*” (*Krąg świata*) – *History of the Kings of Norway*. *Heimskringla* jest dziełem zawierającym kilkanaście sag, które przekazują dzieje władców norweskich od czasów najdawniejszych. Jedna z nich dotyczy króla Haralda Hardrada.

Autor *Heimskringli*, **Snorri Sturlusson** (1179-1241), był jednym z najwybitniejszych Islandczyków. Dał się poznać jako wielki historyk, poeta oraz polityk. Dwukrotnie był wybierany na stanowisko przewodniczącego islandzkiego parlamentu zwanego Althingiem. Należał do grona zwolenników współpracy z Norwegami. Nie godził się jednak na trwałe uzależnienie Islandii od kraju fiordów. Dlatego, z rozkazu króla Norwegii Haakona IV, został zamordowany.

Pewne walory źródłowe posiada też pieśń nosząca tytuł „*Carmen de Hastingae proelio*” (*Pieśń o bitwie pod Hastings*). Autor tego utworu pozostaje nieznan. Najstarszy manuskrypt zawierający tekst pieśni pochodzi z początku XII wieku.

Wyjątkowym rodzajem źródła historycznego jest niezwykła *tkanina* z *Bayeux*. Przedstawia ona historię za pomocą obrazków, tworzących długi ciąg przeróżnych scen dotyczących dziejów Anglii. Wyszzywano je wełnianą nicią na lnianym płótnie. Wydarzenia, które ukazują, działy się w latach 1064-1066. Tkanina ta jest szeroka na mniej więcej pół metra. Jej długość zaś przekracza siedemdziesiąt metrów. Nie wiadomo dokładnie, kiedy i gdzie powstało to wyjątkowe dzieło sztuki. Nie są znani też artyści, którzy je wykonali. Dziś czas, w którym stworzono tkaninę, lokalizuje się pomiędzy 1066 a 1082 rokiem. Za prawdopodobne miejsce jej powstania niektórzy badacze uznają Canterbury.

W polskiej literaturze problematyka jedenastowiecznej Anglii nie jest poruszana zbyt często. Mamy jednak w kraju kilku historyków, którzy odnoszą spore sukcesy na tym polu badawczym. Piszą oni ciekawe i wartościowe książki oraz artykuły. Badaczem, który skupił się na wydarzeniach z roku 1066 jest **Jacek**

Soszyński. Jego książka pt. „*Hastings 1066*” została opublikowana przez Dom Wydawniczy Bellona w cyklu Historyczne bitwy.

Uważam, że pozycja ta, mimo braku szczegółowych przypisów, została napisana fachowo. Jej autor przeanalizował dostępne fakty historyczne w sposób dokładny i rzetelny. Wielokrotnie odwoływał się do tekstów źródłowych, których przetłumaczone fragmenty zawarł w swojej książce.

„*Strzala przeznaczenia*” jest powieścią historyczną. Oznacza to, że na jej kartach fakty uznane za prawdziwe, łączą się ze zdarzeniami fikcyjnymi stworzonymi przez autora. Również postacie rzeczywiste często stają ramię w ramię z bohaterami zrodzonymi przez wyobraźnię. Tak właśnie powstała ta pozycja. Ci, którzy z rzadka sięgają po tego rodzaju literaturę, poczują się być może nieco zagubieni. Mogą mieć bowiem pewne trudności z oddzieleniem prawdy historycznej od fikcji literackiej. Dlatego postanowiłem wyjaśnić tę sprawę.

Wydarzenia bezpośrednio związane z datami, które umieściłem w mojej powieści, mają potwierdzenie w źródłach lub opracowaniach historycznych. Książę Wilhelm Zdobywca rzeczywiście panował w Normandii. W roku 1066 zdobył koronę Królestwa Anglii. Nosił ją aż do swej śmierci w roku 1087. Po nim władali jego synowie: Wilhelm II Rufus (1087-1100) oraz Henryk I (1100-1135).

Potężny earl Harold przejął władzę w Anglii po śmierci króla Edwarda Wyznawcy (1042-1066). Próbował stworzyć własną dynastię, mimo iż nie pochodził z żadnego z rodów królewskich ani książęcych. Przez wielu był uznawany za zwykłego uzurpatora.

Król Harald III Sigurdsson, znany również jako Hardrada czy Srogi, panował w Norwegii w latach 1047-1066. W młodości był najemnikiem. Walczył na Rusi oraz w Cesarstwie Bizantyjskim. Po śmierci monarchy, poniesionej na angielskiej ziemi, władzę objął jego syn Olaf III Łagodny (1066-1093).

Opisując wygląd tych władców, korzystałem niemal wyłącznie z własnej wyobraźni. W dostępnych przekazach historycznych, nie ma wielu konkretnych informacji na ten temat. Dlatego starałem się, aby wymyślone przeze mnie portrety mogły uchodzić za wiarygodne.

Batalie pod Gate Fulford, Stamford Bridge oraz Hastings odbyły się w 1066 roku. Przebieg bitwy pod Gate Fulford nie został dokładnie poznany. Kronikarze nie skupiali się na przedstawieniu tego starcia. Przekazali nam tylko niewielką ilość podstawowych faktów. Postanowiłem złączyć je w całość, używając wyobraźni. Tak powstał zamieszczony w powieści obraz krwawej konfrontacji.

Opisując bitwę pod Stamford Bridge pozwoliłem sobie na ożywienie pewnej normandzkiej legendy bezpośrednio związanej z tym wydarzeniem. Zachował się przekaz dotyczący pewnego nieustraszonego wojownika, który w pojedynkę bronił przeprawy na moście Stamford. Walczył dzielnie, powalając czterdziestu wrogów. Zabił go dopiero zdradziecki cios zadany włócznią. Zainspirowany tą informacją, stworzyłem postać Thorbjorna Hakonssona. O przebiegu samej bitwy wiadomo tyle, że była zacięta i krwawa. Wikingowie zostali zaskoczeni przez nacierających Anglików. Walczyli bardzo dzielnie, lecz zostali rozgromieni. Tylko nieliczni zdołali ocalić życie. Poległ Harald III Srogi oraz książę Tostig, brat króla Harolda.

Decydującą o losach Anglii okazała się batalia pod Hastings. Dziejopisowie spisali jej przebieg z należytą starannością. Dzięki temu sporo o niej wiemy. Anglosasi rzeczywiście zastosowali taktykę obronną. Ustawili się zwartą oraz długą kolumną na wzgórzu Senlac. Byli atakowani przez różne formacje wojsk księcia Normandii. Podczas ostatniego szturm piechota, konnica oraz łucznicy uderzyli równocześnie. O wyniku zmagania zdecydowała śmierć króla Harolda. Monarcha został ugodzony strzałą w oko. Rana okazała się bardzo poważna. Gdy już konał, najprawdopodobniej dobito go mieczem. Normandczycy odnieśli zwycięstwo.

Długo zastanawiałem się nad tym, czy umieścić w powieści wątek polski. Po głębokim namyśle zdecydowałem się to zrobić. W źródłach historycznych nie zachowały się wzmianki świadczące o tym, by jakkolwiek polski rycerz brał udział w bitwie pod Hastings. Wiemy jednak, że przed wyprawą na Anglię, książę Wilhelm ściągnął pod swoje skrzydła bitnych najemników wywodzących się z różnych krajów. Mógł przecież znaleźć się wśród nich jeden awanturnik pochodzący z piastowskich ziem. Wychodząc z tego, dosyć śmiałego założenia, stworzyłem postać Dobiesława z Płocka. Człowieka uwikłanego w rozgrywki polityczne, które toczyły się w jedenastowiecznej Polsce. Władcy, o których Dobek wspomina, snując opowieść o swej przeszłości, są prawdziwi. Wszyscy oni panowali w kraju nad Wisłą. Byli to: Kazimierz Odnowiciel (1039-1058), Bolesław Śmiały (1058-1079) oraz Władysław Herman (1079-1102).

Należy jeszcze nadmienić, że bohaterowie: Gareth, John, Tobiasz, Greta, Alda, Rajmund, Margaret, Edgar, Klotylda, Sigvald, Gunnar, Bergthora, Flegmunda, Gryzelda, Wulf, Rolf, Ralf, Owena, Ingvar, Donald, Brigit, Irwing, Nick, Jimi, Bili oraz Jack, są postaciami fikcyjnymi.

Kończąc wyjaśnienia dodam, że pisanie „*Strzały przeznaczenia*” było dla mnie przyjemnym doświadczeniem. Pierwsze tygodnie były trudne, lecz z miesiąca na miesiąc pomysł dojrzywał. Z natłoku różnych myśli powstała pewna całość. Pisząc tę powieść chciałem, aby była ona ciekawa i wartościowa. Pragnąłem, by zawierała nie tylko przygody fikcyjnych bohaterów, lecz także fakty historyczne oraz daty. Dążyłem do stworzenia książki mającej wzbudzać zainteresowanie problemami średniowiecznej Europy. Czy udało się osiągnąć ten cel? Zobaczmy. Ocenę pozostawiam wam, drodzy czytelnicy.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok



